

„Ostatni i pierwsi”

Na sierpniowym tarasie
Siedząc, popijam z ciasnej szklanki lizaka
Obserwuję jak w świetle latarni, murzyńskie dzieci
Zbite w ciasny krąg mamrocą coś pod nosem
Ze schyłonymi głowami
Proszą studolarówkę o deszcz ...

Była godzina dziesiąta wieczorem. A przynajmniej taką zapamiętałem spoglądając na zegarek w samochodzie. Piątek, ostatni weekend sierpnia, wybornego lata. Wraciałem autem do domu z hotelu „Vertigo”. Dwie godziny wcześniej miałem tam umówione spotkanie z dziewczyną, która chciałaby u mnie pracować. Podobno sama zabiegała o to. Jako szef firmy, nie chodzę na indywidualne spotkania w sprawie przyjmowania do pracy. Mam od tego ludzi. Tym razem jednak, zrobiłem wyjątek. Dziewczynę polecał Sławek. Był to wystarczający powód, żeby pojechać do hotelu osobiście. Sławomir był moim kumplem i jednocześnie właścicielem „Vertigo”. Miał porządny charakter. Dzięki niemu nie musiałem martwić się o dobijanie targu za wysoką prowizję. Często czyniłem tak ze zwykłymi „łowcami”. Co prawda, w dziewięciu przypadkach na dziesięć i tak wychodziło na moje, ale sam fakt kontaktów z ludźmi ich pokroju nie był sympatyczny. Na spotkanie dotarłem przed czasem. Rozsiadłem się przy stoliku sącząc piwo. Bardzo uprzejma pani kelner, przed podaniem poinformowała mnie, że trunk jest wydany na koszt firmy. Byłem pewien, że to sprawka Sławka. Informował wcześniej, że nie będzie go na spotkaniu. Widać, wydał pracownikom odpowiednie dyspozycje, co do sposobu obsługi mej osoby. Cóż za nostalgia! Tak sobie usiąść i nic nie robić, nigdzie się nie spieszyć. Człowiek nie wie jak to może być, skoro tylko gania za forszą i kombinuje, jak jej najwięcej zatrzymać dla siebie. Przyjemnie jest wyłączyć się i popatrzeć z boku na innych. Na ich sprawy, które ciebie nie dotyczą, a tym samym nie wpędzają cię w kłopoty. Choć kłopoty, to przecież ludzka specjalność. Mnie również nie omijają, a czasem sam się w nie pakuję rozmyślnie przez współczucie dla innych. Czas płynął minuta za minutą, aż wreszcie dobił do miejsca, w którym stwierdziłem, że mi jako szefowi, nie wypada dłużej czekać na kandydata na pracownika. Niestety, dziewczyna nie przyszła. Powodów nie znam. Nie jestem z tych, co mogliby się czuć od razu urażeni. Nie przyszła to nie przyszła. Jej sprawa. Ja nie straciłem, ona nie zyskała. Interes nie został zrobiony. Wykonałem szybki telefon do Sławomira, ale i on nie znał powodu, dla którego do spotkania nie doszło. Podziękowałem za piwo i schowałem telefon do kieszeni marynarki. „Znowu trzeba będzie dogadywać się z łowcami” – pomyślałem. I jakby na życzenie, obok mego stolika przemknął jeden z nich. Grzecznie dotknął czubkiem wskazującego palca, do runda filcowego kapelusza z pomarańczową obwódką. W języku łowców było to biznesowe pozdrowienie. Znak rozpoznawczy ich profesji. Rodzaj szemranej etykiety. Skinąłem niedbale głową w odpowiedzi. Łowca nie gubiąc linii kroku, posłał mi szelmowski uśmiech, na który nie odpowiedziałem. Nie miałem najmniejszej ochoty spoufalać się z żadnym z nich. Łowcy mniemanie o sobie mieli ponad miarę. Czasem wyprowadzało mnie to z równowagi do tego stopnia, że miałem ochotę faceta udusić. Byli gburowaci i oschli, a w ich zachowaniu nie było nic z powagi, na której im tak zawsze zależało, a która w interesach jest rzeczą nieodzowną. Raczej sprawiali wrażenie, że pod pomiętymi płaszczami, które zawsze wydawały się za długie i źle skrojone, nic nie mają. Nawet gaci. Jak długo nie miętosiliby zapalki między zębami targując się ze mną i jak namiętnie nie spluwaliby na dywan w moim gabinecie, to i tak nigdy nie przyjmowałem ich mile jako partnerów w interesach.

Mieli swoją czarną, brudną, niewdzięczną robotę i pewnie bez nich mój interes szedłby znacznie gorzej. Sami sobie jednak taką wybrali. Ja im nie kazałem i wcale nie musiałem być dla nich miły. Poza tym zbyt często stawiali sprawę na ostrzu noża. Albo czarne albo białe. Aby wywalczyć szary kompromis, trzeba się było mocno natrudzić. Spojrzałem na zegarek. Przed północą miałem wyjazd do firmy. Moja firma prosperuje szczególnie dobrze w nocy. Postanowiłem dokończyć szklaneczkę, którą otrzymałem wcześniej. Porozglądałem się po knajpie, posłuchałem muzyki. Mam niesamowity sentyment do szaf grających. To dlatego, że trzymają w nich moje stare, ulubione kawałki. „Black Velvet”, „Stop”, „Lady in red”, itp. Piosenki, które coraz rzadziej puszcza się w radio. Jak w knajpie usłyszę „Black Velvet”, to od razu wpadam w klimaty. Hotel Sławomira mieści się mniej więcej w połowie drogi między moim biurem a domem. Niby jest po drodze, ale jakoś wcześniej go nie dostrzegłem. Może to dlatego, że nie imponuje rozmachem? Przypadek sprawił, że tam trafiłem. Spodobało mi się. Między innymi dlatego, że jest tam cała szafa fajnych piosenek. Facet czuje bluesa. Poza tym zgadzamy się w kwestii najważniejszej. „The Tigers” wygra w tym sezonie ligę!

Odłożyłem szklanę na blat stołu. Sprawdziłem, jeszcze raz, czy nie ma wiadomości od Sławka. Niebieski wyświetlacz telefonu, sygnalizował brak powiadomień. Wyszedłem na zewnątrz, wsiałem do auta i ruszyłem w kierunku domu. Zaparkowałem na podjeździe. To wtedy ostatni raz spojrzałem na zegarek, oceniając ile mam mniej więcej czasu na wykąpanie się i zmianę ubrania.

Otworzyłem frontowe drzwi. Mam śmieszny staroświecki klucz. Wielki jak do bram opactwa. Opactwo zawsze kojarzy mi się z Robin Hoodem. Nie wiem dlaczego. Powinno z opatem albo zakonikiem, ale ja jakoś wolę je w towarzystwie Robina, zbója co bogatych majątki biednym rozdawał. Chyba jakoś poprzez ten klucz i to dziwne skojarzenie chcę się z nim identyfikować. Mam dom normalny, parterowy. Standard w tej dzielnicy. Kupiony od jakiegoś staruszka podróżnika czy historyka. Już nie pamiętam. Za każdym razem, kiedy otwieram drzwi mówię sobie, że czas już wymienić zamek, ale wciąż brakuje mi na ten szczegół czasu. Nad drzwiami wejściowymi mam lampę. Zwisa na łańcuchu wprost spod daszku. Kiedy wieje wiatr, lampa kiwa się na boki. Wygląda jak samotna latarnia, zawieszona na rufie żaglowca tonącego w mroku, albo ogarek czekający na zagubionego wędrowca. Ta lampa i ten klucz, to mój staroświecki komplet, zestaw powitalny. Pozapalałem światła w pokoju, korytarzu, kuchni i łazience. Włączyłem telewizor, który był kupiony po to by grać, a nie po to, żeby go oglądać. Nalałem wody do wanny. Potem zdjąwszy koszulę, w samych spodniach i butach wyszedłem na taras. To był naprawdę ładny, spokojny wieczór. A może tak mi się wydawało ze względu na okolicę, w której mieszkałem, a która do biednych nie należała i zawsze było tu cicho i przyjemnie. Może gdybym miał taras w slumsach, tak bym nie twierdził. I ten wiatr, ciepły, jednostajny. Wtedy jeszcze nic nie zwiastował.

W drodze powrotnej do łazienki przez pokój nagle mój dywan „unosi się” w powietrze. Słyszę potężne „westchnienie”, a wygląda to tak, jakby ktoś wypuszczał spod niego bąble powietrza, takie jak spod wody, tylko bardzo duże. Ja unoszę się wraz z nim i z tymi bąblami, by zaraz spaść z łomotem na tyłek. Jestem jak przedszkolak, który znieacka pośliznął się na misiu zabawce i za chwilę zaczyna płakać. Kolejny wstrząs przewraca mnie plackiem na podłogę. Leżę z jedną ręką wyciągniętą w bok, a drugą nienaturalnie schowaną pod brzuchem. Kątem oka dostrzegam jak sypie się tynk ze ścian, spadają obrazy i wali się kominek. Mój ukochany kominek przy którym tyle razy wygrzewałem się śniąc słodko o dalekich krajach i podróżach. W powietrzu unoszą się kłęby kurzu, które oplatają mnie jak lepka pajęczyna. Nie mogę złapać krzty czystego powietrza. Kurzu jest tyle, że można by spokojnie przerzucać łopatą z jednej strony na drugą.

Wszystko przy piorunującym zgrzycie i trzaskach. Gaśnie światło. Przez chwilę jest jak po burzy. Cicho. Ciemność jeszcze nie jest wroga. Wręcz przeciwnie, kojąca. Daje nadzieję, że to koniec złego. Ale to tylko złudzenie. Podobnie jak u dentysty, kiedy siadając na fotelu jeszcze nie czujesz bólu borowanego zęba i myślisz, że tak będzie już przez cały czas. Ale oto słyszysz chrobot jakby tysiąca uzbrojonych w zbyt ciężkie pancerze żołnierzy. Chrobot narasta. Ten szum pancerzy to ogień. Wydobywa się skądś spod podłogi, spod domu, dając nikłe światło zabijające ciemność. Czuję swąd palonej gumy i plastiku. Leżę na brzuchu przygnieciony, jak się wydaje częściowo przez stół, który wyfrunął w powietrze razem ze mną. Ogień rozprzestrzenia się. Czasem kurczy, przydusza, ale tylko po to, by za chwilę pojawić się większym i bardziej krwiożerczym. Nie wiem, co się tak naprawdę dzieje. Wygląda na to, że mój dom z jakichś powodów wyleciał w powietrze. Może wybuchł gaz, może któryś z łowców podłożył mi bombę, bo za mało dostał? Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie przypominam sobie bym miał jakiś wrogów. Przynajmniej nie takich, którzy odgrażaliby się zemstą. A może to wojna i w mój dom trafiła bomba? Ale też nie jestem pewien, czy nasz kraj ma jakichś przeciwników z którymi bylibyśmy akurat w stanie wojny. Mój dom w jednej chwili zamienił się w ruinę. Nie widzę tego, bo wszędzie jest pełno dymu i nie ma światła. Ale jestem o tym przekonany. Jeśli z tego pokoju niewiele zostało, to jak może wyglądać reszta domu? Bliski jestem skojarzeń z jakiegoś filmu o tematyce katastroficznej. Mija szok spowodowany zaskoczeniem. Przychodzi czas na to, aby zacząć się bać. Zaczyna działać tzw. sprzężenie zwrotne. To ta jedna mała chwilka, ułamek sekundy, kiedy coś w człowieku przedstawia się jak zwrotnica kolejowa i karze przede wszystkim się ratować. „Wydostać się! Wydostać się!” huczy mi w głowie. Za wszelką cenę wydostać się na świeże powietrze!! Ucieeeekaa!

Łatwo jednak powiedzieć. Wiem, że ucieczka jest moim jedynym ratunkiem, ale ja nie mogę się ruszyć! Ogień jest nienaszarty, z żołnierza przemieniony w ognistego smoka. Jest coraz większy i zaborczy. Śmierć to prawda odwiecznie nienasycona, ale nawet w najczarniejszych snach nie przypuszczałem, że spalę się żywcem. Pomimo moich usiłowań i prób, mięśnie nie słuchają mnie. Nagle doznaję dziwnego uczucia, przypiekania skóry, poniżej kolana. Jest niebezpiecznie, ale jest to zarazem ratunek dla mnie. Ból pobudza do pracy mięśnie, w których odzyskuję władzę. Wzrasta nadzieja na ratunek. Mimo wszystko wolno, strasznie wolno zbieram się siłą i napinając aby odsunąć się od ognia. Wydaje mi się, że trwa to całą wieczność. Czuję jakbym zbudowany był z ołowiu. Zaczynam dusić się z braku tlenu. Zamykanie ust nie pomaga. Zaczynam kaszleć i to jest jeszcze gorsze, bo wciągając do płuc całe masy świństwa, które duszą mnie jeszcze bardziej. Z wysiłkiem godnym pracy tytana wyciągam rękę spod brzucha. Teraz już obiema odpycham od siebie stół. Po omacku obieram kierunek na drzwi i natychmiast walę w coś głową. Uderzenie przewraca mnie na powrót, ale ten ból jest niczym w porównaniu z tym, co już dzieje się wokół mnie. Na czworakach, potykając się i kaszląc, mniej więcej z odległości jednego metra dostrzegam wreszcie drzwi. Futryna pali się dookoła. Na korytarzu, doznaje oparzeń pleców i dłoni. Efekt odczuwam podobny do przyłożenia ręki do spodu gorącego żelazka. Wyczuwam jednak, że jestem blisko celu, blisko wyjścia i chyba tylko to dodaje mi resztek sił, by przepchnąć się przez próg nieistniejących drzwi frontowych i zwalić się po schodach jak worek kartofli wprost na ganek.

Leżę z twarzą przy ziemi. Dyszę i charczę na przemian, wypluwając z płuc truciznę. Potem wolno, strasznie wolno, odsuwam się od domu. Noga piecze mnie niemiłosiernie. Nic dziwnego, brak nogawki od kolana w dół odsłania poranioną nogę. Nie wygląda to dobrze. Głowa boli bardziej od połkniętego dymu niż od uderzenia. Plecy są całe, a przynajmniej nie bolą mnie. Odzyskuję częściowo słuch, który straciłem wcześniej ale nie na wiele mi się to przydaje i nie jest to wcale na lepsze, bo huk, gwizdy i piski walącego się domu potęgują tylko stan szoku, w jakim jestem.

Wszystko stoi w ogniu, wszystkie pomieszczenia po równo, tak jakby żywioł był malarzem i dbał o to, by robota szła szybko i dokładnie. Zawalenie się dachu, który przydusi sprzęty, jest kwestią czasu. Nieprzytomnie chwytam się żywopłotu próbując wstać ale daje to mizerne efekty. Wciąż się przewracam z zaciśniętymi gałązkami w ręce. W końcu udaje mi się to, przy pomocy słupa od latarenki przy ganku. Tego słupa, który jeszcze nie tak dawno planowałem wyrzucić, bo psy sąsiadów wciąż pod nim szczały, co mnie bardzo denerwowało. Rozglądam się za jakimiś ludźmi, którzy mogliby udzielić mi pomocy. I tu omal nie mdleję. Całe szczęście, że wciąż trzymam się słupa latarni. Drżą mi nogi, ale wiem, że nie mogę upaść ponownie, bo nie będę miał sił żeby podnieść się jeszcze raz. Mój dogorywający dom nie jest jedyny.

Pali się dom naprzeciw. Po drugiej stroni ulicy. Tak samo domy moich sąsiadów po prawej i po lewej i następne. Dom naprzeciw, choć większy i solidniejszy od mojego praktycznie zamieniony jest w stos płonącego kopca słomy. Nie ma na nim wolnego miejsca na którym nie byłoby widać ognia. Zaczynam tracić orientację i chcę wierzyć, że jest to jakiś pieprznęty sen i marzę, żeby już się z niego obudzić. Wydostając się z domu wierzyłem, że jestem uratowany. Teraz nie jestem już tego pewien. Nie wiem, jeśli już mam uciekać, to w którą stronę to zrobić? Rozsypana logika podpowiada mi, że do centrum, bo tam jest najwięcej ludzi, ale tam sytuacja przedstawia się właśnie najgorzej. Właśnie tam widzę największy pożar. Na ganku robi się tak gorąco, że nie można wytrzymać. Chybotliwie wycofuję się na środek ulicy. Dostrzegam w pół poprzeginanych do ziemi ludzi, którzy podobnie jak ja, ratują się z tego piekła. Tu jedna osoba, tam dwie. Z domu naprzeciw nie wychodzi nikt. Wcześniej widziałem tam palące się światła.

Potykam się i przewracam się na asfalt, który jest tak gorący jak piasek na plaży. Nieporadnie jak dziecko podpieram się rękami. Unoszę tułów, żeby nie upaść całkowicie. Zaczynają się wybuchy zgromadzonych przez ludzi butli z gazem, kanistrów z benzyną i baków samochodów trzymany w garażach. Są głośniejsze od trzasku wszystko pożerającego ognia. Ktoś biegnie w moją stronę schylając się co rusz, by nie oberwać wyrzuconym przez wybuch fragmentem domu lub ogrodzenia. Wydaje mi się, że to facet, który prowadzi kiosk z gazetami na naszej ulicy, ale nie jestem pewien, bo wygląda jak upiór. Podbiega i stojąc nade mną krzyczy, pokazując na coś ręką. Poznaje po minie i gestach, że drze się w niebogłosy ale ja nic nie słyszę. Nagle zniecierpliwiony wali mnie pięścią prosto w twarz. Podnosi mnie za ramiona, potrząsa i dalej krzyczy. Teraz słyszę: „Kluczyki! Kluczyki do samochodu!” Nie wiem o co mu chodzi. Pożyczyłem – nie oddałem? Zgubił je? Czy jego kluczyki od samochodu mogą uratować nam życie? Okazuje się, że mogą. Odwraca mnie. Pokazuje ręką na mój samochód. A mój samochód ... stoi na podjeździe, tam gdzie go zostawiłem, nie uszkodzony. To jest nasz ratunek. Czuję kluczyki w kieszeni na tyłku i mówię, że mam, ale i tak nie słyszę tego co mówię. Tamten szarpie mnie i niezdarnie trzymając prawie pod pachą, dociąga pod samochód. I wtedy... coś wielkiego, jakiś kawał betonu, przelatuje tuż obok nas i uderza w auto obracając je niemal o dziewięćdziesiąt stopni. Leżymy plackiem. Widzę jak migają kierunkowskazy i domyślam się, że to wyje alarm. Co za pech. To koniec, nie uciekniemy. Okropnym jest dostać szansę znikąd i natychmiast ją stracić, nie mając nawet możliwości jej wykorzystania. Mój towarzysz jest jednak przytomnego umysłu. Wstaje, znowu mnie ciągnie, a potem unosi i z całej siły wpycha do środka samochodu przez rozbitą przednią szybę. Walę się na łeb na szyję między siedzenia i nie mam siły wygramolić się stamtąd. Sam, też w ten sposób wchodzi do środka. Nie zdążyłem jeszcze usiąść na fotelu, kiedy wsadza mi rękę do kieszeni i wyciąga kluczyki. Kiedy mówiłem „mam” złapałem ręką za kieszeń. Stąd wiedział. Auto jest pokiereszowane, ale silnik zaskakuje. W naszą stronę biegnie kilka osób, facet jednak dodaje gazu i ucieka. Jedziemy tak szybko jak, to możliwe w tych warunkach. Co chwila uderzamy w jakiś przedmiot.

Kosze na śmieci, pralki, lodówki krzesła i tym podobne rzeczy powyrzucane z domów przez wybuchy. Za każdym razem cofa nas siłą w siedzenia, a auto podskakuje. Mój kierowca nie jest rajdowcem, ale robi co może. Jest piekielnie gorąco, duszno, no i ten smród. Smród przyprowadzający o mdłości. Palonego mięsa, gumy i farby. Jedziemy w ciemno. Prawie w ciemno, biorąc pod uwagę składnię zadymienia ulicy, szybkości, z jaką porusza się samochód i szoku w jakim jesteśmy. Trzymamy jednak środek drogi, bo jej ramy określają nam palące się domy. Z pewnym zdziwieniem odkrywam, że palą się właściwie tylko domy, bo drzewa wyglądają na nietknięte. W każdym bądź razie zaczynają palić się dużo później, kiedy ogień przechodzi z dachów w ich korony. Nie wiem, czy tamten orientuje się gdzie jedzie, czy tylko ucieka na oślep. Trafiamy na spokojniejszy odcinek przy parku. Znam ten park, czasem tu przychodziłem. Nagle jakiś czarny cień odbija się od maski i szybkością wystrzelonej w kosmos rakiety ładuje się nam do środka. Gdyby istniała szyba, pewnie odbiłby się od niej i został odrzucony na bok. Ale szyby nie ma. Zaskoczenie jest tak gwałtowne, że jednocześnie zaczynamy wykrzykiwać z przerażenia najgorsze przekleństwa. Cień wskakując trafił mnie łapą w szyję, przez co nie mogę przez chwilę złapać tchu. Do auta wskoczył niespodziewanie terier czarny jak najczarniejsza smoła. Przepchnął się na tylną kanapę. Teraz szalał na niej wyjąc i szczekając na przemian. Miotał się w podskokach od drzwi do drzwi.

- A niech go jasna ...! – wydarł się mój kierowca, dyplomatycznie nie kończąc zdania. Właśnie dokonywał na drodze mijanki pomiędzy przenośnymi toaletami parkowymi i ciężarówką, z której wysypały się na drogę przewożone rowery – Wywal to bydlę, bo nas pozabija!

Pies jednak powoli uspokajał się. Usiadł na tylnych łapach i nienaturalnie oparł się plecami o oparcie. Jakby rozumiał, że tylko spokój może go uratować. Wyglądało na to, że jest to pies z tak zwanego dobrego domu. Miał przewiazaną wokół szyi czerwoną kokardę. Co ma czerwona kokarda do pochodzenia? Pewnie nigdy nie widziałem bezpieczeństwa psa z kokardą. Polecenia pozbycia się intruza nie wykonałem. Szczerze mówiąc, nawet nie wiem jak miałbym to zrobić.

Ocieramy twarze czarne od sadzy. Pytam go czy wie co się dzieje. Niestety nie wie i wrzeszczy mi to do ucha. Pewnie ma uszkodzony słuch. Zresztą nie jestem pewien czy sam przypadkiem nie wrzeszczę tak samo do niego.

- Nie wiem – mówi – nie mam pojęcia co to wszystko znaczy. Próbuje rozejrzeć się wokół. Wciąż, choć w dalszej odległości widzę ogień. Pochodnie domów.
- To chyba wojna? – podpowiadam mu. – Bo co to może być? – zastanawiam się. Po głowie chodzi mi milion myśli jedną ścieżką.
- A czy ja wiem, może wojna! – znów wrzeszczy – Szkoda tylko, że nikt mnie o niej nie uprzedził! – próbuje rozglądać się naokoło tak samo jak ja, szukając lepszej drogi ucieczki. Ja zaś wcale nie jestem pewien swoich przypuszczeń. Myślałem, że może on coś wie.
- Popatrz – pokazuje ręką – Wszystko się pali, wszystko! Całe miasto! Jak można podpalić całe miasto?! Całe szczęście, że żona z dziećmi są na wsi. Jak im powiem, to nie wiem czy mi uwierzą. Domu nie ma. Ulicy nie ma. Wszystko na marne. Tyle życia zmarnowane w jednej chwili. Kręci głową i tak ja nie może dać wiary w to co się dzieje. Rozmowa nie klei się. On uważa na drogę, bo najważniejszym jest teraz dla nas uciec stąd jak najdalej. Ja zatapiam się w domysłach. Na szczęście jestem sam. Nie mam rodziny o którą musiałbym się martwić. Co prawda mam przyjaciół ale skontaktowanie się z nimi w tej chwili to czysta abstrakcja. Tym bardziej, że mój telefon został w zrujnowanym domu. Może u nich nie jest tak źle jak tutaj. A firma? Palicho firmę. Jak przeżyje będę się martwił. Robimy zakręty. Jeden, drugi, trzeci. Jest lepiej. Chyba uda się uciec i ocenić z jakiegoś miejsca jak to wszystko wygląda. Nigdzie nie widzę ani policji, ani straży pożarnej, czy pogotowia. Jednostek pożądaných przez moje oczy najbardziej. Wszystkich zaskoczyło na amen.

Ludzi strasznie mało. Czasem widzę stojących przed swoim domostwem mężczyzn i kobiety, patrzących jak ginie ich dorobek życia. Blade, bezradne postacie nawet nie próbują ratować tego co jeszcze można. Sprawnych samochodów jak na lekarstwo. Widziałem jakiś przed nami ale zniknął mi po którymś z zakrętów. Że, jest lepiej wydawało mi się w okolicach parku, bo tam mniej było domów. Później jednak znów wjechaliśmy w zabudowę i to nie taką jak u nas, gdzie jeden dom od drugiego dzieli kilkadziesiąt metrów ale zwartą i z ciasnymi ulicami. I tu się zaczęło na dobre. Nagle w gęstniejącym z każdym metrem dymie zaroilo się od ludzi biegających tam i z powrotem. Jak szczury w pułapce miotali się szukając czegoś, co posłużyć mogłoby im do ucieczki i ochrony przed płomieniami. O zdolne do jazdy wolne samochody trwała prawdziwa bitwa. Drogę tarasowały co rusz autobusy i ciężarówki oblepione ludźmi jak plastry miodu przez pszczoły. W końcu dostrzeżono i nas. Nie było sposobu jechać szybciej, czy choćby zawrócić. Ludzie nie zwracali uwagi na to, że mogą wpaść pod koła i połamać nogi. W biegu czepiali się burt auta, zabiegali drogę, aż w końcu musieliśmy się zatrzymać. Drapieżne ręce dostały się do środka i ze wszystkich stron zaczęły nas szarpać. Próbowałem interweniować ale bez skutku albo raczej skutek tego był odwrotny od zamierzonego. Mój kierowca został brutalnie wyciągnięty na maskę. Mnie jakiś drab złapał za włosy. Koszuli przecież nie miałem. Wyciągnęli mnie przez boczne drzwi, które jakimś cudem udało im się otworzyć. Jak hieny rzucili się wszyscy naraz do wnętrza. Walczyłem rozdając ciosy na lewo i prawo ale przegrałem, bo przeciwnik był zbyt liczny i zbyt rozszał w swym postanowieniu. Po raz drugi dzisiejszego wieczoru zacząłem tracić nadzieję na ratunek.

Schowałem się pod nagrzaną ścianą najbliższej kamienicy, uważając na to by nie stanąć pod palącym się oknem albo czymś co mogłoby spaść na mnie. Ktoś skulony obok, kryjąc twarz w dłoniach głośno płakał. Miałem ochotę go kopnąć za ten płacz, za wszystkie nieszczęścia jakie mnie spotkały i za to, że zabrali mi samochód ale wtedy rozległy się strzały. Odruchowo kucnąłem. W jednej z bitew ludzie zaczęli strzelać do ludzi. Krzyk, lament, przekleństwa, wybuchy, trzaski i brzęk tłuczonego szkła mieszały się ze sobą tworząc niewyobrażalnych rozmiarów panikę. Mój znajomy kierowca zniknął gdzieś w tym tumultcie. Może zaczął biec tak jak inni? Trudno mi było jednak ocenić dokąd. Jedni biegli w prawo inni w lewo zderzając się nawzajem i obrzucając wyzwiskami. Nigdzie nie mogłem go dostrzec. Patrzyłem co banda obwiesiów robi z moim samochodem i jak walczy z innymi na potrzebę chwili tworzonymi bandami w obronie swej zdobyczy.

Tamten przy murze cały czas płacze, a właściwie łka zanosząc się łzami. Przeszła mi ochota, żeby go kopnąć. Teraz mi go żal. Obok niego usiadł pies z czerwoną kokardą, którego również wyrzucili z samochodu. Widzę jak dranie poprzez swoją pazerność nie mogą uruchomić mojego auta i porzucają je. Mają już na widoku następne ofiary. Robię krok do przodu ale zaraz cofam się z powrotem. Znowu ktoś je zajął. Jest okropnie gorąco. Próbuję przeniknąć wzrokiem ściany dymu ale nie widzę dalej niż na piętnaście, dwadzieścia metrów. Znowu zaczynam kaszleć i zachłystywać się dymem. Mam nadzieję, że ci nie będą sprytniejsi od tamtych. Nagle nad miastem przeszedł pomruk, taki że aż ciarki pojawiły się na moich plecach. Odgłos przyszedł skądś z góry. Biegających ludzi na moment zatrzymało w pół, jak w filmowym kadrze. Po TYM CZYMŚ zaczęli szamotać się ze zdwojoną energią. Pies z czerwoną kokardą dał susa w bok i tyle go widziałem. Ale co to było? Rety! To brzmiało jak ryk potwora z kreskówek! Co prawda nie słyszałem jak ryczy potwór namalowany kredkami, ale po wyglądzie wnosilem, że musi to być coś okropnego. Nie wierzę w takie bzdury. Jednak w obecnej sytuacji, gdyby ktoś mi powiedział, że po zjedzeniu własnego buta uda mi się teleportować w bezpieczne miejsce, to kto wie. Nie wierzę w takie bzdury ale zacząłem czuć się nieswojo. Mocniej przyłgnąłem do ściany rozglądając na wszelki wypadek po zadymionym, ciemnym niebie. Zamiast potwora jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że pożerane przez płomienie domy, tak jak mój, za chwilę zaczną się walić.

Zapadać do środka i rozpychać na zewnątrz zasypując ulicę gruzami. Nie wiem czy to na mnie podziałało, czy kolejny pomruk bliższy jakby miejsca w którym byłem, czy może fakt, że przy moim nieszczęsnym samochodzie został akurat jeden bandyta, ale skoczyłem do auta. W paru susach dopadłem do tego upartego gnoja, co już grzebał przy desce rozdzielczej i z całej siły zderzyłem go od tyłu metalową rurą, którą znalazłem przy ścianie. Przez plecy. Nie miałem serca uderzyć go w głowę. Facet wyprostował się i rozrzucił ręce na boki jak żaba porażona prądem. Odskoczył od auta. Minę miał strasznie dziwną. Nie wyglądał jak bandyta ale przynajmniej dyrektor fabryki, który nagle znalazł się na poziomie motłochu zmuszony przyjąć jego zasady gry. Błyskawicznie, dopóki tamten się zwija z bólu wskakuje na siedzenie. W rękę trzymam kluczyki Kiedy nas wyciągali wyrwałem je ze stacyjki. Może i nie mam bicepsów ze stali ale nie jestem idiotą. Mój fantastyczny wóz znów zaskakuje! Nie udało im się go zepsuć, choć widzę z dołu wystające kable. Wciskam pedał gazu do dechy, zamykam oczy i pruję przed siebie. Widoczność słaba, mam tylko nadzieję, że nie trafię w autobus i nie rozkwaszę się na nim. Kilka osób próbuje mnie zatrzymać ale nie zwalniam, bo grozi to kolejną stratą środka lokomocji. Odbijają się od burt jak piłki. Jednego bardziej ambitnego a może bardziej zdesperowanego przeciągam kilkanaście metrów zanim daje za wygraną. Im dalej tym mniej ludzi mnie atakuje. Im bliżej rogatki miasta tym bardziej pewni są ratunku. Dają spokój. Znow cywilizują się. Tutaj mniej jest ognia i dymu. Mniej niebezpiecznie. Ratunek staje się realny. Zwalniam. Przede mną oprócz kolumny pieszych ciągnie się mimo wszystko sznur samochodów. Żałuję, że nie ma ze mną człowieka, który pomógł mi w ucieczce.

Stoimy na wzgórzach za miastem. Na zachód od miasta. Wielki, kłębiący się tłum uciekinierów. Panów, prezesów, sklepikarzy, sprzedawców butelek i żebraków. Te wzgórza mają to do siebie, że znajdują się na nich, wzdłuż wschodniej strony wspaniałe tarasy widokowe. Przy dobrej pogodzie widać z nich ocean. Jest nas dużo. Naprawdę dużo. Nie spodziewałem się, że może być nas aż tylu szczęśliwych nieszczęśników, albo raczej nieszczęśliwych szczęśliwców. Zależy jak na to spojrzeć. Po chwili wahania wychodzę z auta. Waham się, bo mam obawy, że mogą mi je ukraść. To by był już drugi raz. W końcu wychodzę. Wybieram taras, który wybiega swoim nawisem daleko poza zarys góry. Tak jak inni patrzę w dół. W stronę miasta które powoli przestaje istnieć. Pali się dokładnie wszystko. Każda dzielnica, każdy zaułek i każda ulica. Z samolotu pewnie wygląda to jak jedno wielkie ognisko. Rozpoznaje mniej więcej rejon, w którym stał kiedyś mój dom. Tu sytuacja stosunkowo nie wygląda tak tragicznie jak to mam miejsce na przykład w centrum. Wiem, że miałem szczęście. Gdybym dłużej zabawił w hotelu, albo był w tym czasie w pracy, nie zdołałbym uciec. W każdym bądź razie ze wzgórz, przy tej odległości, takie odnoszę wrażenie. W porcie jest okropnie. Stoi tam ściana ognia. Płoną wielkie zbiorniki paliw, węgla i mazutu. Na oceanie palą się tankowce. Woda jak się domyślam wcale nie okazała się dla marynarzy bezpiecznym miejscem. Pośród miasta zieją wielkimi słupami prosto w niebo kominy płomieni. To stacje benzynowe, fabryki, zakłady pracy. Martwi mnie to, bo nie wiem czy w powietrzu nie rozchodzą się właśnie jakieś chemikalia. Ciągnę nosem. Póki co powietrze wydaje się być czyste. Co chwila, w różnych miejscach słychać i widać gołym okiem wybuchy. Wygląda to jak dławienie się nadmiarem lawy przez rodzący się gejzer. Na przemian wypluwa i wchłania wyrzuconą na wiele kilometrów w górę maź. Gorącą nierozpoznawalną masę. Wieżowce przewracają się bezgłośnie. Reszta topi się i zapada jakby w rozżarzonym bagnie. Ulubionym basenie boga wulkanów. Dochodzą nowi ludzie. Aż dziw bierze ilu ich wychodzi z tego pogorzelska. Ale jak by nie było, to dwudziestomilionowe miasto. Ilość uratowanych, to dla mnie duże pozytywne zaskoczenie. Niestety chyba jedyne pozytywne. Obserwujący agonię tłum milczy jak zakłęty. Jest przerażony i niepewny.

Wiem, że jest trochę po północy. Minęły zaledwie dwie godziny od kiedy mój dywan „westchnął”. W dwie godziny nasz świat przewrócił się do góry nogami.

Widok dogorywającego miasta jest dowodem na to, jak niemożliwe może stać się możliwym. Snem, który nie chciałbyś, żeby się spełnił. Tłum powoli zaczyna falować i rozmawiać. Nikt nie wie co się stało. Pytania: dlaczego, skąd, jak, po co, krzyżują się przecinając powietrze nad moją głową niczego nie wyjaśniając. Rozchodzą się pogłoski, że to jakiś eksperyment. Najpewniej rządowy. Ja podtrzymuję teorię o wojnie ale są też teorie zorganizowanej grupy wariatów jako podpalaczy, wielkiego wybuchu gazu i upadku meteorytu. Tylko jakaś staruszka w ubraniu przesiąkniętym naftaliną, w berecie o zamierzchłych kształtach, chodzi stukając parasolką i mamrocze: „Goliat, mówiłam ..., to Goliat. Wiedziałam, że tak będzie” ... - Nikt nie zwraca na nią uwagi. Przezornie jednak każdy schodzi jej z drogi. Nie ma co się dziwić, niejeden by zwariował. A tym bardziej starowinka, której serce pewnie ledwo wytrzymało na tasiemcowych serialach o zdradzonej miłości. Widzę, że koło jakiegoś człowieka zebrała się grupa słuchaczy. Od miasta bije blask czerwonej pogorzeli. Gość jest krótko ostrzyżony. Głos ma lekko przychrypnięty. Nosi koszulkę z krótkim rękawem. Głosy dyskutują. Z podsłuchanej rozmowy dowiaduję się, że nie działają telefony komórkowe a co gorsza, radia w samochodach. Nie przyszło mi do głowy wcześniej, żeby samemu to sprawdzić. Podobno wszystkie stację milczą. Żadna nie nadaje komunikatów o tym co się u nas stało, ostrzeżeń ani jak sobie radzić. Nie nadaje w ogóle nic. Eter jest głuchy. Wydaje mi się, że to niemożliwe, by nikt nie zauważył zniszczenia całego miasta. Poza tym to niemożliwe, żeby nie działało radio. Nasz kraj jest przecież olbrzymi. A stacje zagraniczne? Nie wiem jak się do tego odnieść. Czyżby z jakiś powodów świat zapomniał o nas zapomnieć? Sensownym, choć okrutnym wytłumaczeniem może być zagrożenie epidemią. To teoria lansowana przez krótkowłosego. Rząd w Sierra Tann, mógł prowadzić tajne laboratorium, a jak okazało się, że nad badaniami utracono kontrolę, to postanowił zniszczyć całe miasto. To wygodny sposób na zatarcie śladów przez winowajcę. Potem dorobią do tego historię o wielkim upadku meteoru i nikt nigdy nie dowie się, co było prawdziwą przyczyną katastrofy. Nie daję temu wiary. Umyślne działanie ludzi, którzy przez nieudany eksperyment lub z chęci zysku czy poprzez konflikt zbrojny postanowili wymordować innych, wydaje mi się zbyt okrutne. Nie mogę wyobrazić sobie łajdaka, który podjąłby taką decyzję. Krótkowłosey, zapala papierosa. W blasku zapałki widzę jego twarz. Twarz kulturysty, który przy każdym ruchu rozpoznaje, który mięsień napina się akurat na jego ciele i bezbłędnie potrafi go nazwać. Krótkowłosey proponuje odnaleźć uratowanych policjantów, straż, kogoś z władz miejskich i odbyć naradę. Wieść poszła między ludzi. Czekać na odzew grupa dyskutowała dalej. Niski facet w okularach, bo co chwila sięga do twarzy i coś tam poprawia twierdzi, że już dawno powinno być tu wojsko z Fort Box. Jego macierzystej jednostki. A jak nie wojsko na samochodach, to przynajmniej samoloty albo śmigłowce. Przyznano mu rację, na wszelki wypadek zadarto też głowy w górę. Nic tam jednak nie dostrzeżono.

Na wcześniej posłaną wieść zaczęli się schodzić jacyś ludzie. Przyszło kilkanaście osób. Większych, mniejszych. Twarze widzę niedokładnie, bo ciemno. Niektórzy w mundurach. Ci wzbudzają szczególny szacunek. Łapie się na tym, że oczekuje od nich cudu, że powiedzą coś co załatwi sprawę. Przynieśli wiadomość, że droga z Fort Box jest pusta. Nie ma na niej nawet pojazdów cywilnych. Gapiów zebrał się też spory tłumek. Ja między nimi. Żeby podjąć jednak jakąś sensowną decyzję i udzielać rad, trzeba mieć najpierw punkt odniesienia. Szybko okazuję się, że sama katastrofa nie ma konkurencji w sposobie jej rozpracowania. Po pierwsze nie można ustalić jej prawdziwej przyczyny. Widzimy jej przerażający skutek ale nikt nie zna motywu działania niszczącej siły.

Zapobiec jej już się nie da, ale znając motyw „zabójcy” można starać się przewidzieć jego kolejny krok, a tym samym zapobiec dalszym cierpieniom. Po drugie, skazani zostaliśmy na domysły, które nie mają wsparcia z zewnątrz. Wsparcie z zewnątrz to miały być właśnie samoloty, wojsko, służby cywilne, lekarze, wolontariusze. Reszta kraju. Tymczasem jesteśmy sami jak palec. Zamiast konkretnych wniosków mamy całe mnóstwo domysłów i pytań, na które wciąż nie ma odpowiedzi. Ktoś proponuje, żeby zostać tu gdzie jesteśmy i czekać na pomoc. Inny wręcz przeciwnie, chce żeby jechać do najbliższych miast. Trzeba przebić się przez Góry Sierra i zobaczyć, czy na zachód od miasta nie ma dla nas ratunku. Co jednak uczynić z tymi którzy pozbawieni są środków transportu? Staje na tym, że do innych miast mają zostać wysłani „zwiadowcy”, a reszta ma czekać. Słowo „zwiadowcy” podkreśla atmosferę niepewności jaka tkwi gdzieś wewnątrz nas jakby z przeświadczeniem, że to jeszcze nie koniec, że COŚ czai się w ciemnościach, że COŚ wisi w powietrzu. Samozwańcza, choć to pocieszające, że potrafimy się tak szybko zorganizować, rada uciekinierów prosi o chwilę prywatności. Organizuje sesję zamkniętą. Rozchodzimy się nieznaczenie, ale każdy chciałby słyszeć, co takiego mają sobie do powiedzenia, czego nie możemy słyszeć my. Widzę, że cały czas są na nasłuchu radiowym i próbują uzyskać połączenia telefoniczne. Nie znam skutków tych działań, ale chyba nie jest dobrze. Wracam do samochodu. Robi się zimno, a ja wciąż jestem tylko w spodniach. Zaglądam do bagażnika. Znajduje tam apteczkę samochodową i robię prowizoryczny opatrunek na nodze. Zdaję sobie sprawę, że rana nie jest odpowiednio oczyszczona i że przy zrywaniu bandaża będzie dramat. Nie mniej takie działanie wydaje mi się właściwie. Obok apteczki znajduję stary koc, którym owijam się szczelnie i siadam na tylnym siedzeniu. Zapaliłbym, ale nie bardzo jest co i od kogo. Zaglądam do schowka. Zamiast papierosów znajduje jedynie zapalniczkę i kilka zdjęć. W krótkim płomieniu zapalniczki rozpoznaję na zdjęciach znajome twarze z firmy. Oprócz butów, spodni i uszkodzonego samochodu, to jedyna moja własność. Jakieś opiłki z koca gryzą mnie w gołe plecy ale nie mam siły, że by z nimi walczyć. Moszczę się i ugniatam aż w końcu przestaje je czuć. Jak na ironię zaczyna siąpić drobny deszcz. Co to pomoże! Siedzę tak, myślę i łapie mnie psychiczny dołek. Parzę jak woda kapie z dachu auta, zbiera się u góry deski rozdzielczej w małe bajorko, a potem ścieka na przednie fotele i podłogę. Wszystko się popieprzyło. Nie znoszę takich sytuacji. Lubię mieć życie poukładane i kontrolowane od początku do końca. A tu guzik. Za jedną znajomą twarz z którą mógłbym porozmawiać w tej chwili oddałbym fortunę. Ludzie kręcą się między samochodami. Szukają właśnie znajomych albo bliskich, lekarstw, wody, ubrań. Pytają o wolne miejsca. U mnie są aż cztery ale działa siła miastowych przyzwyczajęń, bo do mnie nikt nie chce się dosiąść. Widzą brak przedniej szyby przez którą leje się do środka deszcz i jak auto jest mocno rozbite. Mój wóz jest mało atrakcyjny jako schronienie. Zapalniczkę włożyłem do przedniej, a zdjęcia schowałem do tylnej kieszeni spodni. Trochę mi przykro. I w tym smutku zasypiam. Od razu. Tak jakby ktoś zerwał nic czuwania, która nie ma prawa „pajęczyć” się na oceanie snów.

Budzi mnie hałas, ruch, bieganina cieni bez ładu i składu, krzyki. Nie mam pojęcia ile czasu mogło upłynąć od momentu mojego zaśnięcia. Wciąż trwa noc. Rozbudzone ciało, szybko dostraja oczy do panującej ciemności. Boczna szyba pomazana jest kroplami deszczu. Widok z przodu zasłania mi dostawczy samochód. Uchylam więc drzwi. Przeszkadza mi koc, ale szybko wyplątuje się z niego. Podświadomie znów włącza się gdzieś we mnie kaloryfer ciepła. Otwieram drzwi szeroko, nogą. Tarasuje drogę biegnącej postaci. To chłopak, który ma nie więcej niż szesnaście – siedemnaście lat. „Co się dzieje?” - pytam – Ten nie chce się zatrzymać, ale właśnie ktoś za mną, włączył światła w aucie i dostrzegam jego przerażoną twarz, a właściwie wielkie jak denka od butelek przerażone oczy. Wyrzuca rękę za siebie w kierunku miasta. Nic nie widzę. Jestem za daleko od krawędzi góry.

Miasto jest w dole. Chce znów złapać języka ale wszyscy mi się panicznie wyrwywają. Znowu patrzę w tamtą stronę. Słyszę jakby grzmot. Odgłos burzy. Cichy, głośny, głośniejszy. To nie odgłos burzy! To znowu ten pomruk, który słyszałem wcześniej. Momentalnie cierpnie mi skóra na karku. Nie mam pojęcia, co to może być, ale wcale tego nie bagatelizuję jak poprzednio. Łącząc seryjność przypadków jestem prawie pewien, że oto ujawnia się przyczyna naszych nieszczęść. Prawie, bo jakoś ciężko mi się jeszcze przekonać, że za chwilę zobaczę kreskowanego potwora. Trzymam kurczowo drzwi samochodu i choć tłum pryska jak spłoszone przez orła króliki, nie uciekam. Muszę mieć dowód. Parę metrów przede mną widzę jakiś mały pokurczony cień. Cień patrzy na mnie. Jestem tego pewien. Czuje smród naftaliny, a poprzez piski opon i sygnały klaksonów słyszę jak przepowiednie: „MOWIŁAM ...!” To ta sfiksowana staruszka! Czego ona ode mnie chce? Też znalazła sobie moment. W następnej chwili uciekający tłum przewraca ją. Gramoli się z powrotem na nogi. Widzę w bładych blaskach reflektorów. Po chwili znów ją przewracają. Gubię ją wzrokiem. To coś znowu ryczy. Portki trzęsą mi się na tyłku i przywieram do auta. Chyba mam marne szanse na to, by wtopić się w karoserię. Dlaczego ci ludzie tak uciekają? Jeszcze raz patrzę tam gdzie kiedyś było miasto. I wtedy, to mnie wyrwywa się z gardła krzyk przerażenia. W poświacie zgłiszcz miasta. Między ziemią a chmurami widzę ohydłą twarz bestii... . Bestii, bo nie wiem jak to inaczej nazwać. Wcale nie jest podobna do tych z kreskówek. Jest gorzej! Już nie pamiętam jaki ostatnio miałem czas na setkę. W każdym bądź razie, zostawiam samochód w ułamku sekundy i zaczynam bić rekord świata w biegu przed siebie. Auto zostawiam bez żalu. W takim tłoku i przy takiej desperacji nie ma szans żeby przebić się nim szybciej do przodu. To coś za mną jest chyba ze trzy razy większe od najwyższego z wieżowców. Zajmuje przestrzeń dokładnie nad miastem, tak jakby okazywało mi nad nim swoje panowanie. Jest muskularne, sino-niebieskie i kołysze się z lekka na boki. Jest tak straszne, tak ohydne, tak realne, że nie potrzeba mi już żadnych dowodów. Poza tym jest cholernie blisko. Tak blisko, że wydaje mi się, że czuje jego oddech na swoich gołych plecach. Widzi nas! Nie ulega wątpliwości, bo ten wzrok przenika wszystko na wylot. Nawet nie wyobrażam sobie tego, co z nami zrobi jak nas dopadnie. Po prostu nie zostanie z nas nic. Kiedy ziemia zaczyna się trząść domyślam się, że idzie po nas. Po te małe ścierwa, które zdołały umknąć mu z miasta. Rozlega się jeden wielki krzyk przerażenia. Choć jest trudniej, bo ziemia podskakuje co raz i jest ślisko po deszczu, staram się biec jeszcze szybciej. Zdzieram twarz na asfalcie ale wstaje jakby, to było nieznacznie ukłucie szpilką. Uciekam ile sił w nogach byle jak najdalej od miejsca naszego ostatniego koczowania. Toruje sobie drogę łokciami, kopniakami, a jak trzeba to i ciągnę za włosy. Tak samo robią ze mną. Klnę wtedy w żywy kamień ale nie ma czasu na odwet. Każde ryknięcie, tąpnięcie i wycie ponagla mnie do szybszego przebiegania nogami.

Nie mam pojęcia jak długo trwała moja paniczna ucieczka. Tłum jaki początkowo towarzyszył mi w ucieczce rozplątał się po rozstajach dróg i kryjówkach. Biegnę dotąd dopóki starcza mi sił i dotąd dopóki nie słyszę już ani ludzkich jęków ani ryków potwora. Ziemia przestaje drżeć. Pewnie zrobiłem jakieś kilkanaście, kilkadziesiąt kilometrów. Później dowlekam się do jakiś niespalonych domów. Jestem tak skonany, że nie mam sił wołać o pomoc. I tak wygląda na to, że nikogo tu nie ma. Któreś z kolei drzwi frontowe nie są zamknięte. Wpełzam do środka. Wykończony walę się na podłogę. Może ktoś mnie znajdzie. W tamtej chwili i w tamtym momencie, było mi wszystko jedno kto to będzie.

Budzę się rankiem dnia następnego. W tej samej pozycji w jakiej zasnąłem. Zziębnięty i skulony w kłębek jak pies. Wszystko mnie boli. Nie wstając rozglądam się po miejscu w którym jestem. W tym domu nic nie jest uszkodzone, nic nie jest spalone ani nawet połamane. Panuje pewien nieporządek, ale taki to i ja czasem miałem, w gdy nie było czasu posprzątać. Nie chce mi się wstać. Brakuje mi motywacji. Chęci do czegokolwiek. Nawet do tego, by podnieść się i okryć czymś.

Gdyby nie ból poranionego ciała i głód, który zaczyna mi doskwierać pewnie długo jeszcze leżałbym na podłodze. Wstaję. Wołam cicho, bo nie wiem czego się spodziewać. Teraz najmniejszy nawet szmer budzi moje podejrzania. Cisza. Śmielej rozglądam się po różnych pomieszczeniach. Dom jest pusty. Czuję się pewniej, bezpieczniej. Jasne, że chciałbym spotkać tu kogoś z ludzi, ale ich brak nie jest dla mnie nieszczęściem. Najważniejsze jest to, że znikąd nie odkrywam zagrożenia. Przeglądam się w lustrze. Nie mogę siebie poznać. Na prawym policzku od ucha do szczęki mam poparataną skórę twarzy. Włosy sztywne jak druty. Sterczą brudne we wszystkie strony świata. Wydają się nieco nadpalone. Doły pod oczami tak duże jakbym nie spał tydzień. Na dodatek poparzona ręka i noga. Aż dziw bierze, że goły tors oprócz zadrapań nie nosi śladów większych uszkodzeń. Zanim zabiorę się do jedzenia przy umywalce zmywam z siebie brud i delikatnie oczyszczam rany. Tak jak przypuszczałem, odrywanie opatrunku z nogi, który wtopił się w uszkodzoną skórę to koszmar. W domowej apteczce znajduję kilka potrzebnych do tego celu akcesoriów. W tym jodynę, której aplikuje sobie końską dawkę. Szczypie. Oj, szczypie. Zaciskam zęby. Znajduję ubranie, które względnie na mnie pasuje. Wybór mam duży. Dom jest własnością przynajmniej dwóch mężczyzn. Poznaje bo noszą różne rozmiary obuwia. Znajduję też ciuchy kobiece i dla dzieci. Teraz dopiero szperam po szafkach w kuchni za jedzeniem. Jest chleb, masło, sery, owoce, jajka, wędlina. Pełne wyposażenie. Kolejno po czajniku, kiedy próbuję zagotować wodę na herbatę, kuchence i lodówce orientuję się, że nie ma prądu. Domyślam się, że z tej też przyczyny zabrakło również wody. Z tą jednak nie będzie kłopotu. Za oknem widzę studnię. Wsuwam kanapkę za kanapką. Są artystycznie przeze mnie wyrzeźbione. W domu nigdy sam nie przygotowywałem jedzenia. Zawsze jadłem na mieście. To dlatego są tak artystyczne. Na lodówce w kuchni stoi radio. Podchodzę. Biorę je do rąk. Zaglądam pod pokrywę. Sprawdzam czy ma baterie. Włączam. Baterie są liche. Z uchem przy głośniku, kręcąc gałką łokciem oparty o stół, spędzam tak dobrych kilka minut. Niestety pośród morza szumów i trzasków nie wyławiam nic, co mogłoby być jakąś umyślną sekwencją sygnałów. Odstawiam je wyłączając. Może jeszcze się przyda. Telefon znajduje w sieni przy szafie na garderobę. Milczy. Próba uruchomienia telewizora spełzła na niczym. Nie ma przecież prądu. Zaczynam chodzić po domu. Jak prawdziwy bohater powinienem teraz działać. Widziałem, że tak to się dzieje w filmach. Po wyleczeniu ran powinienem zrobić wendettę wrogom. Pobić bandę łobuzów i uwolnić piękną kobietę, która się potem we mnie zakocha. Ale jestem w kropce. Wyglądam przez wszystkie możliwe okna. Te które wychodzą na ulicę i na podwórze. Znalazłem się w jakiejś wiosce. Nawet nie wiem jak się nazywa i gdzie leży. Widzę inne domy ale wszędzie panuje zupełny bezruch. Tak jakby wszystkie były opuszczone. Nawet psa z kulawą nogą nie widać, a przecież to wieś. Powinny biegać tu jakieś kury, kaczki czy w ogóle jakiegokolwiek zwierzęta domowe. A tu nic. Nawet wróbla na płocie. Domyślam się, że i tu dotarła wieść o katastrofie i wszyscy uciekli przed bestią. Przypominam sobie naftalinową staruszkę. Jak ona nazwała bestię? Godot, Godat, Goliat! – wreszcie samo wchodzi mi na język i aż cały wzdrygam się na przypomnienie jej widoku. Skąd się ona wzięła i dlaczego zniszczyła nasze miasto? – zastanawiam się. Czy wyszła z oceanu, czy z ziemi, spod miasta? Czytałem kiedyś o tym, że podbijamy kosmos, a sami nie wiemy co kryje się w głębinach. Nieeee....!! To niemożliwe, niemożliwe! To musi być fikcja! To pewnie ten eksperyment o którym słyszałem na wzgórzu. Mnie po prostu nie ma tu gdzie jestem, a to co widzę i czuję to fantazje środków halucynogennych. Może cały czas jestem w domu, w swoim łóżku i tylko nie mogę się obudzić. A może w hotelu dosypali mi czegoś do piwa. Ten Sławek w końcu nie był taki idealny. Od prochów zawsze trzymałem się daleko. Może właśnie tak działa podwójna dawka?

Na dworze jakoś szaro. Nie ma słońca. Ponuro. Znowu łązę z kąta w kąta. Zastanawiam się skąd ta mała naftalinowa staruszka знаła imię bestii. Skąd wiedziała jak go nazywać. A może tak go sobie tylko nazwała. Czegoś mi w tym domu brakuje. Rozglądam się i już wiem.

Nie słyszę tykania zegara. W sumie są dwa. Znajduje je ale i tak nie jestem w stanie stwierdzić która jest godzina. Nie są na prąd. Zwykle, nakręcane. Wszystkie stoją w tej samej pozycji, dziesiątej trzydzieści. Serce szybciej reaguje niż pamięć. Jeszcze się łudzę, że może właśnie teraz jest dziesiąta trzydzieści. Nijak nie mogę jednak przestać nie kojarzyć tego z tym co wczoraj zaczęło się właśnie po dziesiątej wieczorem, bo to by znaczyło, że moje bezpieczne miejsce wcale nie jest tak bezpieczne jakim bym chciał, żeby było.

Jak człowiek jest całe życie przyzwyczajony do wygod i luksusu, to naprawdę ciężko mu się przyzwyczaić do takiego zjawiska jak strach. W końcu popada w paranoję. Widzi coś co nie istnieje. Wydaje mu się że coś słyszał i natychmiast zrywa się szukając przyczyny. Myśli o najgorszym. To szalenie męczące. Po którymś z kolei razie „jak zwykle” podbiegam do okna, bo ... wydaje mi się, że coś słyszałem. Słońce nie wyszło dziś ani razu zza chmur. Wygląda na to, że jest jakoś po południu. Może piąta, może szósta. Nakręciłem zegarki ale nie chcą chodzić. Metalowa sprężyna terkocząc rozwija się natychmiast w kilka obrotów wokół tarczy i zegar staje. Tak jakby był w ogóle nie nakręcony. W dodatku niezmiennie staje na tej samej godzinie. Dziesiątej trzydzieści. Dopiero kiedy palcem na siłę przełamuje opór mechanizmu, mogę ustawić wskazówki w innej pozycji. Na dwór nie mam odwagi wytknąć nosa. Jeśli w tej wiosce jeszcze ktoś jest, to pewnie jest takim samym paranoikiem jak ja. Stoję przy tym oknie i nic. Zapalam papierosa. Znalazłem paczkę tanich fajek w szufladzie. Wiem, że nie odejdę spod tego okna, dopóki na sto procent nie upewnię się, że nic mi nie grozi. I nagle dostrzegam. Drogą idzie dwóch ludzi. Nie wyglądają na specjalnie zmęczonych czy przestraszonych. Po prostu idą sobie jakby nigdy nic. Jak na przechadzce. Chyba o czymś rozmawiają. To mężczyźni mniej więcej w moim wieku. Kiedy dochodzą na wysokość domu w którym się ukrywam oceniam, że warto zaryzykować i ujawnić się. Bo nie wyglądają groźnie. Raczej pospolicie. Skąd ta nieufność? Chyba zbyt dużo widziałem ostatnio, co ludzie mogą zrobić ludziom. Już mam zrobić krok spod okna w kierunku drzwi, kiedy moich uszu dopada nowy dźwięk. Tamci jak na komendę odwracają głowy za siebie. Nadjeżdża samochód. Zatrzymują go machając rękami. Ich interwencja jest niepotrzebna. Auto lekko zajeżdża im drogę i staje z widocznym zamiarem skomunikowania się z nimi. Od strony drogi z auta wychodzi facet. A właściwie nie facet, tylko jakiś szczeniak. Ma nie więcej jak dwadzieścia lat. Szczupły i zapadły w sobie. Chodzi sztywno i ciężko jakby miał przetrącony kręgosłup. Ubrany jest w ciemną skórzaną kurtkę rozchyloną na boki tak, że widać jego nagi tors i szyję zwieńczoną jak się domyślam, złotym łańcuchem. Omija maskę auta z przodu. Staje naprzeciw nich i robi szybki ruch ręką do czoła. Zupełnie jak policjant na patrolu, który chce wylegitymować podejrzanych. Rozmawiają. Silnego entuzjazmu na ich twarzach nie dostrzegam. Co prawda jeden z tych co szli stoi odwrócony do mnie tyłem, ale czuje to. Wszystko dzieje się jakieś trzydzieści metrów od mojej kryjówki. Dzieli nas niski płotek, trawnik no i ściana domu. Ten co wysiadł bierze ręce pod boki i prezentuje im swoją klatę. Tak niby od niechcenia. Ale musieli coś tam dostrzec, bo obydwaj gwałtownie odskakują na krok do tyłu. Rozmowa toczy się dalej ale widzę, że jest nerwowo. Cały czas patrzą na jego brzuch. Wątpię, by jego wystające żebra były obiektem tego zapatrzenia. Nagle przybysz jakby znudzony tym co słyszy, wyciąga zza paska spluwę i z najbliższej odległości strzela. Jeden za drugim padają na ziemię. Tyle co zdążyli się skulić. Stoję oniemiały. Morderca ze stoickim spokojem wciąga brzuch i chowa broń z powrotem za pasek. Ze stoickim spokojem patrzy na to czego dokonał. Pochyla się. Obserwację utrudnia mi nieco płot ale widzę, że coś przy nich robi. Pewnie przeszukuje im kieszenie. Nie wiem czy to kwestia bandyckiego napadu, czy jakieś porachunki. Zachowuje się dziwnie. Zupełnie jak pies. Obchodzi ich ciała na czworakach i patrzy na nich z bliska. Aż nie mogę uwierzyć. On ich obwąchuje! Widzę teraz dokładnie pomiędzy prętami płotu. Trwa to jakiś czas. Potem prostuje tułów i zaczyna trząść jak w febrze. Tak silnie, że aż musi przytrzymać się samochodu. Coś z siebie wypluwa, a może wymiotuje. Stąd nie mogę rozpoznać. Potem wyje. Wyje jak wilkołak.

Wycie jest przenikliwe, wysokie i świdruje całe otoczenie trudną do wytrzymania modulacją fali dźwiękowej. Uspokaja się. Odbył jakiś rytuał, po którym czuje się spełniony. Ma zamiar odjeżdżać, robi ruch w kierunku samochodu, łapie za klamkę. Ale nie! Nagle odwraca się i czujnie patrzy na mój dom. Wydaje mi się, że patrzy wprost na mnie ukrytego za zasłoną! Unosi lekko głowę i nieznacznie wysuwa ją w kierunku domu. Agresywnie i podejrzliwie wciąga nozdrzami powietrze. Zupełnie jak wilk, który wyczuwa na odległość zapach zwierzyny. Zamieram. Czyżby domyślał się, że ktoś go obserwuje? Zaczynam dygotać. Jestem jak filizanka w kredensie podczas trzęsienia ziemi. To zbyt wiele jak na mnie w ciągu tych kilkunastu godzin. Papieros pali mi palce i nie jestem w stanie go zgasić, czy choćby upuścić. Nic na to nie mogę poradzić. Czuje, że za chwilę przewrócę się i narobię takiego hałasu, że na pewno mnie odkryje a wtedy Widzę jak cofa głowę i rozluźnia się. Wskakuje do auta i odjeżdża. Teraz dopiero osuwam się na kolana. Roztrzęsionymi rękami, poparzonym palcem, gaszę papierosa o podłogę. Niewiele brakowało, a po wielkiej ucieczce z miasta załatwiłby mnie jakiś psychol. Zapada zmrok a wkrótce znów przychodzi noc. Noc pełna przywidzeń i koszmarów. Wciąż coś słyszę, wciąż coś widzę. Stąpanie po strychu, cienie na podwórzu, głosy, przejeżdżające auta, choć noc czarna jak oko wykol.

Moje chwile krótkich pół snów są rzutki i niespokojne. Początkowo miałem zamiar ukrywać się tu dłużej i czekać na przybycie ratunku, ale im bliżej kolejnego ranka tym bardziej chcę stąd wyjechać. Niebezpiecznie tu. Ale rankiem, choć zmęczony jestem po nie przespanej nocy, rozmyślam się. Taka ludzka słabość. Nikła nadzieja mówi mi, że może będzie lepiej, że może stanie się coś, że może skądś przyjdzie ratunek.

Mijają cztery dni odkąd jestem więźniem własnych słabości i strachu przed nieznanym. Od czterech dni tkwię w domu na wsi w którym powoli kończy się jedzenie. Najgorsze są noce. To wtedy, prawie za każdym razem przysięgam sobie, że rankiem stąd ucieknę. Kiedy wstaje świt zmieniam jednak decyzję. Przesuwam termin o jeszcze jeden dzień i o jeszcze jeden. Wciąż czekam na ratunek, wciąż gapie się w okno i nasłuchuję. Na próżno. Znikąd nikogo nie widać. Ta okolica to prawdziwa pustynia. Zmierzchem przebiegam do budynków gospodarczych, by sprawdzić co tam jest. Znalazłem samochód. Stoi w garażu i jest sprawny. A przynajmniej tak mi się wydaje. Nigdzie żadnych ludzi. Nikt nie pali świec. Nie dostrzegam trupów moich gospodarzy. O dziwo, tych zabitych na drodze też nie ma. Może ktoś je zabrał i nie zauważyłem. Ścierwa zwierząt gniją w oborze. Powietrze przesiąknięte jest nieznośnym odorem, który niczym niewidzialny smog unosi się nad całą wsią jakby była czymś naznaczona. Mój jedyny przyjaciel, radio, zamilkł wczoraj. Wysiadło mu bateryjne serce. Jest radio w aucie. Na nim będę kontynuował poszukiwanie życia. Dziś w nocy widziałem nad polami z tyłu domu lunę ognia. Nie mam zamiaru dłużej czekać. Znosi się na to, że nikt nigdy nie przyjdzie mnie uratować, bo prawdopodobnie zostałem sam na ty ziemskim padole. To skrajna myśl. Racjonalizm nie jest jednak moją mocną stroną. Nie w tej chwili. Wyobrażam sobie nawet, że skoro jestem sam, to ten potwór szuka już tylko mnie, żeby dokończyć dzieła. Nie czuje się wybrany. Po prostu nie wiem co o tym myśleć, bo tu niczego nie da się przewidzieć. A on znowu jest blisko.

Droga Emmo!

Byłem akurat w pracowni, kiedy pod nasz dom zajechał samochód. Zakurzony i brudny. Widać przebył daleką drogę zanim dotarł na nasze podwórze. Pomyślałem, że to jakiś wędrowiec, wiesz z tych mobilnych i samotnych, co z zapalem przemierzają połacie naszego kraju w poszukiwaniu przygód i swojego miejsca na ziemi, zupełnie nie dbając o wygody i nie zwracając uwagi na trudy drogi. Podoba mi się to, bo po trosze mają wszyscy oni duszę odzwierciedlającą moją. Są artystami. Choć na swój sposób. Nieświadomie tworzą, zapisują dzieło swojego życia, bagatelizując jego wartość i nie dbając o przekaz dla innych. A wszystko dlatego, że z przekory, z zasady są aspołeczni. To samotne wilki uczulone na kanony prawa, z wyboru. Mój wiek pozwala mi zaledwie na machanie pędzlem po płótnie a oni są młodzi, gniewni i niepokorni. Mogą zrobić wszystko i gdzie chcą byleby ich tylko nogi poniosły, no i mieli na to ochotę. Ochota u tych młodych to naprawdę ważna rzecz. Z jednej strony są materialnymi wyzyskiwaczami, z drugiej dzięki duchowi przygody nijak nie potrafią się dzięki materializmowi ustabilizować. Brak stabilizacji destrukcyjnie wpływa na ich wizję posiadania tak błahej zdawałoby się rzeczy jaką jest ochota. Nie wspominając tu pod żadnym pozorem pracy fizycznej, bo temu są naprawdę dalecy. Przepuszczają wszystko jak leci. Tego trochę im zazdrozczę. Moje, nasze pokolenie, wolność pojmowało w inny sposób. Dopisywało do niej prawie zawsze patriotyczne pierwiastki. Nikt wtedy nie myślał o tym, że prawdziwa swoboda kojarzyć się może z anarchią.

Wybacz, że przez ostatnie dwa miesiące nie dawałem żadnego znaku życia. Moja praca pochłonęła mnie całkowicie. Maluje teraz z pasją i werwą jakiej dotąd nie miałem. Odkrywam w sobie wciąż nowe pomysły, nowe zaskakujące pokłady sztuki. Łączę ze sobą style, kierunki i przekraczam ustalone przez moich wielkich poprzedników ramy przestrzenne. Daje to zaskakujące efekty. Wiem, że na publicznym pokazie jaki co roku organizuję w Saint Lorret pan Rousseau będzie krytykował moją twórczość ale jestem już do tego przyzwyczajony. On po prostu nie lubi mnie i ta wrogość przesłania mu cały mój trud tworzenia. Mam cichą nadzieję, że ci którzy są teraz samotnymi wilkami, jak ten co do mnie przyjechał i śpi teraz na poddaszu, przekonają się do tego co już namalowałem. Sztuka nie może stać w miejscu. Ja nadaje jej nową wizję, nowe życie.

Moja praca pochłonęła mnie tak bardzo, że nawet nie zmieniam ubrania. Chodzę cały czas w ogrodniczkach, które dostałem od naszej córki na moje pięćdziesiąte urodziny. Są bardzo wygodne. Mają kieszenie w których wszystko się mieści. Dzięki tym kieszeniom, to czego potrzebuję zawsze jest pod ręką. Trochę się przybrudziły, bo w pasji zapominam i wycieram w nie ręce umazane farbą. Ale to nic. Podoba mi się zapach terpentyny jakim nasiąknęły. One powoli same stają się sztuką. Nawet nie zauważyłem jak w tym tygodniu minęła środa. Środa to dzień w którym przyjeżdża do mnie pan Tramell z Saint Lorret. Robi tak zawsze, co dwa tygodnie, od kiedy skrzyłem nogę w kostce. Pamiętasz pana Tramell? Pisałem ci o nim w poprzednim liście. To naprawdę poczciwy człowiek. W odwiedzinie wpada około południa. Przywozi mi wieści ze świata i rzeczy, które u niego zamawiam podczas poprzedniej wizyty. Jedzenie, płótna i farby. Przede wszystkim farby. Pan Tramell nie zna się na tym co robię, dlatego zawsze muszę pisać mu na kartce jaki numer pędzla jest mi potrzebny, jaka farba i jakie płótno. Z tą kartką idzie do sklepu i po prostu kładzie ją na ladzie. Kiedy nie wszystko dostępne jest od ręki, cierpliwie czeka aż dowiozą z Saint Grees. Potem odbiera i przywozi. Moje obrazy, choć ich nie rozumie podobają mu się. Podejrzewam jednak, że czyni tak przez grzeczność. Bardziej rad jest z tego, że może ze mną pogawędzić. Może nawet nie zauważyłbym, że minął dzień naszego spotkania ale zabrakło mi kości słoniowej, którą muszę umieścić na kurtce jednej z madame na moim nowym dziele. Poza tym chciałbym wiedzieć dlaczego nie ma prądu.

Co prawda i tak nie pracuje po zmroku, bo wtedy nie ma odpowiedniego światła ale mógłbym sobie zbijać ramy i przygotowywać płótna pod następne dni. Tym bardziej, że pogodę ostatnio mam brzydką. Dzisiaj już jest sobota a pana Tramell jak nie ma tak nie ma. Nie mam pojęcia co mogło się stać. Kiedy chorował zwykle przysyłał swojego syna. Tak też wydawało mi się, kiedy podjechał samochód. Przybysz nazbyt jednak różni się od młodego Patryka. Poprosiłem go, by zechciał podwieźć mnie do miasta ale on jest jakiś dziwny. Wygląda jakby przed czymś uciekał. Jest niespokojny i agresywny. W pokoju na poddaszu robi coś podejrzanego, bo nie chce żebym tam wchodził. Nie do końca rozumiem to młode pokolenie. Ale szanuję je za wybór drogi życia jakiego dokonało. Nie wszystkich stać na to żeby żyć w samotności i być na przekór społeczeństwu, upartym w nieakceptowanym przez ogół, stylu życia. Do Saint Lorret nie jest daleko. Ze względu na kostkę nie mam jednak odwagi ruszyć pieszo. Co prawda wypadek zdarzył się już dawno temu ale ja jestem już stary i w tym wieku rany nie goja się tak szybko. Mój gość przespał u mnie kolejną noc. Rankiem nie pytając mnie o zdanie zaczął coś budować na moim podwórku. Musiałem pomylić się co do niego, że może być jak reszta młodych niepokornych, niekonstruktywny. Obudziły mnie stukoty i rąbanie siekiery. Prawdziwy artysta – pomyślałem widząc początek jego rzeźby. Patrząc na jego zapał i impulsywność podziwiałem ekspresję z jaką zaczął tworzyć. Od wczoraj nie widziałem, żeby coś jadł. Przygotowałem więc dla niego śniadanie i zaniósłem mu je na podwórze. Nie chciał, nawet na nie, nie spojrzeć. Ta rzeźba musiała być dla niego bardzo ważna. Siła, przejrzystość wizji i pasja z jaką oddawał się swej robocie przypominała mi moja własną. Poprosił, bym przygotował farby i płótno, bo chce żebym go namalował. Rad byłem, że mogę mu pomóc i że mała część mojego stylu stanie się częścią jego dzieła. Nie chciał mi zdradzić co to będzie. Śniadanie, które mu przygotowałem sam zjadłem. Pracował szybko więc i ja zaraz po posiłku zacząłem przygotowywać potrzebne rzeczy aby go sportretować.

Nasz rozstanie, choć od tamtej chwili minęło już wiele lat, wciąż chodzi mi po głowie. Zadaje sobie pytanie, czy rzeczywiście była to konieczność, czy tylko nasza głupota powodowana wzajemną obrazą. Wiesz jak to jest. Zbyt dużo słów wypowiedzianych jednym tchem i niepotrzebnie, a potem zbyt mało odwagi, żeby jako pierwszy schować ostrze szabli przygotowanej do walki. Zadręczam się myślą, że może było jakieś inne wyjście, które uratowałyby nasz związek. Pewnych rzeczy nie da się jednak cofnąć. Siła tworzenia nowego poprzez ruiny byłości jest bezlitosna. Bez niej jednak nie byłoby postępu. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa z tamtym człowiekiem, tak jak ja ze swoimi obrazami. Muszę kończyć. Wygląda no to, że mój tajemniczy gość skończył swe dzieło. Hmm ... myślałem, że stać go na więcej.

Twój Edward
Isoleprint, 29 listopada 2068

Ze wsi, która nazywała się Ripp Hill wygnał mnie pożar, ale nie ten o którym wspominałem wcześniej. Następnej nocy był drugi, większy. Mniej więcej z tego samego kierunku. Od dołu szedł jasny płomień, a im wyżej tym bardziej zmieniał się na pomarańczowy. Paliło się długo i było jasne, że nikt nie próbuje nad nim zapanować. Nadzieja jest największą głupotą z zalet jaką został obdarzony człowiek. Dlaczego? Bo jest naiwna. Co z tego, że już po pierwszym pożarze obiecywałem sobie wyjazd. Obiecywałem każdego ranka po każdej nocy, i co? Karmiąc się złudzeniami mimo wszystko zostałem. To ta mizerna ludzka niestałość w poszukiwaniu złotego środka do konsekwencji. Jeden krok w przód, dwa kroki w tył. Ciągłe odkładanie wyjazdu też nie miało sensu z jeszcze innego powodu. Kończyły się zapasy jedzenia, a i woda ze studni zaczęła cuchnąć. Nawet gdybym zaczął wrywać marchew i ziemniaki z pola i stołować się po innych domach, to jak długo? Chciałbym odnaleźć ludzi, nie jednego czy dwóch, bo to i tak nie rozwiąże sytuacji. Chciałbym odnaleźć zorganizowaną ludzką społeczność i wreszcie przestać się bać. Tu nie było wiadomo co przyniesie następny dzień. Żadnej pewności, żadnej przewidywalności zdarzeń. Poza tym, gdzieś muszą być ludzie, którzy uciekli z tej wioski a może i wiosek i miast z całego świata. Jak się zorientowałem na podstawie „zzafirankowych” obserwacji oprócz mnie, rzeczywiście nie było tu żywego ducha. Byłoby źle, gdyby gdzieś coś działo się beze mnie. Z drugiej strony, opuścić w miarę bezpieczną kryjówkę też nie było łatwo. Na pustej drodze, gdzie nie będzie możliwości udawania, że mnie tam nie ma, stanę się celem który wręcz rozbawi wytrawnego myśliwego. Nie dość, że Goliat może mnie zobaczyć, to jeszcze mogę trafić w łapy takich bandziorów, jak ten co zabił pieszych przed „moim” domem. I tak źle i tak niedobrze. Z dwójga złego w końcu wybrałem to pierwsze. Po prostu mam pietra, że któreś nocy mój koszmar się urzeczywistni i obudzę się otoczony płomieniami. A wtedy on już dopilnuje, żebym nie mógł się spośród nich wydostać. Jeśli ruszę i spotkam go w „dzień”, może udami się z nim jakoś dogadać. W końcu co on może ode mnie chcieć jednego? Nawet mnie nie zna.

Samochód moich gospodarzy wcale nie był zły. Zorientowałem się, że kiedyś stał tu drugi, którym prawdopodobnie uciekli. Kiedy jednak zapuściłem silnik, hałas jaki robił był tak straszny, że mało co abym się rozmyślił. Silnik pracował normalnie. To uszy przyzwyczajone do ciągłej ciszy i nasłuchiwania, alarmująco ostrzegały mnie, że wpakuje się zaraz w kłopoty. Pełny obaw wyruszyłem w drogę. Kiedy tu przychodziłem była ciemna noc. Za podstawę ucieczki przyjąłem więc kierunek „byle dalej od miasta”. Tam wracać nie było po co. Okolicy nie znałem. Innych kierunków odniesienia nie było. Wiem, że na zachód od miasta jest ocean czyli powinienem jechać na wschód. No dobrze, ale jak stwierdzić gdzie jest ten wschód? Może mógłbym to zrobić na podstawie słońca albo gwiazd, ale niebo wciąż spowite jest powalą granatowych, ciężkich chmur, które poruszają się po nim jak dostojne deszczowe rydwany. Te chmury kłębią się, przewalają i wpadają na siebie grzęznąc we własnych siłach rozpędu. Przesłaniają świat jak parasol. Ani krzty słonecznego promienia. Właściwie to trudno odróżnić dzień od nocy. Zamiast jasno jest szaro. Uczono mnie kiedyś, że kierunek świata można określić po mchu na pniu albo po ułożeniu koron drzew. Wszystko wyleciało mi jednak z głowy. Robię łącznie jakieś pięćset kilometrów, starając się utrzymać kierunek wschodni. Z przerwami na tankowanie paliwa, zdobycie wody i czegoś do jedzenia. Całkiem nieźle zaopatrzony też jestem w broń. Pistolet krótki, karabin, amunicję, nóż, lornetkę, noktowizor, granaty. Granatnik i miotacz ognia również, choć mam awersję na ogień pod każdą postacią. Mój wóz z wozu typowo rodzinnego stał się wozem pancernym. Zdobyłem przede wszystkim **kompas i mapy!** Są ważniejsze od całego arsenału broni jaki posiadam. Mijam miasta, miasteczka, wioski większe i mniejsze oraz pojedyncze domy. Nigdzie nie ma ludzi. Tak jakby ktoś wywiózł ich stąd w pośpiechu albo wszyscy w panice uciekli w nieznanne miejsce. Jestem pięćset kilometrów na wschód od Ripp Hill i wszędzie jest tak samo. Ani jednego, nawet martwego człowieka!

Zadziwiająco, bo ślady bytności są wszechobecne.auta stoją na ulicy w równym rzędzie pod wygasłymi światłami, jakby wciąż miały nadzieję, że w końcu zapali się zielone, mieszkania pootwierane są na oścież. Widzę pozostawione zakupy w sklepach, porzucane pieniądze, ubrania, niedojedzone kanapki, spalone garnki na kuchenkach gazowych i kosze z bielizną, której części nikt nie zdjął ze sznura. Wszędzie bałagan i nieporządek, co zaświadcza o niebywałym wręcz pośpiechu z jakim opuszczano te miejsca, zupełnie nie dbając o to, co stanie się z majątkiem. Jak można było wypędzić tak wielkie masy ludzi? Patrzę na mój zdobyczny pistolet. Nie jest żadną przeciwwagą do tego co obserwuję. Siła złego jaka tu działała robi z niego wręcz śmieszną odpustową pukawkę. Ci ludzie też mieli broń. Więcej i lepszą. Formacje wojska, policji, samoobrony, lepiej wiedziały jak jej użyć a mimo to nie dali rady. Może nie tyle nie zdążyli jej użyć, co na Goliata ona nie działa. Żaden konwencjonalny środek nijak nie zapobiegł jego atakowi. Tu raczej potrzebna byłaby magia. Czary, które zatrzymałyby jego śmiercionośny pochód. Czuję, że jak go spotkam, to nie będzie o czym rozmawiać. On chce nas wszystkich wykończyć z zasady. Bo nie przypuszczam żebyśmy mu kiedykolwiek coś zrobili. Jesteśmy za słabi wobec siły jaką prezentuje.

Trzeci dzień w drodze. Za mną około 1500km. Przez ten czas słońce ani razu nie przebiło się przez chmury. W dalszym ciągu nie spotykam ludzi. Z braku światła słonecznego rośliny zmarniały w oczach, a liście wiszą na drzewach jak sflaczałe balony, albo małe zmarznięte nietoperze. Trawa kładzie się po ziemi jak zboże po ciężkiej ulewie. Nie przypuszczam jednak, by od tego wyzdychały wszystkie zwierzęta. Taki pies na przykład, to chyba zje wszystko, a jednak żaden nie przeżył. Nie liczę psa z miasta z czerwoną kokardą na szyi. Jednak to nie psy ani koty widuję najczęściej ale różnej maści i upierzenia ptaki. Leżą to tu to tam, jak poduszone, jakby na zawał serca wszystkie naraz pospadały z nieba. Skoro nigdzie nikogo nie ma, to nie mam żadnych problemów z zaopatrzeniem. To co mi jest potrzebne po prostu zabieram ze sklepu. Nie muszę się włamywać, bo nie są pozamykane. A przynajmniej nie wszystkie. Wchodzę i wybieram. Paranoja dobrobytu. Paliwa do auta mam wszędzie pod dostatkiem. Mylił by się jednak ten co twierdziłby, że to prosta sprawa napełnić bak do pełna. Nie ma przecież prądu i nie działają dystrybutory na stacjach paliw. Początkowo bawię się w spuszczenie paliwa wężykiem z innych samochodów ale ten proces trwa za długo. A jak ktoś jest bez wprawy w tych rzeczach a ja jestem, to znaczna jego część ląduje w moim żołądku. Człowiek uczy się cały czas, dlatego od niedawna wożę ze sobą ręczną pompę zasysającą. Znalazłem ją w sklepie z artykułami hydraulicznymi. Podjeżdżam z tym urządzeniem pod dystrybutor, podłączam końcówki i za jakieś czterdzieści pociągnięć ramieniem mam zbiornik pełen benzyny. Plus dwudziestolitrowe kanistry w bagażniku. Przy artykułach spożywczych uważam na daty ważności, żeby się nie struć, bo leczyć sam się nie potrafię. Po drogach poruszam się tylko za tzw. dnia. W nocy, nie chcę palić reflektorów, wydaje mi się to zbyt niebezpieczne. Światła widać z daleka. Na nocleg z reguły wybieram wsie. Jak zacznie się palić ze wsi łatwiej jest uciec. Poza tym mniejsza zabudowa kojarzy mi się z większym bezpieczeństwem. Pamiętam przecież jak trudno było mi się wydostać z miasta zaraz po wybuchu i jak długo z powodzeniem ukrywałem się w Ripp Hill. Muszę jeszcze dodać, że zanim do takiej wsi wjadę najpierw lustruję ją przez lornetkę. Sprawdzam czy nikt podejrzany się po niej nie kręci. Na sen wybieram opuszczone garaże albo takie miejsca, które nie rzucają się w oczy. Gdzie wtopić mogę się w otoczenie zupełnie jakby moje auto stało tam od zawsze. Nigdy nie czynię tego w otwartym polu ani przy samej drodze, bo to też wydaje mi się niebezpieczne. Moimi kategoriami wcale nie musi myśleć Goliat ale jego sposobu myślenia nie znam, więc polegam na swoim i swojej intuicji. Wiem tylko, że zabija ludzi, a potem zabiera ciała i gdzieś wywozi. Tak myślę. Może są mu do czego potrzebne? Podczas noclegu nieocenioną rzeczą staje się noktowizor. To takie urządzenie, które przenika ciemność. Ale bez przesady. Ma mały zasięg.

Około pięćdziesięciu metrów, może siedemdziesiąt. Zanim wybiorę miejsce na spoczynek wkładam go na głowę i jak radar, długo, dokładnie i czujnie omiatam okolice wokół. Jeśli nie dostrzegam nic podejrzanego zostaję w wybranym przez siebie miejscu. Staram się nie spać w samochodzie. Szukam jakiejś niszy opodal w której mogę się zaszyć i mieć jednocześnie auto na widoku. Dlaczego? Po całodniowych jazdach, silnik rozgrzany jest do czerwoności. Nie mogę czekać w nieskończoność aż ostygnie. Przez noktowizor dokładnie widać, które auto była niedawno w trasie a które nie. To na wypadek gdyby ktoś okazał się równie sprytny jak ja i też używał noktowizora. Jak wspomniałem człowiek uczy się cały czas. Niekoniecznie na błędach. Zaopatrzony w pistolet kryję się niedaleko, starając się dobrze zamaskować. Tzw. ranki są mroźne. Opatulony w kurtki i koce prawie zawsze dygoczę z zimna. Wolę jednak to, niż zostać zaskoczony podczas snu w aucie.

Jest takie powiedzenie: „Czas to pojęcie względne”. Dotychczas był to dla mnie pusty slogan. Teraz szczególnie dobrze wiem co znaczy „względne”. Czas nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Jakie może mieć znaczenie, skoro dzień ciężko odróżnić od nocy. Skoro żaden zegarek nie tyka, skoro nic nie odmierza. Nigdzie nie muszę zdążyć, nikt na mnie nie czeka. Żaden autobus, żaden pociąg, żaden człowiek. Nigdzie nie jestem umówiony, nie muszę iść do pracy, nie muszę wstać, nie muszę się położyć. Ja nic nie muszę! Względność czasu nie ma odniesienia do niczego, bo nie istnieje aktualnie żaden układ wobec którego mogłaby mieć zastosowanie. Mówię tak, bo od tygodnia jestem w drodze. Samotny żagiel na pustym oceanie. Mniej więcej od tygodnia, bo kalendarza ze sobą nie wożę i kartek nie wydzieram. Moja ambicja liczenia dni spędzonych w samotności zaplątała mi się. Ile kilometrów przejechałem w tym czasie nie jestem w stanie określić. Licznik przerzucił się już dookoła tarczy kilka razy. Przeżyłem tydzień. To dużo, bo wiem ile wydarzyć może się w jedną noc. Nie zapominam jednak, że jestem człowiekiem i wciąż udoskonalam metody ukrywania się. Instykt samozachowawczy. Stosuję to, co sprawdziło mi się dotychczas. Żadnej jazdy na reflektorach, spanie poza autem w ustronnych miejscach i zaopatrywanie się w różnego rodzaju środki tylko konieczne, bo w pewnym momencie mój wóz zaczął przypominać wóz pancerny i ciężarówkę, a nie auto, którym można szybko uciec w razie potrzeby. O dziwo jest spokojnie. Dawno, bardzo dawno nie widziałem żadnego pożaru. Raz, wydawało mi się, że coś dostrzegam ale to chyba nie był ogień. Może światła samochodu. Nie wiem. Odległość była zbyt wielka, a pochyły horyzont uniemożliwiał dokładne rozpoznanie. Było to w czasie, kiedy zgasilem już silnik na nocleg.

Mapą posługuje się bardzo często, jakby to był obowiązek albo relikwia. Bez niej jestem ślepy jak kret i zakręcony jak mysz. A jak się mysz wypuści z pudełka w którym spędziła większość życia w szczere pole, to głupieje. Ze mną jest podobnie. Trwam w postanowieniu jazdy na wschód. Chodzi mi po głowie, że im dalej jadę tym większe są szanse na odnalezienie żywych ludzi. Choć tydzień tułaczkę i to co znajduję, wcale mnie do tego optymistycznie nie nastrajają. Widzę na mapie przeciwny kraniec kontynentu i Morze Tallahassee, które oblewa go z drugiej strony. To jeszcze kilka dni drogi. Obawiam się, że mogę tam dojechać i nikogo nie spotkać. Ale póki co, muszę to sprawdzić. Życie lubi kontrasty, jak z jednej strony jest źle, to z drugiej jest lepiej.

W nowej rzeczywistości nic jednak nie da się przewidzieć ani zaplanować. Zabłądziłem! Nie wiem jak to możliwe ale zabłądziłem. Przejechałem przez most na rzece Conway. Miałem zaplanowane tankowanie paliwa w miejscowości Reno. Tuż za mostem. Tymczasem dotarłem do Greenlake. Greenlake na mapie znajduje się za mną. Za mną, to znaczy, że już w nim byłem. Tydzień temu. Innych miejscowości o tej samej nazwie nie ma! Wiem, bo sprawdziłem w spisie. Jest tylko jedno Greenlake. Ale w takim razie gdzie się podziało Reno? Może to pomyłka w druku? To możliwe.

Wracam z powrotem przez rzekę, do Modeste. Próbuję odnaleźć inny most na północ od Modeste. Ten jednakże jest zerwany. Kolejny również. Zawracam i jadę wzdłuż rzeki, przez Modeste na południe. Pierwszy napotkany most, tak jak poprzednie jest zerwany. Zaczynam się mocno niepokoić. Narobiłem sporo kilometrów wzdłuż rzeki szukając innej przeprawy i zmarnowałem dodatkowy kanister paliwa. Wracam do jedyne go czynnego mostu. Ponownie przejeżdżam na drugą stronę i widzę tablicę z nazwą miasta Greenlake. Robi mi się gorąco, bo po następnych dwudziestu kilometrach wiem już, że z jakiegoś powodu przesunąłem się w terenie, o jakiś tydzień drogi do tyłu. Zatrzymuję się. Wsiadam. Wyjmuję papierosy. Ręce latają mi jak kupiec po pustym sklepie. Pałac rozkładam mapę na masce samochodu. Przewalam kartki w te i z powrotem próbując znaleźć w myślach jakiś punkt zaczepienia. Punkt z którego mógłbym logicznie wytłumaczyć sobie gdzie ja właściwie jestem. Czy oszukuje mnie mapa czy mylą mnie oczy. I czy takie coś jest w ogóle możliwe. Nie potrafię wyzbyć się myślenia człowieka z normalnego świata. A przynajmniej takim trybem człowieka z normalnego świata prowadzę analizy. Wychodzi mi to jakoś w materii ukrywania się. Ale jeśli chodzi o porządkowanie, sklecenie schematów, próby tłumaczeń, wciąż jestem ten „stary”. A przecież zniszczone miasto, wymarłe okolice, potwór którego widziałem istnieją naprawdę. Sam sobie tego nie wymyśliłem. Ja jednak wciąż zastanawiam się, czy takie cofnięcie jest możliwe zamiast dumać nad tym, co ono może oznaczać lub jakie konsekwencje nieść ze sobą. Drugi papieros. Reasumując. Teleportowało mnie, zaraz za rzeką Conway, licząc po pięćset kilometrów dziennie jakieś trzy i pół tysiąca kilometrów do tyłu. Kawał drogi i czasu. Co dziwne nie odczułem tego na sobie. Odruchowo sięgam ręką do twarzy. Mój zarost wcale nie świadczy o tym, że gdzieś zgubiłem siedem dni. To musiało stać się natychmiast. Modeste, to ostatnie miasto, ostatni punkt jaki zgadzał mi się z mapą. Potem nie ma drogi przyszej, a jest wsteczna. Ja, mój samochód i moje sprzęty są normalne. Okolice nie. Skoro to sprawka Goliata, skoro on wie gdzie mogę się ukrywać, to nie rozumiem powodów jakimi się kierował. To nielogiczne. Przecież mógłby tu przyjść i po prostu zabić lub mnie porwać. Przecież to jak spluć dla takiego potwora. A tymczasem ani go widu ani słyhu, choć podświadomie da się odczuć jego obecność. Tak jak wtedy na wzgórzach za miastem. Co robić? Cofnąć się do Modeste, gdzie jest „normalnie” i tam szukać rozwiązania zagadki, czy jechać dalej? Ale jak pojadę dalej, to po siedmiu dniach i tak zjawię się w Modeste! Niech to szlag. Jestem w takiej kropce, że zaczynam myśleć, że zwariowałem. Miętoszę w palcach papierosa numer trzy. Ale nie będę palił, bo mi się już rzygać chce. Może spróbować jazdy na północ albo na południe? Tu olśnienie. A jeśli on tego właśnie ode mnie oczekuje? Pozrywał mosty i cofnął mnie, żebym zmienił kierunek jazdy i sam wpadł w jego sidła. Ale po co? Bo nie chce, żebym dalej jechał na wschód, bo tam jest coś czego nie powinienem zobaczyć. Na przykład ludzie. Żywi ludzie! W dalszym ciągu nie mogę zrozumieć jednak dlaczego nie może zabić mnie od razu, skoro wie gdzie mogę się ukrywać. To jakaś perfidna gra. Ciuciubabka. Przeświadczenie, że nad brzegiem Morza Tallahassee znajdę ratunek w postaci żywych ludzi jest tak silne, że ostatecznie rezygnuję z ucieczki w innym kierunku. Nie cofam się też tych dwudziestu kilometrów, które przejechałem, ale śmiało powtarzam trasę kilometr po kilometrze, by za siedem dni znów dotrzeć do Modeste. Co będzie jak po przejechaniu rzeki, zamiast Reno znów będzie Greenlake. Nie myślę. Zakurzona, odstawiona na półkę, niechciana nadzieja budzi się we mnie na nowo. Boję się, żeby ponownie nie okazała się ślepa w swojej naiwności.

Po opóźnieniu spowodowanym przestojem w Caregan. Niestety, dopadły mnie niemiłe sensacje żołądkowe, spowodowane prawdopodobnie konsumpcją zepsutej żywności, na siódmy dzień wieczorem, wjeżdżam po raz drugi do Modeste.

Liczyłem na to, że coś wydarzy się po drodze ale całe siedem dni upłynęło zadziwiająco spokojnie. Pomimo zmęczenia czuję niesamowite podniecenie. Chyba dzisiejszej nocy nie będę spał w ogóle. Będę rozmyślał, karmił i dławił się na przemian nadzieją, że jutro wjadę do Reno. Tego prawdziwego i droga nad Morze Tallahassee stanie dla mnie otworem. Choć tak naprawdę, to nie jestem pewien co zrobię, kiedy okaże się, że nic nie uległo zmianie i w dalszy ciągu nie ma Reno. Trzeci raz tą samą drogą nie pojadę.

Szukając miejsca na nocleg, tak długo marudziłem, aż poczułem nieznośne napięcie w pęcherzu. Zatem parkuje byle jak, wyłączam światła, wkładam pędem noktowizor na głowę i wyskakuję z auta pod ogrodzenie chałupy. Mógłbym wyjść i łać po prostu gdziekolwiek, bo nie ma przed kim zachowywać pozorów, ale od niektórych rzeczy trudno się odzwyczaić i robi się je automatycznie. Strumień moczu w świetle noktowizora wygląda przekomicznie. Błyszczący i paruje jakby to był strumień rozgrzanego metalu. Ale ulga. Podciągam zamek spodni do góry, odwracam się i drętwięję z zaskoczenia. W luce między domami stoi auto, nie szczególnego. Po prostu przez noktowizor widzę zarys samochodu z absolutnie wyźębionym silnikiem. Tyle, że na dachu auta z nogami spuszczoneymi na przednią szybę siedzi człowiek. ŻYWY! Głowę ma nienaturalnie odkształconą w górę, jakby rozciągniętą. To noktowizor. Gapi się na mnie podrygując nogą. Nie przypuszczałem, by widok żywego człowieka miał kiedykolwiek zrobić na mnie tak piorunujące wrażenie. Nie śmiem poruszyć palcem i patrzę na niego jak na unikalne zwierzę. Zupełnie jak dzieciak w zoo, do którego matka zabrała go po raz pierwszy w życiu i wszystko jest dla niego unikalne. Nawet papuga. Wygląda na to jakby wiedział, że właśnie przyjadę w to miejsce a nie inne. Modeste nie jest wcale takie małe. Dyskretnie próbuję przysunąć dłoń do pistoletu. Nie ma! Tak mi się chciało sikać, że zapomniałem przypiąć go do pasa. Broń została w samochodzie. Ty kretynie! – przeklinam siebie w myślach. Jak można było być tak nieostrożnym. Do auta mam jakieś dziesięć metrów. Tamten do mnie, ma około trzydziestu. Będę szybszy, ale czy ja wiem jak on na to zareaguje? Na razie tylko gapi się. Wyjmuje coś z ust i odrzuca nonszalanckim ruchem w bok. Tak jak odrzuca się peta, ale to może być zapalka albo ogryzek. Takie szczegóły są niewidoczne. Zwleka się z dachu, obciąga przyciasną kurtkę i podchodzi. Ręce ma wolne. Żadnego karabinu, noża czy nawet kija. Jest tego samego wzrostu i budowy ciała. Im jest bliżej tym serce wali we mnie intensywniej. Łu-bu-du, łu-bu-du Zatrzymuje się naprzeciw mnie.

- Cześć Evan. – mówi wyciągając rękę na powitanie. – Czekałem na ciebie... . Nie odpowiadam. Czyżbyśmy się znali? Wciąż bacznie śledzę jego ruchy. Jego głos kogoś mi przypomina, ale w tej chwili nie mogę skojarzyć gdzie go słyszałem. Skąd zna moje imię? Może to jakiś mój znajomy z miasta, ale jak on mnie odnalazł i skąd wie, że to ja. Pół głowy przesłania mi przecież urządzenie do podglądania nocy.
- Kim jesteś? – pytam i wciąż nic tylko patrzę, czy aby nie ukrywa czegoś w zanadrzu, bo nie mam przecież czym się bronić. Jak na spotkanie dwóch ludzi z których jeden, czyli ja, nie widział nikogo żywego od dwóch tygodni nie wygląda to na radosne spotkanie „po latach”. Tamten zdejmuję noktowizor z głowy.
- Zrób to samo co ja – proponuje – dowiesz się kim jestem. Myślę, że będzie to dla ciebie spore zaskoczenie – dodaje tajemniczo.
Czeka na mój ruch. Nie ufam mu, ale, korzystam z propozycji i wolno zdejmuję noktowizor. On w tym czasie bez pytania oddala się na chwilę w kierunku mego samochodu. Przechyla się przez odkręconą szybę do środka i zapala światła. Myślę, że choć to miasto, to światła i tak widać z daleka. Mam nadzieję, że wie co robi. Patrzę, czy aby nie zabrał mi kluczyków ze stacyjki. Uczulony jestem na punkcie samochodu. To chyba jedyna rzecz jaka mi pozostała. A i tak nie moja. Znow podchodzi ale tym razem, to i ja robię parę kroków. Widzę jak tamten uśmiecha się triumfalnie z wrażenia jakie na mnie wywołał. Ja zaś dostaje wytrzeszczu oczu połączonego z nagłym zaparciem. Omal nie krzyczę. Ten facet wygląda tak samo jak ja!

Nie chodzi mi tu o ubranie. To ta sama twarz, ta sama budowa ciała, te same włosy, oczy, wysokość, szerokość i nawet ten sam ironiczny uśmiech!

- Nie dziw się tak – mówi, a ja nie wiem, czy kpi sobie ze mnie czy to sen? – Jest nas dwóch – dodaje.
- Powoli, powoli – przerywam mu, bo widzę, że zabiera się do uskuteczniania jakiejś cholernie niesamowitej historii. – O czym ty mówisz? – bulwersuję się - Jak to jest nas dwóch i kto ty w ogóle jesteś?
- Evan ... – zawodzi z dezaprobatą jak nauczyciel, który zbyt szybko wyłożył uczniowi nowe zagadnienie i oczekuje cudu zrozumienia natychmiast. - Mówiłem ci. Jest nas dwóch. Ja to ty a ty to ja.
Ten facet nie podoba mi się. Zdecydowanie nie lubię jak się mnie oszukuje. To chyba dalszy ciąg halucynacji.
- Bzdura – ucinam krótko.
- Pozwól, że ci wytłumaczę – powstrzymuje mnie ręką, bo mam zamiar oddalić się od tego wariata na bezpieczną odległość. Tak na wszelki wypadek. Właściwie to nie powinienem spodziewać się, że w takich warunkach spotkam kogoś normalnego i nie powinienem dziwić się, bo może sam już nie jestem normalny. Wyjmuje paczkę papierosów. Częstuje mnie. Biorę. Pali zapalniczkę. Zauważam, że płomień trzyma do siebie a nie odwrotnie. To dziwny sposób. Ja tak właśnie podpalam papierosy.
- Powiedz mi – opiera rękę na boku – Nie jesteś w Modeste po raz pierwszy, prawda? – słyszę lekką nutkę niepewności ale może to złudzenie. – Byłeś tu jakieś siedem dni temu, a potem cię cofnęło, tak? Chciałeś pojechać dalej na wschód, ale zawróciło cię z powrotem?
Ani nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Zastanawiam się skąd on to wie. Może mnie śledził.
- Widzisz, ja też tu byłem. Wtedy byliśmy jeszcze jako jedna osoba - wydaje się być zakłopotany ale nie speszony. - Nie wiem czy ty to dobrze zrozumiesz - mamrocze do siebie jakby, nie był pewien czy jestem dość inteligentny. Wyraża głośno swoje obawy i ma rację. Na razie niewiele rozumiem.
- Ty i ja byliśmy jedną osobą do momentu Twojego przyjazdu do Modeste po raz pierwszy. Wiem, że na razie trudno ci pojąć jak jedna osoba może być naraz w dwóch miejscach, stać naprzeciwko i mówić do siebie ale nie przerywaj – prosi – zaraz ci wszystko wytłumaczę.
Ciągnie dalej.
- W Modeste przejechałeś przez most i ruszyłeś do Reno.
- Którego nie było ... – wtrącam.
- Tak. – potwierdza – Zamiast niego było Greenlake. To Greenlake, które jest w tej chwili daleko za nami.
Robi krótką przerwę.
- Wiesz dlaczego tak się stało?
Nie wiem, bo skąd. Ale jestem ciekaw co też mi powie.
- Minąłeś czterdziesty siódmy południk ...
- i ???.. – dopowiadam, bo oczekuję kontynuacji jego wywodu.
- Między dwudziestym trzecim, czyli tam gdzie jest Greenlake a czterdziestym siódmym południkiem, czyli tu gdzie jest Modeste został zapętłony czas
- Co się zapętliło? – pytam.
- Czas, czas się zapętlił - powtarza jakby nieco zasmucony. – To taka konwersja miejsca, klauzula zapętłonego czasu, utracone poczucie wolnej przestrzeni. Obszar z którego nie możesz się wydostać. Widzisz, to tak jakbyś otworzył drzwi do pokoju, który w twoim mniemaniu miał być salonem. Wszedł tam na chwilę, żeby sprawdzić co jest grane i zaraz wyszedł. Kiedy wchodzisz do tego samego pokoju ponownie odkrywasz, że ty tam już jesteś. Rozumiesz teraz?

Czyżby znał wytłumaczenie tego straszego procesu umierania świata? To są informacje, które bardzo mnie interesują.

- Kiedy pojechałeś do Reno, stwierdziłeś, że go nie ma. Nie tak było? Pokój okazał się salonem. Stwierdziłeś, że według mapy nic ci się nie zgadza. Zaraz wróciłeś do Modeste, czyli wyszedłeś z salonu, ale tym sposobem stworzyłeś mnie. Siebie w jeszcze jednej osobie. Wróciłeś do czasu pierwotnego a mnie zostawiłeś w przyszłym. Ja nie mogłem już wrócić, bo dla mnie czas pierwotny nie istnieje fizycznie.
- Zaraz, zaraz – poprawiam go – Ja też nie powinienem był wrócić skoro stary czas przestaje istnieć jak człowiek pojawi się w nowym.
Kiwa przecząco głową.
- Mogłeś, bo czas pierwotny jest twoim czasem. Zawsze możesz do niego wrócić tyle, że nie możesz się z niego wycofać. Dla mnie poza salonem w którym się pojawiłem inny świat nie istnieje. Mam przeszłość w sobie ale nie mam jej doświadczeń.
- I co było dalej? – Teraz naprawdę jestem ciekaw.
- Nie wiem – zaciąga się kierując wzrok gdzieś w dal poza domy. – Od tamtego zdarzenia w ogóle nie wiedziałem, że istniejesz. Byłem przekonany, że to ja jestem ten jedyny i właściwy Evan. Znam przecież twoje życie, twoją przeszłość jak swoją i byłem pewien, że to co robię wtedy jest po prostu kontynuacją mnie wcześniejszego.
- Ale przecież odnalazłeś mnie, czekałeś na mnie... tak mówiłeś.- przypominam mu.
- Tak, to prawda. – przytakuje – Bo ty po zawróceniu do Modeste, po raz drugi ruszyłeś na wschód. Przekroczyłeś czterdziesty siódmy południk i po raz drugi złamałeś klauzulę. Ponownie wróciłeś do salonu. Dzięki temu znalazłeś się tam gdzie i ja byłem. Zrobiło się nas dwóch w tym samym czasie i tu traf chciał, że musieliśmy się spotkać. Dwóch takich samych, podobnych ciałem, ze wspólną przeszłością ale zupełnie różnych. Jesteśmy jak drzewo rozdarte uderzeniem pioruna na dwoje, ze wspólnymi korzeniami jako wspomnienia ale jednak już nie tacy sami. Nie jedno. - To wszystko jego sprawa – mówi szeptem po chwili przerwy.
- Goliata? – pytam też szeptem. Udziela mi się atmosfera niepewności na sama myśl o nim.
- Uhm. – potwierdza.
- Dlaczego on to zrobił - dopytuję się - dlaczego zapętlił czas? – Pytam, bo mój drugi ja jakimś cudem wie bardzo dużo na temat tego co się tu dzieje. Zaczyna budzić we mnie skrywaną sympatię. Może będzie mógł mi pomóc. Nie przechodzi mi jednak przez gardło, żeby mówić do niego Evan. Nie używam żadnego imienia i traktuję go bezosobowo. Choć podobno to jestem ja.
- Czy tam są ludzie? – wyciągam rękę w kierunku Morza Tallahassee. Mój szept jest tak cichy i konspiracyjny, że prawie syczę.
- Tak – potwierdza – Całe miasto.
Nadzieja pełna radości rozsadza mnie od wewnątrz krusząc mury niepokoju przez którego szczeliny wkrada się w moje serce światło życia. Następne moje pytanie jest już jak skamlenie i prośba o twierdzącą odpowiedź. Pytam z drżeniem w głosie.
- Widziałeś ich?
- Nie – zaprzecza – Ale tam są ludzie – mówi z naciskiem – Dlatego on ciebie wycofał, bo nie chce, żebyś do nich dołączył.
- Wiedziałem! Wiedziałem! – zapominam, że mam szeptać – Mnie też tak się wydawało – dodaje już ściszym głosem. Mam ochotę go objąć i ucałować - Ale dlaczego on nas nie może znaleźć i po prostu zabić na tym obszarze, który zamknął? – mam wątpliwości, które od jakiegoś czasu zawsze mi towarzyszą. Wiem, że nic nie chce być proste tak jak na to wygląda.
- Bo on śpi.
- Śpi?

- Uhm. – kiwa głową a nasza konspiracja dochodzi do szczytowego punktu odkrycia wielkiej tajemnicy.
- Jak to śpi? – nie rozumiem.
- Zakończył dzieło tworzenia i teraz odpoczywa – tłumaczy mi.
- Chyba dzieło zniszczenia a nie tworzenia? – staram się jakoś ogarnąć jego tok rozumowania. Wciąż mnie zaskakuje. Przyglądam mu się baczniej. Jest jakiś dziwny, nienaturalny, sztuczny. Pod względem osobowości nie podobny do mnie. Układam w myślach klocki łamigłówek i milczę. On też nic nie mówi. Wciąż podryguje lewą nogą jakby miał jakiś tik nerwowy. Nagle ciszę nocy przerywa krótki, niecierpliwym jak zapytanie, klakson. Mnie podrywa. Na nim nie robi to wrażenia. Jakby nie słyszał. Rozglądam się próbując przeniknąć ciemność.
- Co to? – pytam – Słyszałeś? To chyba samochód?
Milczy.
- Evan – mówi w końcu – Nie zastanawia cię skąd ja to wszystko wiem?
- No właśnie! – odsuwam się nieco.
- Nie jestem sam. – rzuca szybko – Jest ze mną kilku ludzi To oni mi powiedzieli. Chcemy żebyś się do nas przyłączył – dodaje ni stąd ni zowąd.
- Ludzi?! Tych z miasta? Mówiłeś... – powstrzymuje mnie gestem dłoni. O przyłączeniu się na razie nie chcę słyszeć. Sprawa zaczyna mi śmiedzieć na poważnie. Jeszcze nie zdążyłem mu do końca zaufać a już znów się niepokoję.
- Będzie ci z nami dobrze, Evan. To dobrzy ludzie... . Jesteśmy w przewadze. My zdobywamy i porządkujemy świat. Chcemy żebyś był z nami.
Cofam się do tyłu a on krok w krok idzie za mną. Próbuje pochwycić mnie za ramię. Ale robię unik.
- Dlaczego oni się ukrywają? Dlaczego stoją w ciemnościach? – pytam próbując zyskać na czasie i nie dać mu zamknąć się w sytuacji bez wyjścia.
- Nie ukrywają się – zaprzecza – Wysłali mnie, bo mnie znasz. Nie chcą żebyś się przestraszył.
- A dlaczego mam się przestraszyć? – dopytuje się i coraz bardziej przestaje mi się to podobać.
- Evan ... – znowu używa tego profesorskiego tonu dezaprobaty – To zwykli, normalni ludzie.
- Normalni? – coraz ciężiej mi się przekonać. Oczy zapadają mu się i robią się szkliste i mokre. Od nogi jego ciało nabiera większej wibracji. Jakby zaczynał trząść się z zimna. Widzę, że choć stara się, nie może nad tym zapanować. Coś niedobrego się z nim dzieje. Wyciąga łapy ale ja nie chcę, żeby mnie dotykał i odtrącam je. Być może chce mi w ten sposób dać dowód sympatii albo uspokoić, ale skutek osiąga odwrotny od tego jaki sobie zaplanował.
- Nie wierzysz mi? – zatrzymuje się rezygnując z pochwycenia mnie za ramię.
- Kim ty jesteś? – ponawiam pytanie – Dlaczego tak ci zależy, żebym był z wami? O co tu chodzi? Kim są ci ludzie o których mówisz? – próbuje mi przerwać ale nie daję mu dojść do słowa – Dlaczego schowali się w ciemnościach, dlaczego tu nie przyjdą, po co mi to wszystko mówisz?
- Bo to prawda. – udaje mu się wreszcie wtrącić zdanie. – Evan! Ja wiem o tobie wszystko. Ile masz lat, gdzie się urodziłeś, gdzie mieszkałeś, gdzie miałeś firmę, jakim samochodem uciekałeś z miasta z jakimi dziewczynami sypiałeś, co lubisz, czego nie lubisz... wszystko! Wiem, że ukrywałeś się w Ripp Hill, wiem, że byłeś w Caregan i wiem, że już raz tu byłeś. Ja to wszystko wiem, bo do przyjazdu do Modeste po raz pierwszy ty i ja to była jedna i ta sama osoba. Chcesz, żebym ci to wszystko udowodnił? No, proszę – zachęca mnie – zapytaj mnie o coś. Śmiało Evan, zapytaj
Nie pytam. Jestem w szoku.
- Pokaże ci coś, poczekaj ... – prosi i dygoczącą ręką o sztywnych palcach rozpina kurtkę i zadziera jej bok do góry. Pokazuje mi bliznę pomiędzy czwartym a piątym zębem. To blizna, której nabawiłem się jeszcze będąc dzieciakiem. Długa na trzy palce.

- Widzisz? – pyta
Widzę, ale też widzę coś jeszcze. Coś co znacznie bardziej przykuwa mą uwagę. Ma na szyi złoty łańcuch. Taki jaki widziałem w Ripp Hill u tamtego bandziora. Nigdy nie miałem skłonności do obwieszania się czymkolwiek, a tym bardziej złotymi łańcuchami. To nie może być przypadek. Może i nawet mówi prawdę. Skomplikowaną prawdę. Ale tylko po to, żeby osłabić moją czujność, zdobyć zaufanie. Mam przeczucie, że on, ci jego kumple i Goliat są ze sobą w jakiś sposób powiązani. Opuszcza kurtkę. Dostrzegł, że bardziej niż blizna interesuje mnie jego naszyjnik. Uśmiecha się, a jego oczy są zupełnie białe. Już wie, że go przejrzałem.
- To nic nie da, Evan ... – ostrzega mnie, żebym nie próbował żadnych sztuczek. Podnosi rękę w górę. Ulica rozbłyska światłami reflektorów. Jeden, drugi, trzeci ... To pułapka!
Od samochodów odrywają się ludzkie cienie i jak koty zaczynają skradać się w naszym kierunku. Reaguje natychmiast. Dochodzi między nami do prawdziwej bitwy na pięści. Mój sobowtór jest twardy i nieustępliwy. Oddaje to co sam zainkasował. A ja biję bez żartów. To szybki, zacięty pojedynek, jeśli go natychmiast nie zakończę tamci dopadną do nas i będzie po mnie. Wymierzam sobowtórowi potężnego kopa między nogi. Tego nie przetrzyma żaden facet chyba, że jest eunuchem. Mam rację, mój sobowtór nie jest z żelaza. Momentalnie osuwa się na kolana z grymasem bólu na ustach. Doskakuję do auta. On już mnie nie interesuje. Słyszę za sobą krzyki i przekleństwa tamtych. Rozlegają się strzały i za jednym zamachem tylna i przednia szyba w moim aucie rozsypują się w drobny mak. Odruchowo wtulam się w fotel. Strzelają za mną jakiś czas. Kule gwizdzą obok, a część z nich trafia w auto i rykoszetami rozchodzi się w różnych kierunkach. To nie koniec. Odpalają silniki i zaczynają mnie gonić. Uciekam, co po raz pierwszy mi się zdarza w samym środku nocy, drogą z Modeste do Reno. Za chwilę przekroczę czterdziesty siódmy południk o którym mówił drugi ja i prawdopodobnie przez to cholerne zapętlenie znów znajdę się w Greenlake ale innego wyjścia nie ma. W ostatniej chwili przejeżdżam most na rzece, bo jakaś inna grupa lub inna część tej samej bandy, próbuje zatarasować drogę autami. Kiedy w reflektorach pojawiają się domy jestem pewien, że to jest Greenlake, ale tu czeka mnie niespodzianka. Na tablicy informacyjnej przed miejscowością jak wół wypisane jest Reno. To Reno, którego nie mogłem odnaleźć poprzednio. Kłamał czy nie kłamał? Nic już nie wiem. Nie mam czasu nawet się rozejrzeć, bo przewaga jaką zyskałem nad pościgiem na starcie topnieje w oczach. Mają zdecydowanie szybsze samochody i zaczynają mnie dochodzić. Znowu zaczynają strzelać. Póki co niecelnie ale im są bliżej tym jest gorzej. Jeden z pocisków rozbija mi boczne lusterko. Mam odkręconą szybę i jego odłamek rani mnie w twarz pod okiem. Tam gdzie zaraz pod skórą czuć kość czaszki. Piekielnie boli. Kilka kilometrów za Reno kula ze skowyttem rozpruwa blachy mego auta. Silnik zaczyna kaszleć, przerywać aż w końcu przestaje pracować. Z pistoletem w ręce uciekam dalej pieszo. Zawsze dziwiłem się dlaczego na filmach ścigani ludzie bez samochodu, zamiast uciekać w pole albo w krzaki jakby na przekór sobie wciąż uciekają ulicą. To zupełnie nielogiczne. I niestety nie umiem odpowiedzieć sobie na to pytanie. Może mam w głowie zakodowany taki właśnie filmowy stereotyp a może po prostu wiem, że już nic nie może mnie uratować. Widzą, że rozbili mi samochód i dalej uciekam pieszo, bo zaczynają trąbić klaksonami zwycięstwo. Ile udało mi się odbiec od auta? Sto pięćdziesiąt metrów? Nie więcej. W biegu oglądam się za siebie, by zobaczyć ile mi jeszcze chwil życia zostało i nie wierzę w to co widzę. Przestali mnie ścigać. Stoją obok wraku mojego auta, oświetlają mnie reflektorami ale ani nie strzelają ani nie krzyczą ani nie jadą za mną! Zatrzymali się, powysiadali z aut i kręcą się wokół nich Opieram ręce na kolanach, ciężko dyszę i odpoczywam starając się nie spuścić ich z oczu. Może to znowu jakaś pułapka? Trwa to jakiś czas po czym słyszę jak jeden z nich krzyczy:
- Evan, chodź do nas! Nie bądź głupi! Nic ci nie zrobimy!
Uhm. Na pewno. Myślę sobie i mam ochotę odkrzyknąć, że mogą pocałować się w dupę ale wtedy tuż za moimi plecami słyszę gustowne chrząknięcie.

Takie jakie słyszy się czasem w autobusie albo w knajpie chcąc zwrócić na siebie uwagę, albo pytając czy to miejsce jest wolne. Zamieram. Zesztywniały odwracam się wolniutko do tyłu. Ledwie co zaczynam dostrzegać jakąś postać, kiedy otrzymuję cios, w postaci strumienia płynu. Prosto w twarz. Rety! To kwas! Oblał mi twarz kwasem! Zakrywam ją rękami i jęczę ale po chwili konfrontuję z rzeczywistością, że nic mnie nie piecze ani nie szczypie. Rozwieram palce. Wzrok mam równie dobry jak poprzednio. Ten płyn to coś słonego. Badam językiem. Jakby słona woda. Między palcami dostrzegam wątego staruszka. Na głowie ma śmieszny srebrny berecik z antenką, a jego ciało okrywa szczelnie długa tunika. Zapięta na ostatni guzik pod szyją i zahaczająca o ziemię. Tunika jest tego samego koloru co berecik i ma nieco przydługie rękawy. Staruszek stoi przede mną z miną przynajmniej raz jeszcze większego od siebie terminatora. Oburącz trzyma przed sobą butelkę po szamponie przerobioną na sikawkę. To z tej butelki chlusnął mi w twarz. Opuszczam ręce. Wywalam gały na wierzch. Co to za dziwoląg? Stary patrzy na mnie, ja na starego. Widzę, że mina mu rzednie. Jeszcze raz wali we mnie wodą ze sikawki, a czyni to z takim zapałem jakby machał mieczem samurajskim. A ja nic, tylko ocieram wodę z twarzy. Zauważam, że pomieszana jest z krwią z rany. Muszę wyglądać jak upiór. Stary zaczyna mnie wkurzać. Kiedy trzeci raz zabiera się do użycia sikawki wyrzucam mu ją.

- Zgłupiałeś? – pytam.
Pod nim nogi się uginają. Zaczyna dukać:
- Prose pana, prose pana ..., ja nie chciałem ..., niech mnie pan nie zabija, prose pana. – w dodatku sepleni. Wywalił się na tyłek i patrzy na mnie. A ja chyba zwariowałem na dobre. Po raz któryś już nie wiem co się wokół mnie dzieje i co to wszystko ma na celu. Patrzę za siebie. Banda, która mnie ścigała w dalszym ciągu jest tam gdzie była. Nie ruszyli ani kroku naprzód. Czyżby bali się tego starego z sikawką? Nie odwracając się pytam co jest w tej butelce. Przyglądam się jej pomimo ciemności, ale na etykietce widnieje tylko reklama szamponu do włosów.
- Woda – odpowiada stary i znowu zaczyna o tym, żebym go nie zabijał i że bardzo mnie „pseprasa” i żebym pozwolił mu odejść, bo to jakaś „strasna” pomyłka.
W dalszym ciągu nie rozumiem jak banda uzbrojona w karabiny i noktowizory może bać się wody. Zwykłej wody! Niech to gwint. Może to jakiś czarownik albo szaman? Chce się odwrócić, żeby przyjrzeć mu się dokładniej ale znów daje się zaskoczyć.
- Rączki do góry, koleś! – słyszę głos i nie jest to głos staruszka. Jest na tyle tubalny i stanowczy, że szybko orientuję się iż to nie przelewki. W jednej ręce trzymam sikawkę w drugiej pistolet. Podnoszę ręce.
- Dobrze - słyszę głos aprobaty – A teraz nie odwracaj się i wyrzuc broń – Nie wiem czy butelka też należy do jakiegoś rodzaju broni, ale na wszelki wypadek odrzucam ją razem z pistoletem. Pada następny rozkaz:
- Odwróć się i na kolana!
Odwracam się. Nie kazał ani wolno ani szybko więc robię to średnio tak, żeby go nie zdenerwować.
Stary wstał już z ziemi. Obok niego stoi grubasek „beczułka” równie mały i facet „tyczka”. Wszyscy tak samo ubrani. W srebrne bereciki i tuniki do ziemi. Wyglądają jak wędrowna trupa komediowa, która zagubiła się gdzieś po drodze i nie może odnaleźć cyrku. Gdyby jeszcze nie te karabiny ...
Grubasek celuje we mnie.
- Żadnych niespodziewanych ruchów bo strzelam – ostrzega – Klęczę z rękami w górze jakbym miał za chwilę złożyć mu pokłon.
- Wszystko w porządku, Frank? – grubasek pyta starego, który ma chyba z siedemdziesiąt lat. Pyta go ale wzroku ze mnie nie spuszcza. Tamten wysoki też mierzy w moim kierunku. Jego jednak bardziej interesuje to co dzieje się za nami. Tam gdzie zatrzymał się pościg.

- W porządku – odpowiada Frank – Nastraszył mnie tylko. Uważaj! – upomina grubaska – „Święconka” na niego nie działa. Dziwny jest jakiś.
Zauważam, że ci trzej nie boją się pościgu. Baczą na to co się tam wyczynia ale jakoś specjalnie nie trzęsą portkami. Może dlatego, że również mają sikawki przytroczone do pasa. Może ich „święconka” ma większą moc? Gruby chyba nie ufa staremu, bo do drugiej ręki bierze swoją butlę i ostrożnie polewa mi głowę.
- I co? – teraz dopytuje się z ciekawości wysoki, bo ten przesłonił mu mnie. Grubas przygląda się efektom swojego działania. Patrzy na mnie jak na obraz, nie tyle zastanawiając się dlaczego on taki ładny ale dlaczego taki drogi.
- Faktycznie nie działa – odpowiada i zaraz pyta:
- Na pewno wzięłeś wodę z beczki?
- Na pewno – obrusza się wysoki. A potem pyta już mnie:
- Coś ty za jeden? Jesteś od nich? – kieruje lufę karabinu z lekka w kierunku bandy.
- Nie – zaprzeczam szybko – Oni mnie gonili. Jestem z Sierra Tann na Zachodnim Wybrzeżu.
- Z Sierra Tann? – dziwi się – Stamtąd nikt się nie uratował. Tam był atak.
- Ja jednak jestem stamtąd – upieram się.
Znowu patrzy na mnie jak na obraz. Nie wierzy mi.
- Ponad dwa tygodnie tu jechałem – usprawiedliwiam się, chcąc tchnąć ducha przyjaźni, bo zdążyłem się zorientować, że ci i tamci nie darzą się sympatią. Wygląda na to, że ci są „dobrzy”.
- Dwa tygodnie?- dziwi się znowu. Odnoszę wrażenie, że popełniłem niezrozumiałą dla mnie następną gafę.
Dobiega nas krzyk członka bandy. To ten sam co krzyczał poprzednio.
- Evan, wracaj! Wracaj do nas!
U grubego w oku pojawia się błysk. Coś jakby olśnienie.
- Ty - mówi – skąd oni znają twoje imię? – Mógłbym zaprzeczyć, że wcale nie jestem Evan tylko na przykład Bob, a oni sobie coś ubzdurali ale zamiast tego zaczynam tłumaczyć mu spotkanie z moim sobowtórem w Modeste. Szybko się gubi.
- Chyba jednak cię zastrzelił – mierzy do mnie coraz bardziej stanowczo i z coraz większą wiarą we własne słowa. – Co wy na to chłopaki? – szuka potwierdzenia dla swej decyzji u kompanów.
- Zastrzel go – wtóruje mu stary – Nie wiadomo co to za jeden. Może to podstęp, jakaś ich nowa sztuczka. Jakiś nowy model.
Robi się gorąco. Nie wiem co by ich mogło przekonać, odwieść od tego szalonego pomysłu.
- Poczekajcie – powstrzymuje ich wysoki – Piotr jedzie!
Widzę. Rzeczywiście z ich strony nadjeżdża samochód albo raczej telepie po nierównościach drogi. Zatrzymuje się. Z wozu wyskakuje z gracją facet lat około czterdziestu. Ma na sobie taką samą tunikę jak tamci ale jest bez berecika. To chyba ich szef.
- Co jest panowie? – pyta wesóły jak skowronek, który wpadł akurat na najbardziej pikantną część przyjęcia.
- Złapaliśmy jednego! – przekrzykują się jak dzieciaki, które w strumieniu złapały małą rybkę.
- Pokażcie - mówi a oni rozstępują się, by mógł mnie zobaczyć. Podchodzi do mnie na jakiś metr.
- Wstań – słyszę. Wstaję. Kładzie mi rękę na ramieniu. Nie żąda żadnych wyjaśnień, nie pyta kto ja jestem ani skąd się tu wzięłem. Po prostu patrzy mi w oczy. A oczy ma niesamowite. Takich oczu w życiu nie widziałem. Te oczy widzą i wiedzą wszystko. To głębia oceanów w której zakłęta jest modrość ludzkości. Po chwili badawczego spoglądania gdzieś wewnątrz mnie jakby przeglądania żyłka po żyłce jego twarz promienieje. Klepie mnie serdecznie po plecach.

- Jest w porządku – informuje swoich podwładnych. Mówi tylko tyle i nic ponad to, a tamci jak wariaci o nic nie pytają. Jego „jest w porządku” załatwia wszystko. Nagle stają się wylewni, serdeczni i mili jakbyśmy znali się od wieków. Tak jakby złapali rybkę, która okazała się złota, a nie jakaś tam sobie zwyczajna. Wszyscy walą mnie po plecach podobnie jak czynił to ich szef. Zupełnie zapomnieli, że jeszcze przed chwilą chcieli mnie zabić.
- Chłopaki, uważajcie! – szef przerywa tę sielankę – Randy, weź mój samochód i zabierz nowego, do miasta. Frank i Henry! Przygotujcie się! Zaraz się zaczniesz! – patrzy w kierunku bandy.

Randy czule obejmuje mnie ramieniem jak dziewczynę na randce i zaprowadza do samochodu. Rad jestem, że to jego wyznaczył. Wydaje się być z nich najspokojniejszy i najrozsądniejszy. Nie powinienem zastanawiać się akurat teraz, czy jest pedałem ale mimochodem gdzieś pojawia się we mnie nutka zastanowienia. Mam nadzieję, że nie jest i obejmuje mnie po prostu z życzliwości. Odjeżdżamy. Zgodnie z tym co mówił za chwile moich uszu dobiegają odgłosy wystrzałów. Najpierw pojedyncze a potem przechodzące w kanonadę. Pojęcia nie mam jak jeden staruch z sikawką, grubas ze strzelbą i człowiek zupełnie bez broni toczą ten pojedynek z ludźmi, którzy uzbrojeni są po zęby. Nas dwoje może czuć się bezpiecznie, bo jedziemy czymś jakby leśnym parowem. Tu żadna kula nie dotrze. Mój opiekun sprawia zresztą wrażenie człowieka zupełnie spokojnego o losy bitwy. Mija kilka kilometrów i z parowu, z lasu wjeżdżamy do miejscowości Fryslyn. Ten ich szef dotykając mnie, musiał coś mi zrobić, bo nie mam sił ani o nic pytać ani dowiadywać się. Czuje się strasznie zmęczony, ale nie tyle przeżyciami, których dostarczyły mi ostatnie godziny, co błogim spokojem i poczuciem pełnego bezpieczeństwa. Jestem okropnie miękki i rozlazły. Śpiący. Nic tylko patrzę. A jest na co, bo w domach palą się prawdziwe światła. Może nie mają stu wat mocy, bo są przybladłe ale to prawdziwe światła. Rzecz, która prawie zapomniałem jak wygląda nie licząc świateł samochodów. Są też ludzie. Niewielu, bo noc w pełni ale widzę ich. Szybkim krokiem najpierw jeden potem dwóch przemierzają ulicę w poprzek przed naszym autem. I to, że nas dostrzegają nie budzi w nich żadnego zdziwienia. Wydaje się iż jadący ulicą samochód to tutaj normalna sprawa. A ja wykręcam głowę na wszystkie strony, żeby jak najdłużej na nich popatrzeć. W końcu Randy zatrzymuje auto przed dwupiętrowym drewnianym budynkiem.

- Tu będziesz spał – mówi i wzrokiem daje mi do zrozumienia, że czas wysiąść. Przechodzimy przez drzwi, które nie są zamknięte na klucz. W środku z całą pewnością na świeżo egzystują ludzie. Pośród papierów i sprzętów na biurku dostrzegam popielniczkę pełną niedopałków i kubki po kawie. Nikogo jednak nie ma. Wysoki prowadzi mnie na górę skrzypiącymi schodami otwiera kolejne drzwi.
- To moje - wskazuje na łóżko – ale możesz na nim spać. Ja mam służbę do jutra rana. Nawet nie dziękuję. Kiwam tylko głową. Widok łóżka i możliwość przespania się na mim bez konieczności pilnowania swego bezwładnego ciała, hipnotyzuje mnie całkowicie. Wyszedł. Rozbieram się do snu. Pod kołdrą czuję się nieznośnie lekko ale jest przyjemnie. Przytulnie i ciepło. Sam nie byłem świadom jak bardzo mi tego brakowało, bo nie wiem kiedy a już zapadam w sen.

Ktoś szarpie mnie za ramię. Podrywam głowę. To Randy.

- Co się stało? – pytam, bo jestem pewien, że dopiero co zasnąłem. Może o czymś zapomniał?
- Nic – uspokaja mnie – Nie denerwuj się. Piotr chce cię zobaczyć.
- Teraz? W nocy? – upewniam się.
- Jest południe – uświadamia mnie z uśmiechem, jakby zadowolony z tego, że je jego łóżko tak dobrze się spisało. – Czas wstawać.

Otrząsam się z zamroczenia. Kieruję wzrok na okno. No tak, przez te chmury dni nie są podobne do dni.

- Zaraz będę gotów – odpowiadam.
- Czekam na dole – mówi i schodzi ciężko, skrzypiącymi schodami.

FRYSLYN

Fryslin to miasto na prowincji, które niczym szczególnym nie wyróżnia się od dziesiątek innych prowincjonalnych miast w tym równinnym rejonie. Od strony Reno otacza je liściasty las w kształcie podkowy. Jego skład stanowią głównie klony i buki. To ładny las. Gdzieś zza lasu wypada chuda, leniwa rzeczka opływająca je od północy. To dopływ rzeki Conway. Ulice szerokie, luźne i jak to bywa w takich prowincjonalnych miastach jedna droga jest utwardzona. Ta przelotowa a zarazem zwana „główną”. Reszta to ubity piach i żwir. Ale jest tu dość schludnie i porządknie. To cecha charakterystyczna dla małych społeczności. Domy nie są ani ciężkie ani wysokie. Rzekłbym, średniej klasy. Każdy obowiązkowo z ogródkiem i ławeczką. Czasem płótem pomalowanym w wesołe wzorki. Brak przemysłu ciężkiego, czy w ogóle śladów produkcji seryjnej, zaświadcza o jego rolniczym charakterze. Było to jednak rolnictwo bardziej nastawione na uprawy niż hodowle. Kiedyś zamieszkiwało je około pięciu tysięcy osób. Teraz okupuje je około sześciuset wylęknionych i zdziwiałych przybyszów z różnych stron kraju. Co sprawiło, że dotarli akurat tutaj? Dla jednych był to przypadek, dla innych szczęśliwy traf, a dla jeszcze innych zrządzenie losu. Fryslin utraciło swą sielskość w dniu ataku. To wtedy gnani trwogą mieszkańcy opuścili je pozostawiając wymarłym.

Później przejeżdżali przez nie ludzie uciekający z innych miejsc. Ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby zatrzymać się tu na dłużej. Bo nie było po co. To miasto nie miało przecież w sobie nic szczególnego i niczym nie różniło się od innych miast. Wszystkie były tak samo wymarłe i tak samo mało bezpieczne. Ale pewnego dnia pojawił się tu człowiek dzięki, któremu wszystko się zmieniło. Nagle ci, którzy uciekali na oślep i bez celu, gasili silniki swoich samochodów postanawiając nie jechać dalej. Co takiego obiecywał im ten człowiek, że postanawiali złożyć losy swego niepewnego jutra w jego ręce? Podobno ... nic. Każdy z przybyłych miał jednak jakieś doświadczenia związane z już przebytą drogą. Czy to własne czy to zasłyszane od innych o grasujących tu i ówdzie bandach.

Te bandy do Fryslin nie miały wstępu. Niektórzy przekonali się o tym naocznie. On z nimi nie walczył. On tam po prostu był, a tamci czy to w pojedynkę czy w grupie omijali je szerokim łukiem bądź w ogóle zawracali. Ten człowiek choć nikt nie wiedział dlaczego ani skąd, miał w sobie jakoś dziwną moc dzięki której tamci się go bali. Czy trzeba było lepszej rekomendacji dla wycieńczonych fizycznie i psychicznie ludzi, którzy dotychczas nocowali gdzie popadnie i jedli co popadnie w strachu przed tym co może iż spotkać w nocy? O tym czy może uchronić miasto przed bestią, która pojawiła się w Sierra Tann na razie nie było mowy. Od dwóch tygodni, czyli od czasu jej pojawienia się nikt o niej nie słyszał ani jej nie widział. Zresztą widzieli ja tylko ci co byli w Sierra Tann a tych we Fryslin było, wbrew pierwszej informacji, kilku. Większe zagrożenie rysowało się tu ze strony owych tajemniczych grup, których wokół miasta pojawiało się coraz więcej i coraz częściej.

Dotarłem do Fryslin, w tych dziwnych okolicznościach jakie opisałem wcześniej, jako ostatni. Po mnie już nikt więcej tutaj nie dotarł ani stąd nie wyjechał. Podobno byli śmiałkowie, którzy stąd wyjechali na samym początku uznawszy Piotra, bo tak ma na imię ów człowiek, który przybył tu jako pierwszy, za coś w rodzaju dobrej strony zła. Nikt jednak nie wie co się z nimi dalej stało. Piotr tak jak nikogo nie namawiał na pozostanie tak i nikogo nie zatrzymywał. Rozmawiałem z nim. Przy jego pospolitości to bardzo dziwny człowiek.

Niczego nie mówi wprost. Szczególnie jeśli pytania dotyczą przyszłości. Albo w ogóle unika odpowiedzi albo mówi: „zobaczymy, pomyślimy, bądźcie dobrej myśli” i takie tam. W teraźniejszości jest zorganizowany i konkretny jak mało kto. Czasami aż do bólu. Ale jeśli chodzi o przyszłość Sprawia wrażenie człowieka, który nie tyle nie wie co się stanie lub co może się stać ale z jakiś powodów nie chce tego powiedzieć. A przecież wszyscy mamy podstawy do tego, żeby go o to pytać. Inaczej po co organizowałyby naszą zbiorowość, po co zamieniał Fryslyn w twierdze, choć wysokiego muru, czy fosy ani mostu zwodzonego tu nie uświadczysz. Po co dawał złudzenie bezpieczeństwa i nadzieję, a co za tym idzie kazał sobie ufać? Ale on wymiguje się od odpowiedzi, po czym fantastycznie i rozbrajająco uśmiecha. To ten jego słynny „uśmiech bezpieczeństwa”. Do miasta zbliża się kolejna banda, już widać ich samochody, już słychać klaksony, ludzie drętwieją ze strachu, zaczynają uciekać A on nic. Stanie, uśmiechnie się z politowaniem, popatrzy i za chwilę jest po wszystkim. Tamci grożą pięściami, po czym odjeżdżają z niczym. Nawet nie wiadomo skąd on jest. Gdyby było wiadomo można by się czegoś domyślić, czegoś po nim spodziewać ale tego też nie chce ujawnić. Za to wspaniale i pasjami mówi o Bogu. Swoim przełożonym. Swoim ojcu, ojcu nas wszystkich. Odbywa to się zazwyczaj na spotkaniach, które on nazywa katechezami. Te spotkania nie są obowiązkowe ale zazwyczaj chodzi na nie sto procent nowych obywateli, bo gdzie może być bezpieczniej niż przy Piotrze? Uczy nas historii stworzenia świata. Mówi, że ten jego Bóg wszystko stworzył. Niebo i ziemię i ludzi, bo na początku nie było nic. Mówi, że opiekował się nami, wytyczył drogę, ustanowił prawo, a ci którzy byli mu wierni dostępowali zaszczytów dobrego, dostatniego i godnego życia. A z czasem dostępowali łaski bezpośredniego obcowania z Nim. To była łaska, bo przez zasługi nie wszystko jest możliwe. Tu, lubi wtrącać nasz przykład.

Rzeczywiście zasług na dzień dzisiejszy i w jego wyobrażeniu to my nie mamy wcale. A jednak on zebrał nas we Fryslyn w jakimś celu. Tak nam sugeruje Piotr. Bo jego Bóg jest wiecznym dobrem, ideałem, uosobieniem miłości, doskonałym przebaczeniem. Natura ludzka w swej konstrukcji, to zaś tęsknota za tym co najlepsze. Tak było podobno wiele setek lat temu. Jego wersja historii stworzenia świata kłóci się nieco z moim wyobrażeniem, z moją wiedzą o ewolucji ludzkiej rasy od pantofelka poprzez małpę do człowieka i high technology. Ale nie mam prawa mu nie wierzyć. Mówi rzeczy piękne, rzeczy które pobudzają mą wyobraźnię. Odkrywa gdzieś we mnie moje drugie ja, które nazywa duszą. Ten drugi ja jest czysty, młody i co najważniejsze posiada sumienie. Rzecz nieodzowną przy dokonywaniu świadomych, właściwych wyborów. Jak sam mówi, na razie jego celem jest obudzić nas. Przeznaczyć do życia. Odbudować zdolność wyboru, byśmy mogli naprawić w sobie to, co zniszczyły poprzednie pokolenia. Ale z tą zdolnością wyboru wiążą się też niebezpieczeństwa, bo można równie wybrać dobrze jak i źle. To tylko i wyłącznie zależy od nas. My znamy to złe, według którego żyjemy. On mówi nam jak wygląda dobre. Sami mamy wybrać. Swojego Boga czasem nazywa światłem, a tam gdzie jest światło tam zawsze jest cień. Z cienia podobno wyszedł diabeł. Przeciwnieństwo Boga. On tam zawsze był ale dopóki nasza zdolność wyboru była dwubiegunowa nic nam nie mógł zrobić. Dopiero gdy kolejne pokolenia ludzkości odpowiednio przez niego wiedzione i kuszone zaczęły odchodzić od praw Boga, a przechodzić na drugą stronę, zaczął się ujawniać i śmiało ingerować w nasze życie. Nie bardzo rozumiem dlaczego Piotr mówi, że ludzie zaczęli odchodzić od Boga skoro On jest taki dobry i wspaniały. Podobno wszystko przez ten wolny wybór, który był przez ludzi źle rozumiany. Jak stoisz przed wyborem Prawa, które niesie ze sobą określone obowiązki i braku Prawa z którego nie ponosisz żadnych konsekwencji, to co wybierzesz? Po co masz płacić podatki skoro możesz ich nie płacić i prosperować jeszcze lepiej. Konsekwencje w tym wypadku zachowują się jak bumerang. Wydaje ci się, że go daleko odrzuciłeś, a jednak po jakimś czasie on wraca i w najmniej oczekiwanym momencie ścina cię z nóg. Tak było z diabłem, który wyszedł z cienia.

Pochlebiał, nie reagował, namawiał a kiedy doszło już do tego, że o Bogu zapomniano, zmaterializował się, by zabrać w jego mniemaniu, to co do niego należy. Ludzkie dusze. A tym samym pozbawić je całkowicie możliwości wyboru, czy też naprawienia popełnionych przez konsekwencje wyboru, błędów. Pozostał jeden biegun. A kto to jest Goliat? – pytam go. Goliat, to nikt inny tylko diabeł. To nazwa używana przez pewną sektę religijną z okolic Sierra Tann. To miała być sekta odrodzenia Praw Boga ale zbyt późno i źle zaczęli – dodaje. Pytam, dlaczego Bóg im nie pomógł skoro chcieli nawiązać z nim kontakt, a on na to w tym swoim stylu „niezbadane są wyroki boskie!”

Takie katechezy odbywają się prawie każdego dnia. Zawsze ma coś do powiedzenia i naprawdę rzadko kiedy się powtarza. I ta jego pasja. Pasja nie do zatrzymania, która czyni zeń wulkan pełen energii przy którym my wyglądamy jak dzieciaki z podwórka. Oprócz nauk jakie prowadzi, wspomniałem, że jest dobrym organizatorem. A przecież ludzie przybyli do Fryslyn nie mogą żyć tylko naukami, choć czasami nazywa je chlebem. Muszą coś jeść. Piotr jest tu wszystkim. Budowniczym, dyrektorem, kierownikiem, wyrocznią, imperatorem i czym tylko chcesz żeby był. Na wszystkim się zna. Wie co jest potrzebne, co będzie potrzebne i wie jak to zrobić. Wyzaczył straż do pilnowania miasta. Ubrał ich w srebrne stroje i postawił po trzech na czterech posterunkach w czterech różnych kierunkach. To ci sami ludzie, których miałem okazję spotkać przy wjeździe do Fryslyn. Pracują po dwanaście godzin a potem zmieniani są przez współtowarzyszy. Mają ostrzegać przed zbliżającymi się bandziorami. Szczególnie w „nocy”, kiedy miasto śpi. Na początku nie było wiadomo czy dadzą sobie radę ale Piotr zaopatrzył ich w broń w postaci wody święconej, czyli „święconki” jak nazywają ją między sobą. Nic tak dobrze nie działa na tamtych i nic ich tak nie odstrasza jak święcona woda. Święcona, znaczy się, ma moc. A karabiny? Chłopaki oblewają „święconką” kule karabinowe, a potem posyłają je tamtym, dopóki jeszcze są daleko. Butelka po szamponie ma mały zasięg i nie zawsze musi wywołać określone wrażenie. Od razu przypomniał mi się stary Frank, który tak bardzo mnie „pseprasał”, że mnie oblał swoją „szamponówką”. Jak produkuje się tę „wodę mocy”, miałem okazję sam widzieć. Przed domem Piotra stoi beczka, którą co raz trzeba napełniać zwykłą wodą. Potem ktoś idzie po niego a on przychodzi. Najpierw kieruje wzrok w zachmurzone niebo, później pochyla się nad beczką i coś tam mamrocze. Nazywa to modlitwą. W ogóle powinno modlić się często, gorliwie i powinien czynić to każdy. Nauczył nas takiej jednej modlitwy do swojego ojca. Jeszcze mi się myli i zapominam o niej ale idzie mi coraz lepiej.

Ceremoniał nad beczką trwa dość krótko, po czym zwyczajnie odchodzi z powrotem. Woda nie różni się niczym od tej z przed ceremonii. Wiem, sprawdzałem. Wszyscy to wiedzą. A jednak nie znam tu człowieka, który nie nosiłby przy sobie choć maleńkiego flakonika. Tak na wszelki wypadek. Na którejś z kolei nauce, ktoś podsunął pomysł, że można by się tą wodą wysmarować albo napić się jej i dać sobie spokój z butelkami ale Piotr od razu ostrzegł, że to nic nie da. Wtedy po raz pierwszy widziałem jak wygląda Piotr, który jest niezadowolony. Nie zły, ale niezadowolony. Może ten ktoś był bliski odkrycia tajemnicy produkcji „święconki” a może zaczęłby nawet dorównywać Piotrowi i Piotr tego się obawiał? Trudno zgadnąć. Po prostu powiedział, że to nic nie da i koniec. Poszedł sobie. Bez żadnego ojcowskiego politowania, czy tłumaczenia jak to zazwyczaj miał okazję czynić w takich wypadkach. Potem zorganizował transporty. Najpierw konwój samochodów osobowych z kierowcami pojechał po ciężarówki i cysterny. A gdy takie znalazł, załadował je sprzętem spisany przez Piotra na kartce. Odzież, częściami zapasowymi, lekarstwami, zdatną do spożycia żywnością, generatorami prądu i wszystkim tym co może przydać się jednemu miastu do przeżycia określonego czasu, tak jakby było odcięte od świata przez lawinę. Cysterny zostały wypełnione paliwem, które w przyszłości miało napędzać generatory. Taki konwój to była niebezpieczna sprawa, bo Piotr zawsze zostawał w mieście, a na zewnątrz, często wiele kilometrów od Fryslyn wyjeżdżali zwykli ludzie.

Co prawda zawsze byli zaopatrzeni w „święconkę” i broń konwencjonalną ale ci co widzieli bestię nie wierzyli w to, że te rzeczy mogłyby im pomóc. Specjalną ochroną było błogosławieństwo Piotra dla konwoju ale z tym było jak z wodą święconą. Ani nie czujesz, że takie otrzymałeś ani nie widzisz żadnych zmian, co do tego żebyś był jakiś silniejszy. Błogosławieństwa musiały jednak w jakiś sposób działać, bo wysyłane konwoje wracały całe i szczęśliwie przywożąc ze sobą to, czego od nich oczekiwał. Wkrótce ich częstotliwość spadła do zaledwie jednego, dwóch kursów tygodniowo i wszyscy mogli teraz zacząć pracować na wspólne dobro. Trzeba było przede wszystkim przeprowadzić dezynfekcję, po wcześniejszym uprzągnięciu na wpół zgniłych zwierząt, by nie dopuścić do wybuchu epidemii, zorganizować własne źródło wytwarzania artykułów spożywczych, chleb odtąd miał być głównym składnikiem naszego pożywienia, zająć się ich sprawną dystrybucją, uruchomić punkt ambulatoryjny, przygotować ludzi do pełnienia określonych obowiązków, wyłonić administrację miasta, wykopać nowe studnie. Generatory były za słabe, by dać radę z pompowaniem wody w całym mieście. Odłączyć prąd tam gdzie nie był on potrzebny. Pospinać linie tam gdzie żarówki miały błyszczeć. Wybudować kaplicę. Zorganizować wreszcie własne uprawy zbóż i warzyw z których można by korzystać w przyszłości. Z tym było najwięcej kłopotu. Jak zorganizować uprawę roślin jeśli nie ma wystarczającej ilości słonecznego światła? Niektórym ciężko jest się pogodzić z faktem, że już słońca nie ujrzą. A to Piotr potwierdza akurat bez wątpliwości. Diabeł porusza się w ciemnościach. Teraz to jego teren i on będzie chciał tu rządzić. Dni będą coraz krótsze, aż w końcu nastanie zupełna ciemność. Na tę chwilę musimy zdążyć się przygotować. Dokładnie co się będzie wtedy działo, Piotr nie mówi. Ale na ten czas mamy być przygotowani duchowo i organizacyjnie.

Staramy się wykorzystać szklarnie znajdujące się na terenie Fryslyn. Jest ich dużo ale wszystkich nie możemy użyć, bo nasze konwoje, jeszcze przed nastaniem zimy, musiałyby codziennie wyjeżdżać po węgiel i ropę do pieców i generatorów, żeby nadażyć z ich ogrzaniem. Wybieramy kilka. Staramy się je przerobić i udoskonalić według naszych potrzeb. Upraw uczymy się od osób, które posiadają takie doświadczenie oraz z książek. Ludzie poddają się temu organizacyjnemu procesowi bez kłopotu. Rozumieją, że Fryslyn, Piotr i jego Bóg, to dla nich jedyna szansa na ocalenie życia. Rozumieją, że muszą się tu szybko zadomowić, nauczyć nowych obowiązków, zapomnieć o tym co było kiedyś i nauczyć żyć w nowym stylu. Nie kapryszą, nie idą na łatwiznę ale rzeczywiście ciężko pracują, by powierzone im zadania wykonać szybko i sprawnie. Wiedzą, że od tego zależy ich przyszłość. Wydaje mi się, że do takiego zachowania dopingują ich dwie rzeczy. Piotr, który jest przykładem i strach, że mogą nie dostąpić łaski ratunku, jeśli nie spodobają się Bogu. Uciekinierzy nie są porozrzucani po całym mieście. Zamieszkują przede wszystkim główną ulicę i kilka poprzecznych. W domach, które sami sobie wybrali. Tworzą coś na wzór małych rodzin. Piotr mieszka sam. W „centrum” a centrum jest tam gdzie jest beczka. Niedaleko świetlicy, która została zaadaptowana na kaplicę. Miejsce naszych zebrań i modlitw.

... mija miesiąc...

Nazywają mnie tu „Nowy”. To dlatego, że przyjechałem ostatni. Denerwuje mnie to trochę, bo mam swoje imię ale puszczam to płazem. Uczę się być wyrozumiały i przebaczać, czyli zachowuje się tak jak mówił o tym nasz wódz na którejś z nauk. „Mam” dom jednopiętrowy, lekkiej konstrukcji przy głównej ulicy. Zajmuję górę. Na dole mieszka małżeństwo. Sally i Dominik. Fajni ludzie. Z Dominikiem łączą nas wspólne obowiązki. Jeździmy w konwoju po węgiel. Do kopalni, która znajduje się dwadzieścia kilometrów na północny-wschód od Fryslyn. To kopalnia odkrywkowa z węglem brunatnym. Nie bawimy się w górników. Zabieramy węgiel z hałd a jest go mnóstwo. Dominik prowadzi ciężarówkę. Ja jestem człowiekiem czujką, szperaczem i ochroną.

Oczywiście nie jeździmy tylko we dwójkę. Cały konwój składa się z jeszcze dwóch lub większej ilości ciężarówek i obsługi. Na miejscu dzielimy się rolami. Część najpierw pilnuje a druga część ładuje węgiel. Potem zmiana. Taka wyprawa po węgiel zabiera większość dnia. I wcale na tym nasza robota się nie kończy. Potem na zmianę trzymamy dyżur w wyznaczonej szklarni. Pilnujemy pieca, żeby ogień nie zgasł. Wieczorem, jeśli to akurat mi nie wypada dyżur przy piecu, spotkanie w kaplicy. I tak w kółko. Cztery domy dalej znajduje się posterunek straży. To tu spędziłem pierwszą noc. Nie oceniam czy jest mi gorzej czy lepiej niż innym. Tutaj nie mierzy się tego w ten sposób, tutaj nie istnieje kategoria „mieć”. Ważne jest być i starać się przekonać do nowych zasad. Myślę, że to nie jest uciążliwe, jeśli wziąć pod uwagę warunki w jakich przyszło mi żyć. Mogło być gorzej. Mogłem dalej tułać się po bezdrożach albo mogło mnie już w ogóle nie być. Piotr na szczęście, to nie jest radykał. Nie buduje tu bezwzględnej komuny. Ma zdrowe zasady. Chcesz, zostań ale pracuj i ucz się. Nie chcesz, droga wolna. Chcesz, wierz w to co mówię. Nie chcesz, nie wierz ale nie wiem czy będziesz uratowany. Daje to, czego w sferze ducha absolutnie brakuje wokół. Nadzieję. I do tego nie interesuje go co kto robił w przeszłości. Dla niego wszyscy są równi i tacy sami. Nie ma lepszych czy gorszych. Z większymi albo z mniejszymi szansami. Czy tęsknię za tamtym życiem? W jakiś sposób tak. Ale to głównie dlatego, że nie da się tak po prostu zapomnieć, wyrzucić z pamięci połowy żywota. Nie jestem jednak pewien czy chciałbym tam wrócić, cofnąć wszystko. To dziwne ale nie jestem pewien. Tam każdy dzień to walka, użeranie się z klientami, notoryczny brak czasu i ciągłe kłopoty. Tutaj brak czasu poprzez pracę, to oznaka większej ... wolności, większej swobody, lekkości. To dziwne ale tak tu właśnie jest. To jakaś zupełnie odwrotna zależność. Nielogiczna, niestosowna, nienormalna i jakby nie po kolei ale wydaje się właściwa. Moim jedynym problemem jest tu po prostu nie przeklinać, nie kłamać, nie oszukiwać. Oczyszczyć się. Odbudować w sobie zdolność wyboru i dać się zbawić. Dać się uratować. To wszystko. Nawet nie myślę o bezpośrednim obcowaniu z Jego Bogiem w krainie wiecznej szczęśliwości, na co Piotr kładzie szczególny nacisk. Po prostu nie umiem sobie tego wyobrazić. Tak niewiele tutaj potrzebuję i tak niewiele ode mnie oczekują w zamian za ratunek. W tamtym świecie w takiej sytuacji wykupienie kosztowałoby fortunę, a to i tak poprzez koneksje i znajomości. Chyba odkrywam tu nową, niecodzienną formę szczęścia.

Pewnego dnia „przy piecu” odwiedza mnie Piotr.

- Co słysząc Evan? – mówi pełen entuzjazmu.
- W porządku. – odpowiadam układowie. Zaskoczył mnie. Pamięta moje imię a przecież takich jak ja jest tu wielu.
- Nie widziałem cię ostatnio w kaplicy, coś się dzieje? – zagaduje i siada przy mnie na stołku, żeby się ogrzać. Mamy przybliżony koniec października i jest rzeczywiście chłodno. Jakim cudem zauważył mój brak na naukach też nie wiem. Może ktoś mu powiedział.
- Nie mam kiedy - wzdycham – Dominik, mój zmiennik jest chory. Leży w domu. Zastępuję go, żeby nam warzywa nie pomarzęły.
- O tak – przytakuje – warzywa to dla nas ważna i cenna rzecz. Myślisz, że coś z tego wyrośnie? – pyta mnie nagle spoglądając na grządki na których mało co widać. Ja zaś nie mam zielonego pojęcia, bo to przecież eksperyment. To on powinien to wiedzieć, bo sam ustalał co posadzić i jak pielęgnować. Udaje jednak, że się znam i mówię, że już gdzieś widać zielone liście, które wystają z gleby.
- Szkoda, że nie mogłeś przyjść – mówi – Ciekawe rzeczy omawialiśmy. Ale to co robisz całkowicie cię usprawiedliwia – uspokaja mnie. Czyżby specjalnie dla mnie przyszedł powtórzyć wykład? Wątpię.

- To ty jeździsz w konwojach po węgiel? – pyta. Ja zaś załamuje się. Z jednej strony pamięta jak mi na imię a z drugiej nie pamięta, że co rusz błogosławi przed wyjazdem w drogę. Taki właśnie jest. To co dla zwykłego człowieka wydaje się istotne jego uwadze umyka. To co tobie umyka on pamięta.
- Dużo macie kłopotów? Wiesz, chodzi mi o to, czy ludzie diabła was często zaczepiają.
- Nie. Rzadko ich widzimy. Nie przeszkadzają nam. Przyglądają się tylko. – mówię prawdę. Zorientowali się chyba, że Piotr wziął pod opiekę miasto i wiedzą, że z nim to nie przelewki dlatego i nas nie ruszają.
- Czekają ... – wzdycha.
Milczymy, patrząc w kratę paleniska za którą buzuje ogień. Jego „czekają” nie zabrzmiało obiecująco. Przyglądam mu się ale niemożliwym jest odgadnąć o czym myśli. Jest daleko stąd.
- Co wtedy będzie? – zagaduję go.
- Kiedy? – wraca do rzeczywistości
- No, jak się obudzi - próbuję ciągnąć temat – Bo on teraz śpi, prawda?
Patrzy przeciągle tym swoim dziwnym wzrokiem. Nie patrzy na mnie. Patrzy gdzieś we mnie. Jakby czytał książkę. Znalazł odpowiednią stronę i próbuje się uśmiechnąć.
- Na razie są słabi, boją się – podejmuje dalej – ale masz rację, on teraz śpi, a oni czekają aż się obudzi. Co wtedy będzie? Pyta sam siebie. I zaraz odpowiada ale ta odpowiedź mnie zawodzi, bo jest w jego stylu – Zobaczymy.
- Dasz mu radę? – może nie powinienem pytać ale stało się, zapytałem. Znowu patrzy na mnie i „czyta”.
- Wszyscy musicie umrzeć
Zatkało mnie. Nie takiego pocieszenia oczekiwałem. Piotr nie spuszcza ze mnie wzroku.
- Nie bój się – poprawia nieco nastrój – Nic nie dzieje się ani nie stanie przez przypadek. Niektórzy z was umrą ale to jest taka śmierć, której dostępuje się z łaski, inaczej nie narodzicie się na nowo. Nie wszyscy jednak będą zbawieni.
Boże! O czym on mówi! Po co to wszystko skoro mamy umrzeć! I w dodatku mówi to z takim spokojem. Po jakie лихо tu jesteśmy i po co to wszystko robimy? Jak to, musimy urodzić się jeszcze raz?
Klepie mnie dobrotliwie po kolanie.
- Powiedz mi lepiej jak tu dotarłeś, to będzie ciekawsze – prosi - Martwić się będziemy później.
Opowiadam mu więc po kolei historię mojej ucieczki z Sierra Tann. W dużym skrócie. Ożywia się kiedy dochodzę do zapętlenia czasu i spotkania z moim sobowtórem. Pytam go czy spotkał się kiedyś z czymś takim i co o tym sądzi, bo może nie tyle, że ja w to nie wierzę, bo przecież przeżyłem to, ale nie do końca wszystko jest dla mnie jasne.
- Tak – potwierdza – takie zapętlenie rzeczywiście miało miejsce. Trwało kilka minut spowodowało przesunięcia w czasie i znaczną konwersję miejsc. I to całkiem niedawno. Musisz mieć sporo na sumieniu skoro uciekł się aż do takiego sposobu pochwycenia cię – zrobił przerwę i gapi się na mnie a ja robię się czerwony, bo tak patrzy jakby wiedział co nabroiłem w przeszłości. Ale nie mówi nic. Spuszczam wzrok.
- Dlaczego akurat zależało mu tak bardzo na mnie?
- Pozbądź się pychy, Evan – karci mnie - Zależy mu na każdym grzeszniku nie tylko na tobie. Ale na tych, których sumienie jest ciężkie jak kamień, szczególnie. – Zrozumiałem aluzję i zaczynam zaraz myśleć o tym jak mówił, że nie wszyscy zostaną zbawieni. – Równocześnie ze spaleniem Sierra Tann – kontynuuje - wywołał panikę na całym świecie dezorganizując jego prawa i zasady. To co od zawsze wydawało się wieczne i niekończące, to co miało wielowiekowe podstawy, runęło w gruzy, przestawało działać, przestawało się sprawdzać, przestawało być normalnym.

Zasiał niepokój w ludziach, pojawiał się tu i tam, palił miasta a następnie zaczął porywać ludzi. Porywać, nie zabijać, bo on ich nie zabija. Choć odebranie zdolności wyboru jest śmiercią duszy, a zarazem całego człowieka. W każdym bądź razie, nie zabijał ich w taki sposób jaki wy to znacie. Śmierć ciała nie jest śmiercią u Boga i u niego też nie. Część porwanych zamykał w piekle a część przekształcał w swoich żołnierzy. Choć to ciężko sobie wyobrazić, tak działo się nie tylko tutaj ale na całym świecie. On nie ma problemów z przemieszczaniem się. Przemieszczanie się, transport, czas, to pojęcia czysto ludzkie. On po prostu mówi „jestem” i już materializuje się tam gdzie chce to uczynić. Jest potężny i dlatego ludzie z założenia nie mogą z nim wygrać bez pomocy Boga. Kiedy spalił Sierra Tann, wprowadził w ruch wielkie masy ludzi. Dlaczego nie odkrył cię wcześniej? Paradoksalnie twoja grzeszność okazała się twoim atutem. Wtedy zapętlili czas ale nie zabił cię, bo już się wypalał, układał do snu i zadanie, to powierzył swoim ludziom ale ci nie dali rady go wykonać. Nawalili.

- Miałem szczęście.
- To nie jest kwestia szczęścia – zaprzecza.
- A skąd ty to wszystko wiesz Piotrze, czy twój Bóg ci to powiedział? Jeśli ci powiedział, to może zapytałbyś Go, czy ... - Piotr kiwa głową z uśmiechem od ucha do ucha. Mnie robi się wstyd.
- Ja też kiedyś umarłem i teraz żyję. Bądź dobrej myśli i ufaj.
No tak! Tylko jak ja mam ufać jak sam nazwał mnie grzesznikiem o sumieniu z kamienia. Wyłożył mi kawę na ławę. Dość ostro. Nie było w tym nic z przytulności czy serdeczności. Wydawał się nawet zły, że go poniosło i że wyjaśnił mi wszystko co chciałem wiedzieć. Pewnie wolałby opowiadać same pozytywne historie, a ja ściągnąłem go w wir ludzkich, małych problemików. Ale i tak mam mętlik w głowie. Bóg i diabeł tłuką się o jakiś nędznych ludzi, którzy sami nie potrafią się obronić, bo są za słabi. Ale po co się tłuką? Wygląda no to, że jeden chce udowodnić coś drugiemu. A my szara masa, czekamy na wynik tej konfrontacji. Ale z drugiej strony bój idzie o moje życie. Czy powinienem wnikać z jakich pobudek? Poza tym już wiem, że jestem „szczególnym” grzesznikiem i prawdopodobnie będę należał do tych „niektórych”, którzy nie dostąpią łaski zbawienia. Ale jeszcze w innym miejscu on mówił, że paradoksalnie uratowała mnie moja grzeszność. I co? Nie mętlik?
- Czy to było dawno? No wiesz, twoja śmierć? – pytam, bo może coś słyszałem o przypadkach gwałtownej śmierci i zmartwychwstania.
- Niedawno.
- Nie rozumiem?
Piotr niecierpliwie spogląda za siebie. Pewnie musi już iść.
- Nie martw się – mruga okiem – kiedyś zrozumiesz.

... minęło pół roku ...

Nasze uprawy sprawdziły się w dziewięćdziesięciu procentach. Piotr mówi, że to sukces. Rzeczywiście pod względem wyżywienia jesteśmy samowystarczalni. Choć w pewnym sensie, bo nasze menu nie jest wyszukane. Sami wegetarianie. Do braku mięsa można się przyzwyczaić. Do utraty jego smaku, tłuszczu rozpływającego się w ustach, nie bardzo. Na początku zdarzały się rarytasy jak ktoś przy okazji konwoju przywiózł ze sobą puszkę wołowiny albo wieprzowiny ale to już się nie zdarza. Na zewnątrz żywność, której nie zdołaliśmy dotąd zabrać, straciła daty przydatności i popsuła się. Tak naprawdę, to „świat zewnętrzny” już nie istnieje. Niekontrolowana przez ludzi zima, pozrywała dachy, porozsadzała mury, zatory lodu na rzekach pozrywały mosty, poprzewracały się słupy wysokiego napięcia w których co prawda i tak nie ma prądu ale taki widok jest naprawdę żalospny.

Wiosna była jeszcze gorsza, bo odsłoniła krajobraz po mrozach i powodziach spowodowanych odwilżą. Miasta zarosły chwastami, z domów sypie się tynk, odpada farba, maszyny rdzewieją, a woda z rzek i deszcze rozmyły drogi do tego stopnia, że już nawet ciężarówką po węgiel ciężko jest się przebić i trzeba czekać na odpowiednią pogodę. „Węglowe konwoje” i „benzynowe konwoje” to w tej chwili atrakcja. Jeśli ktoś lubi i chce wyrwać się za miasto, to tylko z takim konwojem. Bo one kursują regularnie i najczęściej. Zdarzają się oczywiście wypadki po części zamienne, ciuchy, papierosy i co zdawniej medykamenty albo kosmetyki ale to naprawdę rzadko. Kto by pomyślał, że krem do golenia może tak bardzo cieszyć? Coraz mniej jest jednak rzeczy, które można by stamtąd do nas przywozić. To smutne. Świat umiera a my nic na to nie możemy poradzić. Zamknięci jesteśmy w mieście jak motyl w puszczy, którego przed zagładą ratują ściany odporne na zarazę. Ta hermetyczność jest szczęśliwa ale nie do końca. Wymaga od nas dużego wysiłku. Jak zjadasz owoc z uprawy pamiętaj, żeby zostawić pestki, bo z nich wyrosnie następny owoc, który zjesz w przyszłym roku. Jeśli pijesz herbatę to pij tak, żeby z jednej porcji zrobić przynajmniej trzy herbaty, bo wkrótce nie będziesz miał co pić. Jeśli palisz światło to pal tylko wtedy, kiedy jest to rzeczywiście konieczne, bo paliwo w generatorach nie bierze się z powietrza. Poza tym pamiętaj, żeby być miłym dla innych towarzyszy niedoli, wybacжай im, kochaj ich, przestrzegaj praw Boga, módl się i wierz w to, że to wszystko ma sens, bo dzięki temu kiedyś zostaniesz uratowany. Kiedyś ...

Piotr od samego początku powtarza, że nikt nie zna dnia ani godziny, że to lada chwila. Ale minęło już pół roku i jego „lada chwila” nie nadchodzi. Nie myślałem, że będzie tak ciężko. Początek wydawał mi się całkiem fajny, pisałem o tym, że odkrywam tu nową formę szczęścia. Ale wtedy większą część zaopatrzeniowych produktów, rzeczy nam potrzebnych, przywoziliśmy z zewnątrz. To źródło jednak wysycha i teraz dopiero okazują się, dociera do mnie co to znaczy zostać odizolowanym od świata i jego dobrodziejstw. Jakby tego nie nazwać. Najbardziej denerwuje mnie to, że Piotr upiera się przy tym, że jego Bóg jest wśród nas, że wie czego nam potrzeba, że wszystko widzi i że pomaga nam. Guzik prawda. Ja tego nie widzę i nie jestem odosobniony w swoim poglądzie. Jest nam coraz ciężej. Modlimy się i modlimy, spotykamy na naukach, śpiewamy hymny pochwalne, a wszystko to jakby ginęło w studni bez dna. Może to jakaś próba na wierność? Ale czy niewystarczającą próbą było dla nas oglądanie zagłady świata? Swoich domów, miast i utrata przyjaciół? Piotr przydał nam jeszcze dwóch Bogów. Jezusa i Ducha świętego. Ten pierwszy jest synem Najwyższego ten drugi kimś w rodzaju przewodnika duszy w kwestii ratowania sumienia. Jezus podobno jest ważny, bo jako Bóg umarł kiedyś za nas a potem zmartwychwstał. Zmartwychwstał, bo Boga nie można zabić. Jest niezniszczalny. Umarł za nas, by dać nam kiedyś możliwość ratunku. Między innymi w sytuacji takiej jak nasza obecnie. Gdyby nie On, dziś nie byłoby podstaw do tego, żeby zjawił się tu Piotr i zbudował Fryslin. Ale powtarzam, jest trudno. Jest cholernie trudno. Piotrowa nadzieja rozmywa się gdzieś w trudach życia, szarości, monotonii i tęsknotach za naszym dawnym światem. Tamten nasz świat był zły, pełen przemocy, ale wtedy mogliśmy robić to na co mieliśmy ochotę. Ja tutaj, przestaje być sobą. Z technologicznego punktu widzenia nie tylko się nie rozwijam ale wręcz cofam się w rozwoju. Tęsknię za telewizorem, radiem, komputerem. Tęsknię za tym, żeby po prostu wyjść do lasu i odsikać się pod drzewem bez obawy, że ktoś mnie napadnie! Dni są coraz krótsze. Mierząc dawną „zegarkową” miarą trwają może sześć godzin. Może trochę więcej a może trochę mniej. We Fryslin zegary działają normalnie. Tylko poza nim nie działają. W każdym bądź razie to kolejny czynnik mało optymistyczny. Opornik, który wmontowany jest w układ i nie możesz go minąć.

Załamania wiary dopadają mnie coraz częściej. Potem przychodzi opamiętanie. Nie mam przecież innego wyjścia jak tu tkwić i poddać się temu wszystkiemu. A skoro już nie mam wyjścia to staram się wierzyć w Piotra i Boga.

... minął rok ...

We Fryslyn źle się dzieje! Zaczęło się od tego, że pewnego dnia konwój z benzyną został ostrzelany przez żołnierzy diabła. Zdążyliśmy się na tyle przyzwyczaić do ich ciągłej obecności w naszym pobliżu, że zbagatelizowaliśmy niebezpieczeństwo mogące wyniknąć z ich ewentualnej zaczepki. Ci, którzy dotychczas przyglądali nam się z daleka i tylko obserwowali przez lornetki, nagle otworzyli do nas ogień z moździerza. Było to dość daleko od miasta. Sama odległość nie miała jednak wpływu na to co się stało, bo zdarzało się już, że jeździliśmy jeszcze dalej i nikt nas wtedy nie atakował. Nie wiadomo co im odbiło. Cysterna po kilkunastu metrach lawirowania pośród wybuchów wyleciała wraz z ludźmi w powietrze. To był okropny wybuch. Nie było co ratować. Ludzie z eskorty uciekli w popłochu. W mieście zrobiło się zamieszanie. Piotr tak jak inni wypytywał o szczegóły, jakby sam nie mógł albo nie chciał uwierzyć w to co się stało. Od tamtego czasu nie było już spokojnych wyjazdów na zewnątrz, a konwoje przestały być atrakcją. Teraz każdy wypad kończył się strzelaniną. Pal lichu utracone paliwo i inne zdobycze. Gorzej, że błogosławieństwa Piotra przestały działać i zaczęli ginąć ludzie. A to już był problem nie lada. Co prawda nigdy nie słyszałem, by publicznie deklarował, że będzie nas bronił do „krwi ostatniej” czy, że jego błogosławieństwo czyni nas nietykalnymi ale to rozumiało się samo przez się. W jakiś czas po tym, srebrzyści zaczęli przynosić informację, że wokół posterunków robi się niebezpiecznie. Obserwują wzmożony ruch żołnierzy, którzy w nocy podchodzą coraz bliżej pod miasto. Jakby sprawdzali jak silnie jest chronione. Niedługo trwało, a noce przestały być sielanką. Pojedyncze wystrzały naszych, a czasem całe kanonady ze strony tamtych rozdzierały ciszę podrywając ludzi na równe nogi.

Piotr zwiększył liczbę pilnujących na posterunkach i wprowadził częstsze zmiany wart. Często objeżdżał je w nocy sam doglądając naszego bezpieczeństwa. Póki co, tamci jeszcze trzymali się na dystans i nie ważyli się atakować, czy ostrzeliwać samego miasta ale małymi kroczkami zaczął wracać koszar z przed roku. W owym czasie nie brałem już udziału w „węglowych konwojach” ani nie pilnowałem pieca przy szklarni. Decyzją rady miasta zostałem przesunięty do prewencji. Do oddziału pięcioosobowej policji. Po co policja we Fryslyn gdzie jedynym niepisanym prawem było: „miłuj bliźniego swego jak siebie samego”? To było zaraz jakoś po tym jak przygotowaliśmy nowe zasiewy na przyszły rok. Wtedy było jeszcze spokojnie. Poszła wieść, że tu i ówdzie można w mieście dostać alkohol. Alkohol to jedna z tych rzeczy, które „na zewnątrz” nie psują się. A wręcz przeciwnie. Czasem, im starszy tym okazuje się lepszy. Trzeba było ustalić w jaki sposób, jakimi kanałami dostaje się on do miasta i kto to robi. Z używkami to była w ogóle dziwna sprawa. O ile papierosy były powszechnie tolerowane, o tyle alkohol i jego pojawienie się wzbudziło w ojczach miasta duży niepokój. Po pierwsze nie kontrolowali jego dystrybucji. Po drugie nie do końca zgadzało się to z polityką prowadzoną przez Piotra. „Kto pił niech nie przychodzi na nauki”, „Potrzebne mi są wasze trzeźwe umysły a nie zamroczone, rozsądek i rozważa a nie emocje”. – takie były jego słowa a Rada uważała się za kogoś w rodzaju sądu i egzekutywy nad tym co mówił Piotr a jak rozumieją i wykonują to mieszkańcy. Żadnego dekretu zakazującego kontynuowania tego procederu Piotr jednak nie wydał. Bo co się okazało? Prawo Boga nie zakazuje oficjalnie spożywania napojów wysokowych, a tym samym picie nie zamyka drogi do zbawienia. Ponieważ wódz nic nie zrobił Rada miasta postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Bardziej interesowało ją jednak kto to taki miesza jej szyki niż to, żeby uczulić ludzi na jego wskazania. Powołali zespół do walki z korupcją i w tymże zespole znalazłem swoje nowe miejsce. Ustalenie kto pije i co pije nie było trudne. Bryluje w tym szczególnie brudny, obleśny i szczerbaty Haris o posturze wieprzka. Razem ze swoimi kolesiami, którzy niewiele ustępują mu kiepskim zachowaniem. Z tym że piją, nie kryją się zbytnio ale skąd mają wódkę nie chcą powiedzieć.

Decyzją Rady zostali zamknięci na posterunku w sali, która przerobiona została na cele zatrzymań. Jedna noc wystarczyła, by po otrzeźwieniu zaczęli domagać się odczytania im ich praw, adwokata, jednego telefonu i papieru aby napisać skargę do kongresu. Potem przyszedł Piotr i kazał wszystkich wypuścić. Ale Rada nie dała za wygraną. Wydała oficjalny zakaz wwozu do miasta rzeczy, które nie zostały przez nią wcześniej potwierdzone. Skoro wolno im pić to niech piją, ale niech nie wykorzystują do tego samochodów, które są własnością wspólnoty i nie za benzynę wspólnoty. Tak oto udało się zrealizować cel w myśl hasła, żeby wilk był syty i owca cała. Teraz wystarczyło dowiedzieć się kto wyjeżdża z konwojami za miasto i w porę przeprowadzić ich kontrolę. To nie była trudna rzecz, bo konwoje wyjeżdżały teraz rzadko i w silnej obstawie, a tam zawsze był nasz człowiek. Dopiero stała się trudna, kiedy okazało się, że konwoje są czyste a wódka mimo wszystko nadal jest w mieście. Mało tego, na początku był tylko jeden gatunek. Później, pojawiła się whisky, piwo, wino, koniaki i co tylko chcesz. Jakim cudem? Nie wiadomo. Mieliśmy dwie koncepcje albo we Fryslyn znajduje się jakiś magazyn, który już tu był zanim przyjechaliśmy i ktoś teraz z niego korzysta albo, to była koncepcja szalona już w założeniu, ktoś spoza miasta, swoim transportem, dostarcza kontrabandę do Fryslyn omijając posterunki. Chyba, że to któryś ze srebrzystych jest przemytnikiem. Ale czy odważyłby się sam w noc jeździć po towar? Niech nie będzie sam, niech ich będzie dwóch, trzech, jeden posterunek sprzeniewierzonych srebrzystych, ale w jakim celu mieliby to robić? Jakie korzyści mogliby z tego osiągnąć? Produkcja własna nie wchodziła w rachubę. Butelki i puszki miały oryginalne akcyzy. Zamiast interesować się tym co dzieje się „na zewnątrz” miasta zaczęliśmy bardziej przyglądać się temu co dzieje się w środku, by tą drogą odkryć kanał przemytu. Ktoś ten towar przecież musiał odbierać albo skądś go wyjmować jeśli to był magazyn. Pod szczególną obserwacją znalazła się grupa Harisa.

To był lokal po dawnym pubie w jednej z poprzecznych ulic. Nazywał się Puerto Pub. Kiedyś była to knajpa pełną gębą z TV, automatami do gry, szafą grającą i podobnymi rzeczami. Teraz jest to klubo-jadalnia, gdzie za kartki przydziałowe możesz wykorzystać na miejscu część swojej racji żywnościowej, napić się wody lub soku, pogadać z innymi ludźmi, zapalić papierosa, pograć w karty, w bilard. Taka odskocznia w przeszłość. Miejsce w którym możesz na chwilę uciec od codziennej szarzyzny. Pół życia spędziłem w takich knajpach. Za każdym razem wchodząc tu bałem się, że może wywołać to we mnie jakieś wsteczne skojarzenia. A to w połączeniu ze świeżo nabytą umiejętnością łapania kryzysów wiary, mogłoby doprowadzić mnie do zwątpienia. Wspomnienia były tu namacalne i prawie na wyciągnięcie ręki. „Puerto Pub” był ulubionym miejscem przesiadywania Harisa i jego kompanów. Barneya, Freda, i Dino. Chłopaki z gruntu rzeczy nie wyglądają na złych. Za dawnych czasów mieli swój gang motocyklowy i swoje specyficzne środowisko. Tutaj nie tyle nie chcą się przystosować, co nie bardzo umieją zrezygnować z dawnych przyzwyczajęń. Wchodzę. W środku jest kilkanaście osób. Gwar. Czy siedzą dwie osoby, czy tuzin w każdej knajpie na całym świecie jest gwar. Znajduję wzrokiem Harisa. Trudno nie dostrzec tej wielkiej pucołowatej buzi, wiecznie brudnych i rozwichrzonych włosów. Siedzi sam przy stoliku. Jest nieźle wstawiony. Kiedy będzie wychodził, on lub jego kumple, muszą dać cynk chłopakowi na ulicy, żeby go przejął i zobaczył dokąd skieruje swoje kroki. Przy następnym stoliku siedzi Barney, Fred i Dino, a z nimi, na pierwszy rzut oka, całkiem ładna i zgrabna panienka. Chichoczą rozmawiając o czymś. Zupełnie nie wiem jak tamci faceci pozawalają, żeby rządził nimi ktoś taki jak Haris. Gdybym ich nie znał powiedziałbym, że to całkiem rozsądni ludzie. Bez żenady popijają piwo z puszek. Kilka innych osób również. Zamawiam w bufecie sok, po czym siadam na kanapie pod ścianą. Rozglądam się. Z jednej strony rozumiem, że nie można obciążać generatorów dla szafy grającej, bo to zbytek.

Ale z drugiej strony szkoda, że nie gra. Haris odszukał mnie swoim pijackim wzrokiem. Złapał puszkę z piwem i niezdarnie szurnawszy krzesłem ruszył w moją stronę. Klapanął obok całym ciężarem ciała aż kanapa jęknęła.

- Cześć podstępna glino! – wita mnie – Znowu chciałbyś mnie zamknąć, co? Po to tu przyszedłeś? – pluje mi na policzek. Przy okazji czuje jego przegniły oddech. – Nic z tego, pan Piotr powiedział, że można pić, bo to jest równy gość!
Ignoruje go. Usiadł, niech siedzi. Byleby nie pluł w moją stronę.
- Zobacz – mówi – z ludzi nie da się zrobić niewolników – ma na myśli tych wszystkich, którzy sączą trunki - Ta twoja Rada chce, żeby tylko pracować i pracować, a gdzie czas na przyjemności, gdzie wynagrodzenie? Już ja wiem jakie wy tam sobie gniazdka mościecie naszym kosztem. Ale co nie jest zabronione to jest dozwolone! Tak?
- Dokładnie – potwierdzam, bo tu akurat ma rację. Zabroniony jest wwóz alkoholu do miasta. Picie nie. Odbiło mu się nieprzyjemnie ale jakoś powstrzymał się przed uwolnieniem pawia, który tańczy mu na żołądku. Z resztą w nosie mam to, że piją. Sam mam ochotę się napić ale zrobili mnie gliną więc zachowuje się jak glina. W tamtym życiu stałem po tej samej stronie barykady co Haris.
- Ej! – drze się na całą knajpę w kierunku swoich kompanów – Pies chce mnie aresztować! Pomaga sobie ręką w gestykulacjach, naśladując zapinanie kajdanek na przegubach dłoni. Kilka osób ciekawie odwraca głowy ale widzą, że skandalu na razie nie będzie, więc wracają do przerwanych rozmów. Pies to obraźliwa nazwa policjanta. Choć łże, odpowiada mu rechot tamtych i wyszczerzone zęby.
- Pie... go! – odkrzykuje mu najmłodszy z nich, Dino – Nic ci nie może zrobić. Najpierw musi aresztować Piotra! – znowu rechot. Czasem człowiekowi obrywa się za nic. Panienska, która jest z nimi, również patrzy w naszą stronę ale widzę, że takie konwersacje są na nią za „grube”. Zbyt chamskie. Uśmiecha się ale tak jakoś bez przekonania. Szkoda mi takich dziewczyn. Ta jest ładna i atrakcyjna. Co ją przy takich zbirach trzyma? Choć wiele razy widziałem takie sytuacje, to wciąż jest to dla mnie zagadka. Może jest to związane z chęcią przebywania w obecności silnych mężczyzn, którzy dają pewne poczucie bezpieczeństwa. Ale w zestawieniu z ludźmi Harisa to prawdziwy paradoks, bo osoby które poszukują oparcia i bezpieczeństwa są z reguły bardzo wrażliwe i uczuciowe. Piekielny kontrast. Wątpię, żeby w jakiś sposób mogła się przy nich dowartościować.
- Napijesz się? – pyta Haris zadowolony, że pomimo zamroczenia kompani mówią to co chciałby usłyszeć.
- Nie mam ochoty – kłamię.
- Daphne! – znowu się wydziera, tym razem do dziewczyny za bufetem u której zamawiałem sok. Daphne wysuwa nieco brodę do przodu w pytającym geście. – Przygotuj panu psowi drineczka!
- Nie mówi się „psowi” tylko psu – poprawia go – A czego chciałby się napić?
Haris patrzy na mnie jakby z wyglądu mógł ocenić na co zasługuję.
- Daj mu wódeczki z utrwalaczem, może przejdzie mu ochota na to by zamykać porządnych ludzi.

Dziewczyna sięga ręką pod bar, wyjmując butelkę i zajmuje się przyrządzeniem specyfiku. Pewnie Haris zaopatrył tę knajpę na cały tydzień w trunki. Zaczynam głupio się czuć w roli szpicla. Jakoś nie leży to w mojej naturze. Nic nie mam do tej dziewczyny, a tymczasem będę musiał napisać w raporcie, że alkohol serwowany jest w pubie bez przydziału i w dowolnej ilości. A poza tym wtórną dystrybucję prowadzą również ludzie nie związani z Harisem. Wcześniej widziałem jak dwóch gości po prostu zamówiło kilka piw i wyszło z pubu. Zaczynam powątpiewać w sens naszej akcji. Ludzie w ogóle nie przejmują się stanowiskiem Rady. Bardziej wygląda mi na to, że Rex, nasz szef, chce udupić Harisa a woda jest tu tylko hakiem. Mamy trochę czasu. „Hary” grzebie w wewnętrznej kieszeni kurtki.

Wyjmuje stamtąd jakąś pomietą i uświnioną fotkę. Przygląda się przez moment utrwalonej na niej postaci. Szturcha mnie łokciem i podsuwa pod nos.

- Widziałeś kiedyś taką sex bombę? – pyta rozanielony. Nie biorąc do ręki zdjęcia rzucam okiem. Sex to ona nie jest, za to bomba na pewno. Jak nic ma ze trzysta kilo wagi. Jestem dobrze wychowany więc mówię, że ładna.
- A kto to jest? - pytam
- Moja dziewczyna – mówi z dumą. – Na pewno ładna? – upewnia się.
- Ładna – potwierdzam to co powiedziałem wcześniej. Widzę, że za chwilę się rozryczy. Taki z niego twardziel.

- Została tam ... – mamrocze ale już za chwilę opanowuje wzruszenie. Nie może przecież ronić łez gdy jego kumple siedzą opodal. Straciłby cały autorytet. Nie pytam co się z nią stało ani jak to się stało. Po co rozdrapywać stare rany. Dostrzegam, że Barney, Fred i Dino podnoszą się od stolika. Żegnają się z panienką. Kątem oka widzę, że Haris, na ile to możliwe w jego stanie, bacznie ich obserwuje, tak jakby sprawdzał czy prawidłowo wstają. Tamci ani razu nie spojrzawszy na niego wychodzą. Umówiłem się z chłopakiem na dole, że dam mu znak poprzez otwarcie okna na oścież, żeby zdążył zawiadomić resztę naszych. Przemierzam knajpę w poprzek. Podchodzę do okna. Mocuję się z nim. W końcu udaje mi się je otworzyć. Wychylam się, by zaczerpnąć powietrza. Widzę mojego człowieka, kiwa głową, że zrozumiał i pędem puszcza się w kierunku posterunku. Teraz nasi będą ich dyskretnie śledzić, a srebrzyści dostaną cynk, żeby szczególne mieć baczenie, czy ktoś nie próbuje wjechać do miasta lub zeń wyjechać. Zamykam okno. Kiedy się odwracam Harisa nigdzie nie dostrzegam. Zaniepokojony wracam na kanapę. Może wyszedł do toalety? Zauważyłbym gdyby wyszedł za tamtymi. Niedobrze, miałem go pilnować, nie spuszczać z oka. Czekam podminowany. Dziewczyna, która siedziała wcześniej z jego kumplami kręci się za barem razem z Daphne. Pracuje tu. Nie wiedziałem. Chce wyjść do toalety, sprawdzić czy nie ma tam mojego „podopiecznego” ale wtedy ona wychodzi zza baru. Podchodzi do stolika, zbiera pozostawione puszki, popielnice. Wkłada je na tacę, a ścierką zaczyna wycierać blat. Kiedy sięga ręką na jego przeciwległy kraniec pochyla się, a że stoi do mnie tyłem, nie mogę nie zauważyć jej zgrabnych nóg. Rety, co może zrobić z człowiekiem rok abstynencji! Chciałbym wstać, sprawdzić co z Harisem, bo wiem, że jak mi umknie to nawalę i cały plan szlag trafi ale nie mogę. Choć jest w spodniach a nie w sukience, podziwiam to niecodzienne zjawisko i z rozkoszą komplementuje w myślach jej zgrabną figurę. Przyspieszone bicie serca czuje nie w klatce piersiowej ale zdecydowanie niżej.

Przechodząc obok puszcza do mnie oko z niewinnym uśmiechem w kąciку ust. Coś w rodzaju „Podobało ci się?” Zrywam się i biegnę szukać Harisa. W toalecie go jednak nie ma. Ale kicha! Nawaliłem. Wracam z powrotem do knajpy. Chce zabrać czapkę.

- Szukasz Harisa? – słyszę za plecami. To ona. Dziewczyna o brązowych oczach, o niebiańskich kształtach i włosach koloru Burkina Faso. Włosach koloru całego afrykańskiego państwa. Nie wiem co odpowiedzieć, bo nie wiem czy powinienem zdradzać policyjne plany ale i tak chyba wszyscy wiedzą po co tu przyszedłem.
- Tak – przytakuję. Pewnie zaraz powie, że właśnie sobie poszedł. Ale ona mówi:
- Chodź, pokażę ci coś – Idziemy. Obok toalety są drzwi. Otwiera je. Moja zguba leży na kozetce z rękami bezwładnie opuszczonymi na podłogę. Gęba szeroko otwarta. Chrapie.
- Zalał się – mówi niedbale – Będzie tak spał do jutra o ile nie zwymiotuje i nie zacznie jęczeć, że go brzuch boli.
- Często tak ma?
- Nie – zaprzecza – Jak przypomni sobie swoją dziewczynę, to wtedy się rozkleja i zaczyna pić. Jest nie do wytrzymania. Najgorzej, że jutro pierwszą rzeczą o jaką zapyta będzie wódka i żeby mu ją podać, bo psychicznie wcale mu się nie poprawi.
- To on tu śpi całą noc?

- Przecież nie damy rady z Daphne wyrzucić go na ulicę. A zresztą stąd nie ma co wynieść. Sam wiesz. Co twoje jest, to i moje i jego. Chłopaki nie interesują się nim w takim stanie, bo on nie da sobą rządzić. Nie zniósłby gdyby ktoś mówił mu co ma robić. A szczególnie oni.
- To tak jak w tym żarcie o papugach – przypomina mi się.
- O papugach?
- Przychodzi facet do sklepu i mówi do sprzedawcy: te trzy papugi potrafią tańczyć, śpiewać, grać na harfie i kosztują tylko pięćdziesiąt baksów, potem pyta zdziwiony: dlaczego tamta jedna co nic nie potrafi kosztuje dwa razy tyle? A sprzedawca na to: bo te trzy mówią do tamtej szefie.
- Śmieje się. Lubię kiedy kobiety się uśmiechają. W ich wykonaniu wygląda to naturalnie i dodaje im uroku. Nie tak jak u mężczyzn. Wracamy i siadamy na tej samej kanapie na której siedziałem poprzednio. Poprawia sobie dekolt bluzki. Odchyła ją nieco od ciała. Ma wspaniałe piersi. Zapala papierosa. Sztuka palenia polega na odpowiednim trzymaniu papierosa i wypuszczaniu dymu. Nie wszystkim kobietom to pasuje. Jej tak. Zakłada nogę na nogę. Obok stoi drink, którego ja nie wypięm. Ten z utrwalaczem. Obserwuję ją, chłonę każdy ruch. Mój zmysł obserwacji kobiet, to najlepsza rzecz jaką posiadam. Moje zawodowe credo. Zawsze trwam trochę tak jakby obok czasu teraźniejszego. Chronię swoją małą iskrę życia i czekam. Ta iskra jest po to, by kiedyś obudzić z drzemki stos atomowy. To miło znaleźć się prawie sam na sam z piękną dziewczyną.
- Na imię mi Abigail. We Fryslyn jestem prawie od samego początku, a przyjechałam tu z Sierra Tann. A ty?
- Na imię mi Evan. Przyjechałem tu z Sierra Tann, a we Fryslyn jestem od samego końca. To znaczy przyjechałem tu ostatni. – gapi się na mnie za to przedrzeźnianie.
- Uwielbiam te bezpretensjonalne, wręcz niedostrzegalne gry półuśmiechami. A ona właśnie to teraz robi.
- Śni nam się więc ten sam koszmar – potakuje głową.
- Gdzie mieszkałaś?
- Na Raven Square, przy centralnym.
- Boże, to środek miasta! Jak ci się udało ... ?
- Rzeką – szybko wyjaśnia. Ja zaś myślę, że to genialny pomysł. Sierra Tann przecież pełne jest różnego rodzaju kanałów i kanalików, a duże rzeki są chyba ze dwie. – Nie było łatwo – ciągnie - bo część mostów była już zawalona ale szczęśliwym trafem udało się nam umknąć na łodzi. Nam, to znaczy mnie i moim znajomym, bo na tej łodzi mieliśmy akurat imprezę.
- Fuks prawda? Tym bardziej, że Hank, właściciel, dzień wcześniej zdążył ją naprawić. Płynęliśmy nią do pierwszego świtu, potem przesiedliśmy się w samochód i dotarliśmy tutaj.
- A więc Hary i świta to twoi znajomi jeszcze z miasta – bardziej myślę w głos niż pytam.
- Nie – zaprzecza – Moich znajomych już nie ma. Na noclegu w Alukarii, zaskoczyli nas żołnierze. Z dziewięciu osób uratowałam się tylko ja jedyna. Haris znalazł mnie następnego dnia, kiedy miałam już wszystkiego dość. Zabrali mnie ze sobą i dopiero z nimi po paru dniach przyjechaliśmy do Piotra.
- Powinienem pamiętać, że ludzie mogą tworzyć proste scenariusze ale nie życie. Nie dziwi mnie już, że nie krzyczy na Harisa, kiedy się upija albo kiedy rzyga nie wstając z kozetki. Nie dziwi mnie, że pozwala mu tam spać do rana i że w jakiś sposób opiekuje się nim. Opiekuje, bo to twardej tylko jednego podwórka. Każdy ma jakieś słabości.
- Zgasić światło? – pyta nagle Daphne, która skończyła krzątać się za barem. Patrzy na Abigail. Abigail gasi papierosa. Kiwa głową na znak zgody. Górne światło gaśnie. Przy stolikach zapalają się jak lampki na choince małe kolorowe światełka. Dziwnym zbiegiem okoliczności zostały tylko same pary. Daphne zajmuje miejsce przy chłopaku, który dotychczas siedział samotnie. Czekał na nią.

Czyżby przy tych małych lampkach w ciemnościach knajpy, samotnościach ludzkich przypadków, rodziły się sympatie dla wielkich i szerokich serc, chwil co rozgrzeją płomieniami wzruszeń, drżenia rąk i miłości? Abigail wstaje. Podchodzi do szafy grającej. Robi jeden pstryk i szafa nabiera kolorów. Staję obok. Ja, w zamiarach porządny glina z namaszczeniem patrzę jak łamie się prawo i nie mam nic przeciw temu. Zanim zdążyłem coś zasugerować słyszę jak zaczynają pobrzmiwać pierwsze frazy z grającej szafy.

- Podoba się? – pyta i nie czekając na odpowiedź dodaje - Masz to wypisane na twarzy – chichocze.

Niecały kilometr od posterunku, tyle samo od budynku Rady i kaplicy działa niesamowicie podziemna knajpa z klimatami jak w Sierra Tann. Zaczynam czuć się jak w domu. Abigail nieznacznie zaczyna kołysać ciałem w rytm muzyki. Imponuje mi, bo choć wie z jakim zadaniem tu przyszedłem, nie udaje przede mną hermetycznie wiernej osoby. Jest naturalna i co jest fajne, nie okłamuje tym samym ani mnie ani siebie. Kątem oka dostrzegam jak przy jednym ze stolików para wymienia subtelny pocałunek. Już zaczynam myśleć, co by tu zrobić, żeby oczyścić knajpę z pośród wszelkich podejrzeń. I znaleźć tu jakoś ciepły kącik dla siebie. Mieszkam we Fryslin rok i nie byłem w żaden sposób świadom tego, że jest tu miejsce tak pięknie cofające nie tyle wspomnienia, co tak wiernie je kopiujące.

Całkowicie oddałem się medytacjom i rozmyślaniu o Bogu, o naprawie duszy, o wyborach między dobrem a złem. A tymczasem mała grupka ludzi ułożyła tu sobie życie w sposób tak naturalny, tak prosty, że w żadną miarą nie można nazwać go złym. Bo co tu się złego dzieje? Nic. Wyłożono nam, że takie powroty wstecz to niemoralność i ja tak trwałem. Ale to jakaś fatalna pomyłka. Taki sposób na życie jest zbyt błahy, żeby wymyślić go na zebraniu Rady, czy odszukać między wierszami nauk Piotra. Czuje ciepło i energię pozytywów bijące od Abigail.

- Zatańczymy? – pytam. Patrzy na mnie chwilę. Znow ten półuśmiech. To dla takich dyskretnych uśmiechów najczęściej podejmuje się nierozważne decyzje. Okropnie sugestywne. Czasem więcej ci się wydaje niż w rzeczywistości zobaczyłeś. Cecha charakterystyczna zauroczenia.
- Jasne – zakłada mi ręce na ramiona. Obejmuje ją w tali, tuż nad kształtnymi biodrami. Jest blisko. Jej piersi zmysłowo przylegają do mojej klatki piersiowej. Czuje zapach jej ciała i włosów. Subtelny powab kobiety pożądanej. Nuci słowa piosenki. Mam wrażenie jakbyśmy znali się wieki. Żadnych barier, globalna tolerancja i zaufanie. Może to przez ten klimat z muzyką i przyciemnionym światłem. Kończy się pierwszy utwór. Tańczymy jeszcze kilka piosenek. Klimat jest tak samo gęsty jak dym z papierosów, który w grze ze światłami tańczy wokół nas. Potem siadamy. Pary rozeszły się. Została tylko Daphne ze swoim chłopakiem.

Abigail kończy mój „utrwalacz”, ja palę. Przyglądam się im jakby od niechcenia. Ale im dłużej im się przyglądam tym bardziej przykuwają mą uwagę. Ich wzrok to w tej chwili węzeł gordyjski, dwa miecze z walki stworzone do miłości. Abigail odgarnia kosmyk włosów opadający na jej czoło. Nasze oczy spotykają się. Pewnie widzi, że moja szczeka jest niżej niż zazwyczaj.

- To dopiero początek – informuje mnie. Ja zaś zastanawiam się co by było, gdyby wszedł tu akurat Piotr, ktoś z Rady albo ode mnie. Choć pora późna. Dalej zastanawiam się czy to jest złe i czy to przypadkiem nie jest tak jak z alkoholem. Niby nie można ale można. Od kiedy zagrała szafa jestem podwójnej moralności. Stało się to, przed czym cały czas broniłem się będąc tutaj. Wracają słabości, a ja przekraczam niewidzialną granicę powrotów, wchodzę w cień w którym dostrzegam światło którego tam nie powinno być.
- Intrygujące – staram się jakoś to podsumować.
- Intrygujące? – dziwi się – Abigail jest jak pizza z podwójnym chili. Inny odsunąłby ja natychmiast z niesmakiem. Ja już pragnę, by zaczęło palić mnie w gardle. Nasza znajomość nie idzie piechotą, to pociąg ekspresowy. Nie mam nic przeciw temu.

Kiedyś tylko i wyłącznie jeździłem ekspresami. Jestem zaskoczony nie formą i słowami ale miejscem i czasem w jakim to się dzieje. Myślę, że to cudowne, że jeden człowiek nie wie o drugim wszystkiego. I mam tu na myśli przede wszystkim siebie. Para kochanków, którzy zabawiali się opodal, dosiada się do nas. Tristan, bo tak ma na imię chłopak Daphne jest sympatyczny ale wciąż rozmyty. Daphne przeciwnie, promienieje jak świeżo podlany kwiat. Rozmawiamy. Mógłbym tak gadać z nimi bez końca ale czas zmywać się stąd, bo jeszcze zaczną mnie szukać. Trochę mi szkoda, ale co zrobić. Idę zobaczyć co z Harisem. Z daleka słyszę przez zamknięte drzwi zapijaczone, głośne chrapanie. Odwracam się na pięcie i wychodzę. Ogarnia mnie przyjemny chłód nocy. Myślę o Abigail. Według Piotra wszystko co ziemskie nie jest ważne. Ale może Piotr nie zna tego dziwnego uczucia jakiego doznaje mężczyzna na widok pięknej kobiety. I co z tego, że znasz ich tysiące i co z tego, że widzisz je codziennie. Czasem wystarczy dosłownie chwila, ułamek sekundy, by doszło do niekontrolowanej reakcji łańcuchowej. To impuls, eksplozja więzionych we wnętrzu ciała uczuć na specjalną okazję. Feria zmysłów, której nikt nie potrafi kontrolować. Sublimacja piękna. Chyba Piotr nie chce niszczyć ani ujarzmić tego co jest tak piękne? Sex? No tak. Sex pozamałżeński, przedmałżeński jest przez niego napiętnowany i to zdecydowanie. Niestety, jest on pochodną impulsu, finałem bez którego wcześniejsze zauroczenie nie ma znaczenia. Bo to tak jakby ktoś ofiarował ci wspaniały samochód bez kluczyków. Moja wewnętrzna iskra nawet gdy będę spał będzie teraz myśleć za mnie. Mój stos atomowy będzie rósł w siłę aż do momentu, kiedy żaden wybór nie będzie już dla mnie tak samo ważny.

Na posterunku komplet. Widać już po akcji. Wszyscy dyskutują żywo nad rozłożoną na stole mapą. Na mój widok Rex od razu dostaje szału:

- Gdzie byłeś do cholery! – krzyczy. Taki ma podły sposób bycia, że wszystkich traktuje jak śmieci. Ja zaś nienawidzę jak się do mnie tak mówi. Poza tym cały czas jestem jeszcze „klimatyczny”.
- Jak to gdzie!?! - odszczekuję – Tam gdzie mi kazałeś. Pilnowałem Harisa.
- Harisa pilnowałeś! – mówi do chłopaków zirytowany – Patrzcie no! Skoro go tak pilnowałeś – teraz mówisz do mnie – to za kim ja uganiałem się przez ostatnie pół godziny? – „O czym on gada do cholery”, - myślę sobie, ale nic, próbuję zgadnąć:
- Za Harisem?
- Cóż za fenomenalna zdolność kojarzenia! – kpi. Widzę, że jest wściekły. Chłopaki kręcą głowami. Nie ma co, wygląda mi na to, że zawałiłem. Tylko w jaki sposób? Szef rzuca z całej siły długopisem, którym pokazywał coś na mapie i wychodzi. Stoje oniemiały.
- O czym on mówi? – zagaduję.
- Spieprzyłeś sprawę stary. Miałeś go pilnować, a tymczasem spotkaliśmy go w bezludnej części miasta, jak przemycił towar. Rex go nakrył.
- To niemożliwe – natychmiast zaczynam się bronić – Haris leży w knajpie, zalany w pestkę! Dopiero co stamtąd wracam. – Nie mówię, że dopiero co go widziałem, bo przecież ostatni raz widziałem go będzie z półtorej godziny wcześniej. — Może to był któryś z jego koleśki?
- Nie – zaprzecza Pablo, chyba najbardziej z nich mi przychylny. – Tamci po wyjściu z knajpy poszli do siebie. Obserwowaliśmy ich. Kiedy Gerard został na czatach pod ich domem, my z Simonem pojechaliśmy na południe, do bezludnej części miasta. Tam natknęliśmy się na Rexa, który akurat szarpał się z Harisem.
- I na pewno to był on? – wciąż nie mogę uwierzyć.
- Na pewno – potwierdza Pablo – Rzuciliśmy się za nim w pogoń ale umknął. Nastaje denerwująca chwila ciszy. Nerwowo przygryzam dolną wargę.

- Jak chcesz możemy pójść do knajpy i zobaczyć czy rzeczywiście tam jest, ale sam rozumiesz już po herbacie. Dałeś ciała. Rex mówi, że nakrył go akurat jak taszczył kontener z wódką. Gdybyśmy mieli na niego oko od samego początku już ptaszek siedziałby w klatce. We łbie mi się kolebie. Przecież nie zmyślają!
- Lepiej powiedz mu – kiwa głową w kierunku pokoju do którego udał się Rex - gdzie byłeś rzeczywiście, bo on już kombinuje, że ty i Haris
- Co?! – wykrzykuję - Czy wyście powariowali? – Ale Boże, co ja mu powiem, że pilnowałem go w tańcu? Wyśmiej mnie i wyjdę na dumia. Ale z drugiej strony muszę mieć alibi. I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno byłem taki święty, taki grzeczny i taki układny! Przeklinam swoje słabości. A Piotr ostrzegał: „Bądźcie czujni i nie dajcie się zwieść złemu, które wcale nie przestało działać”. Tak to się właśnie kończy. Jest mi wstyd i na potęgę głupio. Jestem wściekły na siebie i na Abigail. Na siebie, bo dałem wpuścić się w maliny jak dzieciak. Na Abigail, bo myślałem, że jest porządną dziewczyną, która tylko obraca się w złym towarzystwie. A wygląda mi na to, że wszystko zostało ukartowane. Kiedy ona czarowała mnie swoimi wdziękami, Haris w tym czasie hasał z gorzałą po mieście, bo tylko udawał zalanego i udawał, że śpi. Co prawda słyszałem chrapanie jak wychodziłem ale w tym czasie mógł już wrócić z powrotem. A teatr Daphne i Tristana? To przedstawienie było wyreżyserowane specjalnie dla mnie!
- A czy teraz nie można go zamknąć? – pytam – Przecież widzieliście go we trójkę. To nie wystarczy?
- Nie wystarczy – Rex stoi w drzwiach – Nie ma dowodu. Przypomina mi się, że Pablo mówił o jakimś kontenerze. Teraz patrzą po sobie z Simonem w dziwny sposób jakby to miał być kiepski dowód.
- A wasze zeznanie? To powinno ... – jestem pewien, że gdyby wszyscy trzej, potwierdzili, że go widzieli z wódką, Rada dałaby zgodę na jego zamknięcie.
- Jakie zeznanie? – znowu słyszę ten kpiarski ton – Przecież on ma doskonałego świadka na to, że był cały czas w knajpie. – Oczywiście ma na myśli mnie. Przymykam się. Widzę, że teraz już wszyscy myślą, że coś ukrywam. Wpakowałem się w kabałę. Muszę się z tego jakoś wypłatać. Zabieram czapkę i pistolet z powrotem z wieszaka.
- Zaraz wracam – mówię.
- A ty dokąd? – temperuje mnie Rex.
- Do knajpy. Przyprawdę tu Harisa i dowiodę wam, że nigdzie nie wychodził – mówię bo nic innego nie przychodzi mi do głowy, żeby oczyścić się z podejrzeń.
- Nigdzie nie pójdziesz – mówi stanowczo. Psuje mi koncept. Chce się dowiedzieć gdzie byłem czy nie. Nie daje mi możliwości zrehabilitowania się, udowodnienia alibi. Choć tak naprawdę nie wiem jak Haris mógłby to potwierdzić, nie wiem czy Abigail chciałaby to potwierdzić – Nigdzie nie pójdziesz, bo jutro masz wyjazd z konwojem po zapasy. Pierwsze słyszę. Miał jechać Simon, nie ja. Ale może to jest kara za skutki mojego zaniedbania. Chciałbym też spojrzeć w oczy Abigail. Męska duma nie znosi upokorzeń.

Wyjazd

Podjeżdżają ciężarówki. Jeszcze ciemno, choć normalnie już dawno powinien być „dzień”. Ich silniki terkoczą pod oknami posterunku. Echo niesie się po całej ulicy. Wyglądam przez okno. Stoją cztery wozy. Dookoła kręcą się ludzie zbierający się na wyjazd. Po trzech, po czterech stoją w grupach paląc papierosy. Ubieram się, już czas. Wchodzę na posterunek, by zabrać stamtąd broń. Jeśli nie ma służby nie wolno trzymać jej w domu. Rex też już na nogach. Nastrój mam wisielczy. To po wczorajszym. Szef sprawia wrażenie faceta, któremu przeszło rozgoryczenie.

- Nie gniewaj się – mamrocze – za to, że wsiadłem tak na ciebie. Ale była duża szansa żeby go złapać.
- W porządku – mówię – Zwisają mi jego zakamuflowane przeprosiny. Jest szuja czy tego chce czy nie. Nie lubię go.
- Dziś możesz się zrehabilitować. Będziesz miał oko na Harisa.
- To on też jedzie? – dziwię się.
- A co?
Wzruszam ramionami.
- Wszyscy muszą pracować. Jaki by nie był, nie pozwolę, żeby żył sobie kosztem reszty. Aha – przypomina mu się – Postaraj się nawiązać z nim bliższy kontakt. Może przez nieuwagę wygada się w jakiś sposób.
- Dobrze – rzucam sucho. Chcę już wyjść.
Ładuję się do szoferki ostatniej ciężarówki, bo tylko tam znajduję wolne miejsce. Gdzie jest Haris nawet nie patrzę. Cztery osoby siedzą na pace. Tak jest w każdym aucie. Dwóch plus kierowca w szoferce i po czterech z tyłu. Kierowca o imieniu Bormio od razu mówi mi żebym nie palił w środku, bo on nie znosi dymu papierosowego. A ja dziś jeszcze nie paliłem i jestem na głodzie. Zazwyczaj pojazdem kieruje Dominik, ale ten wyjazd jest poza kolejką. Pierwszy raz jadę z tym kierowcą. Puszczam mimo uszu uwagę Bormio. Robi mi wyrzut o braku wychowania. Słyszę jak ktoś wali pięścią w dach szoferki. Za chwilę otwierają się drzwi i pojawia się w nich morda Harisa.
- Można? Widzę, że macie wolne miejsce.
- Nie można – odpowiadam zły. Mimo to Haris wchodzi do szoferki. Czuję od niego smród alkoholu.
- O, pan policjant! – cieszy się – Co za spotkanie!
Ale wredny wieprzek, myślę. Wczoraj wywiódł mnie na manowce i ośmieszył, a dziś szczerzy dziurawe zęby i udaje, że nic się nie stało.
- Zamknij gębę – wkurzam się.
- Pan policjant nie w sosie – żartuje sobie – Pan pozwoli, że zostanę. Tam na pace zimno. Prawdę mówiąc to nic mu nie mogę zrobić. Może sobie siedzieć gdzie chce. A i ja przecież mam go podpytywać. Nie mam jednak ochoty. Możliwość rehabilitacji żadną miarą nie poprawi mi humoru.
- Chce mi się strasznie pić – rozpacza – głowa to mi chyba zaraz pęknie. Nie macie czegoś do picia? – myślę, że prędzej wylałbym na ziemię, niż uśmierzył jego cierpienie. Bormio usłużnie podaje mu butelkę wody.
- A dlaczego chce ci się tak strasznie pić? – pytam bo już nie wytrzymuję – Wypiłeś za dużo wódki, czy od biegania w nocy po mieście?
Robi głupkowaną minę.
- Kurde, to aż tak, źle było? Nic nie pamiętam. Ty mnie widziałeś?
Zgrywa cierpiącego na zanik pamięci. Patrzy na mnie i dopiero teraz kuma o co mi tak naprawdę chodzi.
- Ty sobie nie żartuj glino – próbuje mnie ostrzec – Nic mi nie możesz udowodnić.
- A pewnie, że nic – wtrącam zaraz – Tak to sobie wymyśliłeś, że rzeczywiście nic ci nie można udowodnić. Ale rób tak dalej, a na pewno będę pierwszym który wsadzi cię za kratki.
- Może byście się wreszcie zamknęli? – Bormio przywołuje nas do porządku – Ten konwój to poważna wyprawa a nie cyrk. Z idiotami mam jechać? Swoje sprawy załatwicie po powrocie, a teraz byłbym rad gdybyście zaczęli uważać na drogę – właśnie mijamy posterunek srebrzystych, machają do nas – Jak mi wpakują kulkę przez wasze szczekanie na siebie to nikomu nie będzie przyjemnie.
Obrażamy się na siebie z Harisem i choć siedzimy ramię w ramię, żaden z nas ani się nie odzywa, ani nie patrzymy w swoim kierunku.

Bormio stara się naprawić paskudną atmosferę:

- Może się pomodlimy? – proponuje. Piotr od kiedy w konwoju zginęli pierwsi ludzie już ich nie błogosławi. Proponuje, ale solidarnie z Harisem milczymy jak zakłęci. Modli się sam. Kiedy kończy zaczyna gwizdać pod nosem jakąś piosenkę. Pomni ostatnich wypadków, niezależnie od siebie, co jakiś czas omiatamy okolicę przez noktowizyjne lornetki. Są lepsze od zwykłych noktowizorów. Mają dalszy zasięg. Każdy chce żyć. To samo robią ludzie na pacy. Przejaśnia się nieco. Nastaje ten krótki „czterogodzinny” dzień. Wyprawa jest tak obliczona, żeby sprawy załatwić właśnie w okresie przejściowego rozwidnienia. Ale wracać i tak będziemy po ciemku. Będziemy zabierać przede wszystkim, węgiel i wszystko to, co Rada wpisała na listę. Nasza ciężarówka jest „węglowa”, a po węgiel pojedziemy na samym końcu. Zrobiliśmy już kilkanaście kilometrów i na razie mamy spokój. Może nie zorientowali się jeszcze, że z miasta wyruszył na zewnątrz konwój piotrowych ludzi?

Wracamy. Znowu ciemno. Trzy ciężarówki załadowane węglem, jedna sprzętem. Jedziemy znacznie wolniej niż w tamtą stronę. To przez to, że drogi są kiepskiej jakości. Dziury, pozrywany asfalt. Czasem trzeba się zatrzymać i pokierować szofera poboczem, bo środkiem się nie da. Nasz wóz aż trzeszczy od wiezionego ładunku. Mam nadzieję, że nie pęknie resor, ani nie złapiemy gumy. To by znacznie utrudniło nam powrót. Na szczęście już niedaleko. Po prawej mijamy Jar ta Nan. Jeszcze tylko przeskoczmy Barry Town i jesteśmy we Fryslyn. Czuje ogromne zmęczenie fizyczne i psychiczne. Trudy wyprawy wszystkim dały się we znaki. Nie tylko mnie. Może byłoby inaczej gdyby nie to ciągle napięcie, któremu jesteśmy poddani. Im dłużej mamy spokój i nikt nas nie atakuje, tym paradoksalnie jest ono większe. Podczas całej eskapady nie wiedzieliśmy nawet cienia tamtych. Wcale nie powiem, żeby to było dobrze. Strzelają do pojedynczych samochodów. Czy mogli nie zauważyć czterech ciężarówek, które robią tyle hałasu co dwadzieścia? Boże, żeby można tak było poruszać się bez warkotu silnika! Wjeżdżamy do Barry Town. Przez pola widać już światła Fryslyn. Miasto po mieście, czarne, zniszczone i wymarłe, tyle czasu w ciemnościach Fryslyn wygląda przy nich jak miraż, złudzenie lunaparku. Rzecz na którą patrzysz i przekonany jesteś, że to niemożliwe, żeby to była prawda. I ten nieodłączny strach, czy aby ten miraż nagle się nie ulotni, nie zniknie. Bormio co chwila przeciera oczy. Nie z powodu złudzeń. Ciągle wpatrywanie się w snopy reflektorów nie jest przyjemne. Poci się niemilosiernie. Zrzucił koszulkę i prowadzi teraz półnagi. Zupełnie jak grecki heros swój przeładowany rydwan.

Doszliśmy do porozumienia w kwestii papierosów. Jak mamy palić to obydwaj naraz i przy otwartych oknach. Właśnie to robimy.

- Nie wydaje się wam, że jest zbyt spokojnie jak na tak dużą wyprawę? – mówi to nad czym od dawna się zastanawiamy. Tylko dlaczego akurat teraz, kiedy prawie zacząłem wierzyć, że już po wszystkim – Mieliśmy ostatnio pięć wyjazdów i żaden nie zakończył się normalnie. Zawsze coś się działo niedobrego.
- Tak, to nie jest normalne – przytakuje mu Haris, który brał udział w którymś z ostatnich konwojów – Długa jest ta cisza. Jak przed burzą.

Do Harisa w dalszym ciągu się nie odzywam. A ponieważ jest tak samo uparty jak ja, nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Ustaliłem, że Rexowi powiem, że go podpytywałem ale nic ciekawego nie mówił. Dobrze, że są świadkowie, którzy potwierdzą, że widzieli nas razem. Na głównym skrzyżowaniu skręcamy w prawo. Teraz po łuku jakieś trzysta metrów i prosto do Fryslyn. Na ciężarówce przed nami widzę chłopaków. Leżą przykryci betami wprost na węglu. Nie zapominają jednak, żeby obserwować domy. Kręcą głowami z lornetkami, które wyglądają jak przyrośnięte do oczu.

- Może dziś będzie inaczej? – próbuję wnieść między nas namiastkę nadziei na szczęśliwy powrót.
Nagle na ciężarówce przed nami robi się ruch. Chłopaki wykopują się z betów. Serce skacze mi do gardła. Pokazują coś sobie rękami po naszej prawej. Równocześnie z Harisem podrywamy do góry lornetki i kierujemy we wskazanym kierunku. Nic nie widać. Omiotam domy, podwórka, zaułki. Nic. Pusto. Ale serce i tak wali we mnie jak dzwon na alarm.
- Tam!!! – nagle krzyczy Haris i nie puszczając lornetki wyciąga rękę w bok. Szybko kieruje także swoją w tamto miejsce. Są! Jak duchy przemykają opłotkami ludzie diabła. Jeszcze pochyleni, jeszcze niezdecydowani ale coraz szybciej zacieśniają wokół nas krąg. Przygotowują się do ataku. Ciężarówki przed nami przyśpieszają. Silniki wchodzą na wysokie obroty. Z samochodu przed nami zaczynają strzelać, a i z naszej przyczepy już słychać wybuchy. Porządne chłopaki. Walą w nich granatami!
- Gazu! – drę się do Bormio i patrzę na efekty naszej obrony.
- Gazu! – po chwili znów się wydzieram, bo nasza ciężarówka wcale nie przyśpiesza, a wozy z przodu oddalają się od nas. Nie dość, że nie przyśpieszamy, to jeszcze jedziemy krzywo. Zjeżdżamy z trasy! Trzeci raz Haris krzyczy równocześnie ze mną.
- Jak na komendę odwracamy głowy w lewo, bo skutków naszych krzyków nie widać. Odrywam lornetkę od oczu. Bormio nienaturalnie spokojny opiera się o boczne drzwi auta. Oczy ma szeroko otwarte. Nie porusza się. Nie trzyma kierownicy. Z jego ust zaczyna płynąć strużka krwi. Nie żyje! Musiał oberwać przez otwarte okno. Z impetem uderzamy w płot kosząc przy okazji wiotkie, zmarniałe drzewko. Zrzuca nas z siedzeń. Uderzam szczęką o schowek na podręczne przedmioty. Czuje w ustach ciepły słony smak krwi. Nie ma czasu na myślenie. Pęka szyba. Kule rozrywają się i tańczą po szoferce jak prawdziwe diabły.
- Spieprzamy stąd! – krzyczę do Harisa i wypycham go wprost na ulicę. Tyle co zdążył za klamkę złapać. Wyprostować się żadną miarą nie można. Walą do nas jak do kaczek na strzelnicę. Pociski przelatują tak blisko, że aż czuje pęd wiatru jaki niosą za sobą. Blacha i drzazgi odlatują z naszego wozu jak tynk ze ścian domu. Jak trafią w zbiornik z paliwem wylecimy w powietrze. Haris na czworakach, z głową między ramionami próbuje przedostać się na drugą stronę ulicy. Pod płot. Jego buciory rozdrapują ziemię jak wściekła koparka i wyrzucają wprost na mnie. Początkowo w tej samej pozycji wycofuje się za nim, ale szybciej przebieram kolanami i mijam go odbijając pod płotem w lewo. Z twarzą przy ziemi, zahaczając o wystające bruzdy, pełzną byle jak najdalej od samochodu. Tam dokąd odjechały nasze ciężarówki. Mam pistolet ale nawet nie zdążyłem wyjąć go z kabury. Zresztą i tak nikogo z napastników nie widzę.

Lornetka została w szoferce albo wypadła mi jak zeskakiwałem na ziemię. Mam noktowizor przy pasie. Ten zwykły. Jestem tak roztrzęsiony, że nie mogę dać sobie rady z jego odpięciem. Udało się. Szybko oczyszczam go z piasku i wkładam na głowę. Wszystko w strachu, że zaraz oberwę kulka na której wypisane jest moje imię. Przy samym płocie, jakieś dwadzieścia metrów ode mnie widzę tyłek Harisa. Szybko znika mi jednak z pola widzenia. Skręca w jakąś dziurę, a może to furtka? Próbuje dotrzeć do zabudowań. Przy samochodzie jatka. Trzech z naszych chłopaków już nie żyje. Leżą obok. Czwarty strzela ale też nie wiadomo za bardzo do kogo. Ginie na moich oczach. Odczołguje się i robię to samo co Haris. Na czworakach skręcam w najbliższą furtkę, a potem grządką przy chodniku w przegniłych badyłach, dostaje się do najbliższej chałupy. Co teraz będzie? Z pokoju przez firanę obserwuję drogę. Widzę wóz i martwe ciała naszych. Nastaje przejmująca cisza. Tamci na coś czekają, bo wciąż nikogo nie widać. Ale gdzie jest reszta konwoju? Nikt nie został nam na pomoc! Wszyscy zwiali. O ludzkim bohaterstwie i tchórzostwie można by powieść napisać. Przecież te strzały musieli słyszeć nawet we Fryslyn. Powinni ruszyć nam z odsieczą. Nie mogą przecież nas tak zostawić! Ta cisza tak na oko trwa z pięć minut. Dostrzegam ostrożny ruch. Podchodzą do samochodu. Powoli, rozglądając się na boki.

Najpierw widzę jednego ale potem złążą się jak hieny. Jest ich na pewno więcej niż dziesięciu. Delikatnie stąpając, żeby nie narobić hałasu, wchodzę schodami na piętro. Stąd jest lepszy widok i jest tu jak mi się wydaje, bezpieczniej niż na dole. Jedno z okien jest rozbite. Pewnie stłukło się podczas strzelaniny. Poprawiam noktowizor. Uważam, żeby nie nadebrać na szkło i nie przerywając obserwacji kamufluję się tuż przy nim. Pozawieszali karabiny na paskach, pochowali pistolety. Widać doszli do wniosku, że już po wszystkim. Moich uszu dochodzą urywane rozmowy. Dobrze słyszę kiedy ten co mówi stoi twarzą w moim kierunku. Jak plecami, prawie nic.

- Szybko poszło ... – mówi głos – mamy jakieś straty?
- Żadnych – odpowiada mu inny. Obchodzą samochód, zaglądną do szoferki, na pakę, przesuwną jakieś części.
- Ilu ... ?
- Czterech ... i w kabinie jeszcze jeden
-
- Miało być pięciu czy sześciu? – dopomina się głos pierwszy. W tle słychać jeszcze inne głosy – Gdzieś musi być przynajmniej jeszcze jeden.

Musieli wcześniej nas obserwować ale ich nie zauważyliśmy. Lekko przesuwną się za rant okna tak, żeby było mnie mniej widać. Też mają przecież noktowizory. Jeśli zaraz zaczną na nas polowanie i będą przeszukiwać dom po domu, marne są moje szanse. Ciekawe gdzie ukrył się Haris? Może zwiął gdzieś z tyłu, na pola i pryska teraz ile sił w nogach do miasta? Mógłbym zrobić to samo ale wydaje mi się to na ten czas, zbyt ryzykowne. Choć wyteżam słuch jak mogę, nic nie słyszę. Nie rozmawiają. Stoją. Ciarki przechodzą po mych plecach, kiedy uświadamiam sobie, że wciągają powietrze nosami! Szukają nas na węch! Wiem od Piotra, że potrafią wyczuć duszę na odległość ale wiem też, że nie jest to zmysł doskonały. Tak zostali przerobieni, że mogą wyczuć duszę i tylko duszę. Jak się zakłóci jej „zapach” Szybko wyjmuję papierosa. Chce owinąć jego smogiem jak kołdrą swoje ciało. Przykucnąwszy za ścianą, podpalam. Powtarzam sposób z Ripp Hill, kiedy tamten też mnie nie wyczuł, bo akurat paliłem. Nie wiem, czy to teraz coś da, ale zawsze to jakieś wyjście. Nie stoję bezczynnie i nie przyglądam się. Tamci dym z papierosów czują tak samo jak smród prochu z karabinu, spalin z rury wydechowej albo własnego potu. Jako jeden i ten sam. Po prostu rozróżniają tylko dwa zapachy. Czekam co będzie. Przez okno już nie wyglądam ale coś za długo mi to wszystko trwa. Podnoszę się więc i patrzę co się dzieje, czy aby nie podchodzą po cichu pod mój dom. Widzę ich. Wciąż stoją przy aucie, ale widzę też jeszcze jak jakaś postać, leży plackiem na ogródku przed moją kryjówką. To Haris. Jak on się tu dostał? Pewnie mnie szukał po tym jak się rozdzieliliśmy. Jest uważny. Ale po ruchach rozpoznaję, że nie orientuje się gdzie stoi przeciwnik.

- Haris, Haris ... – szepczę. Chcę go przywołać, żeby nie czołgał się dalej, bo go namierzą. Muszę wołać cicho, żeby i siebie nie zdradzić. On stara się przeniknąć ciemność i zobaczyć co się dzieje na drodze. Co on chce zrobić?
- Haris, Haris – znowu wołam – ty cholerny idioto, wracaj. – Nie słyszy. Tamci ruszają, rozpędzają się. W biegu wyjmują pochowaną broń. Widzę jak Haris podrywa się do beznadziejnej ucieczki. Padają strzały. Osuwam się plecami po ścianie w kucki. Nic go już nie uratuje.
- To ten? – słyszę, kiedy jest już po wszystkim. Po chwili zastanowienia drugi głos odpowiada. – Ten.
- Na pewno? – upewnia się pierwszy.
- Na pewno. Takiej gęby się nie zapomina - obydwaj wybuchają śmiechem.
- Dobrze, że tego nie słyszy – mówi ktoś trzeci.
- A co z tamtym? – pyta znowu pierwszy.

- chyba, ... obok samochodu, ... jest zmasakrowany... – nie łąpię o co chodzi. Może szukają kogoś jeszcze?

Harisa taszcą po ziemi. Prawdopodobnie ciągną go za rękę albo nogi. Jak trofeum. Przeklinają, bo Haris do lekkich nie należy. Krzątają się jeszcze jakiś czas. Potem podjeżdżają samochody. Trzaski drzwi, niewybredne uwagi, chełpienie się zwycięstwem nad miarę. To wszystko słyszę przykucnięty na piętze. Potem już nic nie słychać. Odjechali. Klęska. Ale pomimo klęski wraca mi ochota na wiarę w Boga. Bo przeżyłem!

Zastanawiam się nad rozmową jaką prowadzili między sobą żołnierze. Skąd znali Harisa? Znali, bo przecież rozpoznali go. I wyglądało to tak, jakby szczególnie o niego im chodziło. Ale skoro Haris był przemytnikiem, człowiekiem, który rozpijał Fryslyn, to dlaczego go zabili? Powinno być im na rękę, żeby działał jak najdłużej. Zdemoralizowane miasto, które nie słucha nauk Piotra powinno leżeć w ich interesie. Więc dlaczego?

Kiedy stoję w drzwiach „własnego” domu wpadam na Sally.

- Boże! - patrzy na mnie jak na zjawę, a potem znowu krzyczy do wewnątrz mieszkania – Dominik! To Evan! – Dominik podbiega natychmiast. Ściska mnie za ramiona.
- Chryste! Evan! Mówili, że nie żyjesz, że cię tam zabili.
- Prawie ... – odpowiadam niemrawo, bo zmęczony jestem potężnie. Chciałbym pójść spać, odpocząć, ale Sally robi herbatę. Siadam więc i opowiadam. Mój przyjaciel najbardziej wściekły jest na tych, którzy zamiast nam pomóc, uciekli samochodami do miasta. O sprawie Harisa nie wie co sądzić tak samo jak ja. Wreszcie dają mi spokój. Mogę iść i położyć się ale zasnąć ciężko. Przewracam się z boku na bok. Kiedy przestaje myśleć o dzisiejszych wypadkach zaczynam myśleć o Abigail. Przeszła mi już złość jaką chciałem na niej wyładować za to, że z Harisem, Daphne i Tristanem ośmieszyli mnie w oczach Rexa. Przeszła mi złość ale moja iskra czuwania nie zgasła jak to przewidywałem. Nie śpi. Wciąż myślę, że to szkoda, że miałem nadzieję, że to początek czegoś, co może być kiedyś piękne. Może nie czułbym żadnego żalu gdyby nie te spojrzenia. Inne niż wszystkie.

Poszła już plotka, że ocalałem z wczorajszego pogromu. Na posterunku znów opowiadam jak to było. Tu akurat chce mi się opowiadać, bo to podnosi moją rangę wśród chłopaków i świadczy o tym, że wcale nie wypadłem sroce spod ogona. Umiem walczyć, nie boję się i potrafię cało wrócić do miasta. Żaden z nich nigdy niczego podobnego nie przeszedł, buzie mają więc szeroko otwarte. Nawet Rex nieskory do pochwał, czy też przyznawania racji innym, słucha uważnie. Zaklinają się, że gdyby tam byli, oni na pewno by nie uciekli i nas nie zostawili. Ale wiem, że po fackie każdy tak mówi. W akcji, kiedy portki na tyłku latają ci z przerażenia, wiele rzeczy dzieje się przez przypadek i wiele zachowań uwarunkowanych jest zwykłym, pospolitym, obrzydliwym strachem. Rex podejmuje decyzję, że od teraz będą wyjeżdżać tylko sprawdzeni ludzie, żeby potem nikt do nikogo nie miał pretensji. W przyływie dobroci ofiarowuje mi dzień wolny. Mogę robić co chcę. Zasłużyłem sobie na to. Ja zaś rewanżuje mu się kąskiem najsmakowitszym, który specjalnie zostawiłem na sam koniec. Potwierdzam, bo pewnie już wiedzą, głośno i wyraźnie, że Haris nie żyje, że byłem przy tym, ale nie mogłem mu pomóc. Śmierć to śmierć, zawsze jest przykra, nawet jak ginie taki wróg jak ten. Nie oczekuję więc wybuchów radości ale przynajmniej ulgi, że oto z jego zejściem z tego świata kończą się nasze alkoholowe problemy. A tu nic Patrzę na mnie jakoś dziwnie. Nie odzywają się. Kątem oka czekają reakcji Rexa. Rex też jakoś dziwnie patrzy. Znowu coś nie tak? To niedobrze, że skończy się przemyt we Fryslyn? Nic nie mówią. Rozchodzą się gdzieś wzrokiem po ścianach i suficie. Wychodzę. Albo ja jestem nienormalny albo oni.

Skoro mam dzień wolny, to biorę serce na ramię i idę do pubu. Chce spotkać Abigail i popatrzeć sobie na nią. Nawet nie chce mi się już z nią rozmawiać. Duma mi nie pozwala.

Chce sobie tylko usiąść i popatrzeć. Wchodzę. Siedzi akurat przodem do wejścia z chłopakami Harisa. Jakoś specjalnej żałoby po wodzu pośród nich nie widzę. Taki gatunek pewnie. Dostrzega mnie. Wymieniamy spojrzenia. Udaję totalną obojętność. W drodze do baru mijam ich stolik bez zatrzymania. Jak kamień przetaczam się po zboczach mając w nosie to, że może on wywołać lawinę, która zniszczy wszystko, co tylko napotka na swojej drodze. Siadam na wysokim stołku tyłem do nich. Daphne rzucam krótko: „sok z jabłek”. Wyjmuję fajki. Z nonszalancją faceta siedzącego na linie zawieszony nad przepaścią, zapalam papierosa. Po pierwszym zaciągnięciu, Daphne mówi coś do mnie, ale traktuję ją jak powietrze. Mam dość jej aktorskich popisów. Wypuszczam dym w górę zadzierając brodę. Abigail siada obok.

- Coś się stało? – pyta w odpowiedzi na moje zachowanie. Dobre sobie.
- Mhm – mruczę i dalej ją ostentacyjnie ignoruję. Wiem, że chciałaby poznać przyczynę mego zachowania ale nie wie od czego zacząć. Ciekawe czy będzie mnie przepraszać za to, że mnie oszukała. Od stolika jej koleżków dobiegają mych uszu słowa zapraszające ją z powrotem. Niech idzie. Co mi tam. Znowu ją wołają. Po drugim wołaniu w sekundzie krztuszę się dymem, kaszlę, odwracam się
- Haris ... ?!!!!
- A myślałeś, że kto? Czerwony kapturek? – mówi do mnie Haris! Rzą jak konie po wygranej gonitwie. Ja zaś czuje się jak pilot samolotu, który wpadł w chmury i stracił orientację. Nie wiem, czy z ogromną szybkością wznoszę się w górę, czy pikuję w dół. Czuję obydwie te rzeczy naraz.
- Abigail, kto to jest? - pytam ją nie spuszczać wzroku z domniemanego Harisa. Widzę, że nie rozumie mojego pytania.
- No ... to jest ... Haris ... – cedzi niepewnie. Jej niepewność bardziej odnosi się do mnie niż do tamtego.
- Aha – mówię jakby wszystko mi się już wyjaśniło. Nie zrobiwszy nawet łyka soku, wychodzę. Mam wrażenie jakby ktoś trafił mnie łomem w głowę, tylko tego nie zauważyłem. Po drodze mijają mnie Randy. Pyta czy coś mi się stało. Mówię, że nic, że wszystko jest w najlepszym porządku i że w ogóle jest wspaniale. Nie zatrzymuję się nawet na chwilę. Wiem, że stanął i patrzy za mną. Idę do siebie, zamykam drzwi i walę się na fotel jak kłoda. Swoją wzrok kieruję w okno. Będę tak siedział aż do „wieczora”.

Kilkanaście godzin później już jako zupełnie inny człowiek wracam z powrotem do pubu. Śpieszy mi się, tak jak śpieszy się człowiekowi, który ma coś ważnego do załatwienia. Bardzo ważnego. Muszę przyznać, że już dawno nie czułem się tak podekscytowany. Nie wiem do czego można by to przyrównać. Może rzeczywiście do czerwonego kapturka o którym już dzisiaj słyszałem. Ale takiego czerwonego kapturka, który wie, że w domu nie ma babci, a zamiast niej siedzi tam wilk. I ten kapturek wcale nie ma w koszyku słodczy ale z piosenką na ustach niesie przykrytą pod haftowaną chusteczką ... spluwę. Późno a jeszcze otwarte. Przeczucie? Są ci których nie lubię i ten który akurat nie chciałbym żeby tu był. Ale najważniejsze, że jest Abigail. Stoi za barem opierając się o niego łokciami. Minę ma nietęgą. Coś jest nie tak. Tego się właśnie obawiałem. Zanim podejść do niej, łypie okiem na zespół destrukcyjny Harisa. Mają w czubie dość sporo. Na stole walają się puste butelki. Pod stołem również. Belkoczą. Na mój widok urywają rozmowy. Zaczynają szeptać. Oprócz nich nie ma nikogo. Trudno się temu dziwić. Od czasu kiedy zaczęli używać alkoholu, folgują sobie a knajpa przemienia się w spelunę. Nieprzyjemne jest takie towarzystwo.

- Jesteś sama? – pytam – A gdzie Daphne?
- Poszła do Tristana.
- Przyjdzie?

- Nie. Będzie tam spać.
Staram się być miły. Wiem już, że Abigail to porządna dziewczyna. Przypisywałem jej rzeczy, które się nie wydarzyły. To była pomyłka. Staram się być miły ale jest trochę sztywno. Pewnie chodzi jej o moją poranną gburowatość. Wystarczy jeden nierozważny gest, jedno słowo nie w porę i po zawodach. Jeszcze nie wystartowałeś a już przegrałeś.
- A ty dlaczego jeszcze tu jesteś? Już późno. – Abigail wskazuje mi głową przyczynę. Przyczyna siedzi przy stoliku.
- Nie spieszy się im – sili się na obojętność ale chyba rada jest, że się zjawilem. Faceci w takim stanie mają różne pomysły i Bóg wie co mogłoby z tego wyniknąć po następnej flaszce. A Abigail jest przecież jak zakazany owoc, na którym wisi kilka tabliczek z napisem: „Nie zrywać”. Niestety właśnie przez to, jest jeszcze bardziej atrakcyjna. Nie uzurpuje sobie prawa własności do niej ani prawa obrony. Nie mogę sobie jednak wyobrazić co bym zrobił gdyby stała się jakaś krzywda. Może jestem nadwrażliwy, bo ile się znamy? Kilka godzin? Nie wolno po takim czasie niczego wymagać od drugiej osoby. Tym bardziej, kiedy się jej nie zna. Ale zauroczenie trwa. To jest chyba główny winowajca. Chciałbym wiedzieć czy ona też coś takiego ma, czy to tylko moja chora wyobraźnia płata mi figle.
- Po co przyszedłeś? – pyta.
- Porozmawiać – trochę kłamię ale zaraz się poprawiam – Muszę ci coś powiedzieć.
- Czyżby? Od drugiej butelki wszyscy wyznają mi miłość – tu znów mi ich wskazuje – Też masz taki zamiar? Trochę się spóźniłeś.
Jest mi przykro. Zostałem zaszufadkowany. Nienawidzę tego.
- Jesteś rozdrażniona – bardziej mówię do siebie niż do niej.
- A czego się spodziewałeś? Od kiedy tu jestem, ma na myśli Fryslyn, po raz pierwszy wydawało mi się, że spotkałam kogoś normalnego. Jednego dnia o mało co mnie nie pocałowałaś, drugiego w ogóle nie zwróciłaś na mnie uwagi, więc co mam sobie myśleć?
Taka złość mi schlebia.
- Nie przyszedłem tu wyznawać ci miłości – od razu staram się rozwiać jej wątpliwości. Zauroczenie to jedno. Miłość to zupełnie coś innego. – Przyszedłem cię ostrzec. Grozi ci niebezpieczeństwo. Nie możesz tu nocować, nie możesz być sama. Ani ty ani Daphne.
Uśmiecha się kpiarsko.
- Pewnie chciałbyś żebym akurat nocowała u ciebie?
- Abigail ... – staram się być naprawdę poważny – Jesteś atrakcyjną dziewczyną ale wkurza mnie kiedy zwracasz się do mnie per „wszyscy”. Tak, chcę żebys nocowała u mnie. Muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego.
- Nie możesz mi tego powiedzieć tutaj?
- Nie mogę – przeczę.
- Jakiś powód?
- ... martwię się o ciebie – mówię prawdę. Przyleciałem z tym przecież aż do niej, a logicznie rzecz ujmując powinienem wspomnieć o tym choćby Dominikowi.
- To nie jest powód dla którego miałabym spać u ciebie.
- Jest Abigail – upieram się – Nie wydaje ci się, że Haris to jakby nie ten sam człowiek?
- To na pewno nie ten sam człowiek. Zmienił się po waszej ostatniej wyprawie nie do poznania – mam wrażenie, że chce powiedzieć, że na lepsze – Opowiadał mi waszą historię. Podobno ledwo uszedł z życiem. A tobie starał się pomóc, tylko mu się nie udało, bo gdzieś się schował czy zgubił.
- Tak ci mówił? – dziwię się.
- Uhm. Teraz nie pali i nie pije. Sam zobacz. Powiedział, że to było dla niego silne przeżycie i chce się zmienić. – Domniemany Haris rzeczywiście nie jest pijany. Nawaleni są jego kumple.
Nie mam wyjścia. Musze jej powiedzieć, to z czym do niej przyszedłem.

- Abigail ... to nie jest Haris.
Zdziwiona. Ale tego mogłem się spodziewać.
- Nie Haris? – patrzy w jego stronę jakby chciała mu się dokładnie przyjrzeć – A kto to jest? Evan zaczynasz gadać i zachowywać się tak samo jak dziś „rano” – robi mi uwagę. – Co się z tobą dzieje?
- To nie jest Haris - powtarzam z całą stanowczością – To jest ... żołnierz.
- ?
- Haris nie żyje. Byłem przy tym. I to nie jest prawda, że próbował mi pomóc – było raczej odwrotnie, ale tego już jej nie mówię – To jest jego sobowtór.
- Sobowtór?
- Tak – muszę jej to tłumaczyć, a to wcale nie jest mi na rękę w tym miejscu– Tamten Haris który zginął w Barry Town miał sobowtóra i to jest właśnie on. Ten facet, który siedzi przy stole. To żołnierz diabła.
- Czy to możliwe?
- Ja też mam sobowtóra. Też jest po tamtej stronie – mam na myśli żołnierzy – Widziałem go. Nawet rozmawiałem z nim. Jeśli chcesz – mam argument nie do przebiccia – możesz o to zapytać Piotra. On to potwierdzi.
- Na dźwięk imienia Piotra Abigail zaczyna inaczej patrzeć na sprawę. Chyba wreszcie udało mi się do niej dotrzeć.
- A czy ja mam tam, no wiesz ... – jest trochę jakby wystraszona faktem, że mogłaby gdzieś istnieć druga Abigail.
- Nie wiem. Nie widziałem. Może i ty masz sobowtóra. Może wszyscy mają? Abigail - chcę uzmysłwić jej to co jest najważniejsze w tej chwili – grozi ci niebezpieczeństwo. To dlatego nie chcę, żebyś była tu sama. Jeśli pójdziesz ze mną, wytłumaczę ci skąd to wszystko wiem. Potem ... zrobisz co zechcesz. Będziesz mogła po prostu pożegnać się i wyjść. Dobrze?
- Jeśli mówisz prawdę, to grozi ono nam wszystkim. Czy oni zdają sobie sprawę z tego kim on jest? – ma na myśli ludzi Harisa.
- Wątpię – I mam wątpliwości, czy dobrym wyjściem byłoby mówić im o tym. Abigail zastanawia się. Teraz jestem już spokojny, że się zdecyduje.
- Dobrze. Kiedy pojedziemy? – Nareszcie! Wzdycham z ulgą.
- Teraz.
- Teraz? Tak po prostu, Zostawimy ich tu?
- Przecież nie ma tu nic czego nie można by uznać za moje, twoje albo ich – przypominam jej własne słowa – Nie ma stąd co wynieść.
Wzrusza ramionami.
- No tak – ma lekkie wątpliwości – ale mimo wszystko jestem za to jakoś odpowiedzialna.
- Odpowiedzialność biorę na siebie – uspokajam ją – Przyjdziemy tu jutro i wtedy zobaczymy. Wstaję od baru. Abigail zakłada palto. Od stolika bacznie nas obserwują. Właściwie to robili to przez cały czas ale nie wchodziłem im w drogę więc nie ingerowali w naszą rozmowę. Idę pierwszy. Ona za mną. Widzę jak dają sobie cynk łokciami. Żołnierz Haris wydaje krótkie polecenie Fredowi. Fred jak automat wstaje, by wykonać rozkaz. Po skosie zastępuje nam drogę.
- Pytałeś czy możesz wyjść z moją dziewczyną? – zaczepia.
Sprawdzam reakcję Abigail. Nie wiem do końca jaka jest między nimi relacja. Może rzeczywiście jest jego dziewczyną i coś trzeba będzie wyjaśnić, ale Abigail z rezygnacją wypuszcza nosem powietrze. No to już wiem, że nie jest jego dziewczyną. Widać wcześniejsze wyznania miłosne nie na wiele się zdały.
- I co? – pyta Fred, bo nie może doczekać się odpowiedzi. Spluwa ostentacyjnie w bok.
- Zejdź z drogi – ostrzegam go.
- Bo?

Nie mam czasu przekomarzać się z nim. Tuż po jego „Bo?” walę go w pysk. Leci długo między stoliki ze swoim uśmiechem przyklejonym do ust, jak ze znaczkiem pocztowym na drogę. Wreszcie pada plackiem roztrzając meble. Wygląda na mocno zdziwionego. Doskakuje Dino, największy chojrak z tej paczki, ale Dino otrzymuje jeszcze celniejszy cios niż Fred. Leży między krzesłami tyle, że z drugiej strony. Barney choć podniósł się, nie jest pewien czy warto próbować tego ciasta. Zostaje tam gdzie był. Jego poprzednicy masują obolałe szczęki. Najwyraźniej przeszła im ochota na kontynuację pojedynku. Haris klaszcze w dłonie.

- Piękna robota. Piękna! – zachwyca się. – Wspaniałe przedstawienie! Piękne! Odsuwam krzesła i podchodzę do niego. To jemu mam największą ochotę przyłożyć. Mierzymy się wzrokiem jak dwaj gladiatorzy, z których nie wiadomo który jest silniejszy, ale wiadomo, że jednemu na pewno przeznaczona jest śmierć. Po tej próbie sił strzela palcami na swoich. Mija mnie ocierając swoim ramieniem o moje ramię. Wychodzą. Teraz możemy spokojnie zamknąć lokal na klucz. Rozmasowuję obolałe ręce. Chyba mam ukryty talent. Powinienem zostać bokserem. Zrobiłbym furorę. Same nokauty w pierwszej rundzie.

Przedstawiam Abigail, Dominikowi i jego żonie. Znają się z widzenia. Po krótkim wstępie rozpoczynamy wojenną naradę. Mówię im wszystko co wiem i co podejrzewam. Wszystko od początku. Od zapętlenia czasu. O moim sobowótze, o spotkaniu z nim, o potwierdzeniu tego faktu przez Piotra, o wypadkach w Barry Town, o tym jak zginął Haris i o rozmowie jaką słyszałem między żołnierzami. Co chwila któreś z nich mi przerywa i wtedy problem tłumaczę dokładniej. W końcu dochodzę do momentu, kiedy wiedzą już wszystko i nadchodzi czas na to, żeby coś postanowić. Pierwszy głos zabiera Dominik, który z Sally o sprawie już wie co nieco, bo opowiadałem im o strzelaniu w Barry Town, zaraz po szczęśliwym powrocie do miasta. Proponuje, żeby powiedzieć o tym Radzie albo szefowi policji, Rexowi. Harisa trzeba koniecznie zamknąć, coś z nim zrobić, bo żołnierz nie może tak sobie bezkarnie żyć między nami. Co do Rady nie mam zastrzeżeń, ale pomysł z Rexem nie podoba mi się w ogóle. Mówię im to czego jeszcze nie wiedzą.

- Oni nie tylko szukali Harisa – wracam do rozmowy między żołnierzami w Barry Town – Szukali kogoś jeszcze – robię wymowną przerwę – Pamiętam jak pytali o jakiegoś „zmasakrowanego” przy samochodzie. Początkowo myślałem, że to chodzi o kogoś z ochrony konwoju. Tymczasem im chodziło o mnie. Mieli zamiar na Harisa i na mnie. Kto mógł im go dać i po co? – pytam.
- Rex? – Dominik czyta w moich myślach. Ja zaś potakuję głową.
- Niestety wszystko na to wskazuje. Przed samym wyjazdem kazał mi trzymać się go możliwie blisko.

Zapada cisza. Chyba wszyscy zastanawiają się nad możliwością współpracy człowieka z diabłem. Musieliby podpisać jakiś pakt o nieagresji. Jakiś tajny układ.

- Tak mogło być – zgadza się Dominik – Ale nie mamy dowodów, że tak rzeczywiście było. Dowodów rzeczywiście nie mamy. Mówię im jednak jak w pubie z rozkazu Rexa pilnowałem pijanego Harisa a nasi chłopcy w tym czasie, widzieli go w zupełnie innej części miasta. Tej niezamieszkałej. Pomaga mi Abigail. Potwierdza, że to niemożliwe, by Haris mógł się ulotnić podczas naszych tańców. Cały dzień pił w pubie. Nie miałby siły zwlec się z kozetki. Przy okazji widzę jak twarz jej się rozjaśnia. Domyśla się, że początkowo właśnie przez tę niespójność wydarzeń myślałem, że jest w nim w zмовie.
- Myślałem, że ukartowaliście to sobie – staram się uśmiechnąć. – Teraz wychodzi mi na to, że wszystko ukartował Rex. Prawdopodobnie wiedział, że Haris od rana pije. A co za tym idzie, nie będzie ruszał się z knajpy przez dłuższy czas. Karząc mi go pilnować, uwiązał mnie przy nim i pozbawił możliwości sprawdzenia, co sam będzie robił w tym czasie.

Chłopakom również porozdzielał funkcję. Mieli pilnować resztę jego kompanów. Zgrupował nas wszystkich w jednym miejscu, z dala od szwindlu jaki miał zamiar zrobić. Sam zaś spotkał się z Harisem sobowtórem. Kiedy Simon z Pablo nieopatrznie natknęli się na nich, powiedział, że to był „mój” Haris, bo nie miał innego wyjścia. A ponieważ ja w tym czasie bardziej pilnowałem Abigail niż Harisa, nie byłem pewien czy rzeczywiście nie ma racji. I wyszedłem na idiotę. – robię małą pauzę - Myślę, że wcześniej uzgodnili, żeby pozbyć się prawdziwego Harisa i podmienić na Harisa żołnierza. Kiedy Simon z Pablo niechętnie pomieszali mu szyki, stałem się osobą niepożądaną. Byłem wewnętrznie przekonany o tym, że „mój” Haris nie mógł pijany biegać w nocy po mieście. Z tego powodu Rex mógłby mieć w przyszłości kłopoty. Poszedłem więc w ostatniej chwili w odstawkę. Tego zabitego przy samochodzie pewnie nie mogli zidentyfikować z powodu ran jakie otrzymał. Mogli uznać, że to jestem ja. Dlatego jeszcze żyję. Mam nadzieję, że to co powiedziałem przeciw niemu jest na tyle wiarygodne, że mi uwierzą. Szef policji prowadzi we Fryslyn niejasną grę. Wysyła ludzi na śmierć.

- Ale dlaczego Rex miałby wejść w układ z żołnierzem? – Sally wtrąca swą wątpliwość. – Czy obecność alkoholu we Fryslyn jest dla nich aż tak ważna, żeby narażać życie ludzi? Dlaczego miałby to robić? Czym mieliby go przekupić? Dlaczego zgodził się wpuścić żołnierza do miasta i osłaniać go. Po co? Za pieniądze? U nas nie ma pieniędzy. Są nieprzydatne. Mamy reglamentowaną żywność. Za żywność?

Ma rację. Ja sam miałem z tym niełichy problem. Po co miałby to robić? Tylko dla samego alkoholu? Żadnych z tego korzyści materialnych nie ma. Ale objaśniam im swoją teorię.

- Jest jedna rzecz dla, której mógł dać się kupić. – nadstawiają ciekawie uszu – Wiecie, że od jakiegoś czasu we Fryslyn nie jest tak jak powinno być - Nie chce im długo tego tłumaczyć. Orientują się przecież sami. To widać. - Mniej ludzi chodzi na nauki. Nie działają już błogosławieństwa, giną ludzie, piją alkohol. Konwoje to loteria a noce przestały być spokojne. Jednym słowem zaczyna nam się palić grunt pod nogami. Takie odnoszę wrażenie. A wy? – kiwają głowami – Rex też musi to dostrzegać. Może doszedł do wniosku, że Piotr nie da rady uratować Fryslyn i korzystając z okazji postanowił ratować siebie?

- Ale za co? – Sally wciąż nie wie do czego zmierzam.

- Za nasze dusze. Za to czego tak naprawdę tu bronimy. Nie chodzi przecież o samo miasto ani o nasze cielesne powłoki. Piotr broni tu przede wszystkim naszych dusz. To jest nasz skarb. Nie pieniądze, nie żywność. Mogli mu obiecać – dalej wykładam swoją teorię – że go ocala ale on w zamian pomoże im dopaść nas. A jak najszybciej dopaść nas? Odsunąć od Piotra. Alkohol jest tu tylko narzędziem a sobowtór Haris z obietnicą daną Rexowi pilnuje, żeby było go jak najwięcej.

Dla mnie wszystko trzyma się kupy idealnie. Nic dodać nic ująć. To nie Haris „pijaczek” był naszym wrogiem numer jeden. Jest nim Rex i jego ukryty zwierzchnik.

- A jeśli on nie działa sam? – teraz słyszę Abigail – Jeśli takich sobowtórów jest w mieście więcej? – wzdryga się na samą myśl o tym – Może Rex, to nie Rex? Nikt mu wtedy nie musiałby nic obiecywać. Działałby na naszą szkodę z bezpośredniego rozkazu diabła.

Wyjaśnienia budzą wątpliwości ale mam na to odpowiedź. Nie na darmo przecież bujałem się tyle godzin w fotelu, żeby nie poskładać w całość tej układanki.

- To można sprawdzić – Milczą. Nie wiedzą co mam na myśli, a sposób jest banalnie prosty.
- Święconka – podpowiadam.
- Faktycznie, możemy spróbować święconką. – Dominik podłapał temat – Nie jestem jednak pewien, czy ona ma jeszcze jakąś moc. Ludzie giną w konwojach.
- W konwojach giną, bo nie działają błogosławieństwa. – wtrąca Sally – Powinniśmy spróbować, ze święconką. Jest szansa, że dzięki niej dowiemy się, kto jest kim. Zgłosimy Radzie.

- A jeśli w znowie jest ktoś z Rady? – wyhamowuję jej zapał - Jeśli Rex nie jest żołnierzem, a tak właśnie przypuszczam, mógł obiecać komuś z radnych, taki sam układ. Ratunek za współpracę z diabłem. Jeśli okaże się, że to „normalni” spiskowcy, to tylko odkryjemy karty. Domyślą się, że wiemy co się we Fryslyn dzieje. Staną się ostrożniejsi i przebieglejsi. Trudniej będzie ich wykryć. A i my znajdziemy się w niebezpieczeństwie.
 - Coś jednak musimy zrobić. Musi być z tego jakieś wyjście.
 - Piotr – mówi Abigail – Trzeba porozmawiać z Piotrem. Powiedzieć mu o tym.
 - Abigail ma rację – popieram ją – jedyną osobą, która może coś tu zrobić jest Piotr. Trzeba koniecznie z nim porozmawiać. Ale to nie znaczy, że mamy siedzieć z założonymi rękami. Byłoby dobrze przedstawić Piotrowi jeśli nie dowody, to przynajmniej poszlaki. Za pomocą święconki możemy sprawdzić naszych podejrzanych. Tyle, że zrobimy to dyskretnie.
- Tak oto poprzez zbiegi okoliczności, domysły a czasem przypadkowe działania zostaliśmy zmuszeni do założenia anty spiskowego ugrupowania w celu ratowania Fryslyn. Starannie ułożyliśmy plan co, przed czym i po czym mamy wykonać aby sprzedawcykom udowodnić zdradę i wyrzucić z miasta jak czarownice. Obiecaliśmy sobie, że nikomu nie powiemy o naszych podejrzeniach, za wyjątkiem jeszcze Daphne i Tristana. Najpierw mieliśmy rozpocząć działania święconką. Czekać na efekty, a jak krąg podejrzanych się zacieśni, to dopiero wtedy poinformować Piotra o wynikach śledztwa. Jeśli święconka zadziała natychmiast, to też będzie dobrze, bo wtedy będziemy mogli jawnie podnieść kwestię przebywania żołnierzy pośród nas i domagać się aby wszyscy jak jeden mąż zostali poddani testowi na święconą wodę. Tak prywatnie to dziwi mnie, że Piotr o niczym nie wie. Może wie, tylko nie mówi? Jego nie da się oszukać. Powinniśmy iść z tym od razu do niego. Nie kombinować. Myślę, że to moja ambicja odkrycia spisku przez zwykłych ludzi spowodowała, że chcę by wiedział, że się staram być porządny. Cały czas pamiętam jak powiedział, że nie wszyscy zostaną zbawieni. Mam nadzieję, że moim działaniem udowodnię mu, że co do mnie, to mógł się mylić. Mamy chwilę wolnego czasu. Patrę na Abigail.
- Chcesz wracać z powrotem? – pytam. Emocje opadły już. Uśmiecha się. To dobrze, że robi to tak często.
 - Nie – pozwala sobie na małą przerwę – Lubię jak się o mnie ktoś martwi.

Ustalamy z Dominikiem, że trzeba jeszcze dziś ostrzec Daphne. Abigail podaje namiar na Tristana. Nie wdając się w zawile tłumaczenia informuję Daphne, że nie może już wracać do mieszkania nad pubem. Ma zostać z Tristanem, bo Abigail spać będzie u mnie. Jutro im wszystko wytłumaczę. W drodze powrotnej spotykam Rexa. Grzebie coś w bagażniku swojego samochodu. Kiedy tylko mnie dostrzega natychmiast go zamyka. Jest późna noc. Bez słowa mierzymy się wzrokiem.

Nazajutrz Daphne i Tristan zostają wtajemniczeni w plan. Początkowo mają wątpliwości ale im dłużej im klarujemy zasięg i rozmiar spisku oraz grożące nam z tego tytułu niebezpieczeństwo, angażują się w jego realizację. Rexa biorę na siebie, bo przebywam przecież w jego bezpośredniej bliskości. Chcąc nie chcąc, muszę też sprawdzić „moich” chłopaków z posterunku. Licho nie śpi. Abigail z Daphne sprawdzą grupę Harisa. Dominik i Tristan mają zająć się Radą i srebrzystymi. Sally to nasze centrum dowodzenia. Siedzi w domu i porządkuje informacje. Przekazując je drugim, pod nieobecność pierwszych. I odwrotnie. Już pierwszy dzień akcji przynosi pierwsze efekty. Rex, tak jak byłem o tym przekonany, nie jest żołnierzem. Jest zwykłym sprzedawczykiem w ludzkiej skórze. Sreparowałem dla niego kawę, na bazie święconki. Wypił do połowy. Widać nie bardzo mu smakowała. Pewnie biedaczysko nie mógł wykoncypować, skąd naraz taka usłużność, spotkała go z mojej strony. Ilość wypitej kawy nie miała znaczenia. Jedna kropla powinna sprawić, by się zadławił.

Abigail z Daphne dolewają do napojów najpierw Freda i Dino, a potem Barneya po kropelce wody i też nic z tego nie wyniknęło. Gorzej jest z Harisem. Nie podejrzewam by wiedział co zaplanowaliśmy ale bydlak nie chce pić w ogóle. Jakby tego nie potrzebował. Dominik ze Tristanem mają najtrudniej. Pierwszego dnia załatwiają posterunek na zachodzie. Załatwiają, tzn. częstują srebrzystych spreparowanym sokiem. Sally odkreśla z listy podejrzanych pierwsze nazwiska. Drugiego dnia sprawdziłem Simona, Pawła i Gerarda. Robię to dla świętego spokoju. Dla absolutnej pewności. Dominik „obskakuje” posterunek południowy używając tego samego podstępu co wczoraj. Tristan „łapie” się na kawę z jednym z radnych. Abigail wreszcie udaje się nakłonić Harisa do picia. Ale wiadomość jaka przynosi nie brzmi dobrze. Haris wypił i nic się z nim nie stało! Muszę przyznać, że to osłabiło mój zapał i pewność z jaką podchodziłem do sprawy. Może święconka, rzeczywiście straciła swą moc? Może Haris zabezpieczony jest na taki przypadek jakimś antidotum? Jakimś proszkiem, który niweluje jej działanie?

Trzeciego dnia Abigail wnosi wreszcie w nasze poszukiwania iskierkę nadziei. Podobno Haris rzygał w nocy tak, że o mało flaków sobie nie wypluł. To mogła zadziałać z opóźnieniem nasza woda. Ale równie dobrze mógł to być przypadek. I dlaczego nie zszedł, a tylko zwymiotował? Może potrzebuje większej dawki? Musimy być ostrożni, bo jak za drugim razem znów tylko zwymiotuje, to nabierze podejrzeń, że ktoś chce go otruć. Zwalniamy nieco tempo. Prawda ludowa głosi, że należy spieszyć się powoli, to się dalej zajedzie. Poza tym trzeba wymyślić nowe taktyki i sposoby weryfikacyjne. Dominik nie powinien ni stąd ni zowąd udawać siostry miłosierdzia. Samych srebrzystych jest około trzydziestu. Po dwunastu na każdej zmianie plus posiłki, które ustanowił Piotr od czasu kiedy tamci zaczęli mocniej nas niepokoić. Tristan też nie może umawiać się na kawki z każdym z pięciu członków Rady dzień po dniu. A gdzie znaleźć powód na to, by ściągnąć wszystkich naraz? Nie podpadający powód trzeba dodać. Stosunkowo najłatwiej ma Daphne z Abigail. Wystarczy, że ktoś coś zamówi i już otrzymuje swój sok, herbatę, kawę nie świadom ich podwójnego znaczenia. Dziewczyny sprawdzają już teraz wszystkich, którzy pojawiają się w pubie i zamawiają cokolwiek. Gdzieś po tygodniu Haris otrzymuje drugą dawkę, cięższą. Przez całą noc czekamy na skutki. Niestety, tym razem specyfik nie podziałał na niego w ogóle. A przynajmniej Barney, z którym jeszcze najlepiej z nich żyją nic nie wspomniał o nocnej „chorobie” szefa. Haris jest zdrow jak ryba!

Po trzech tygodniach sprawdzeni zostają wszyscy podejrzani, a także osoby na pierwszy rzut oka zupełnie niewinne. Robimy naradę sumującą nasze dochodzenie. Myny mamy nieszczególnie. Jeśli trzymać się mamy faktów, to w mieście nie ma żołnierzy. Ani jednego! Wychodzi na to, że nawet Haris nie jest żołnierzem a to już dla mnie absurd. W takiej sytuacji ciężko jest cokolwiek postanowić. Chyba, że święconka Piotra to lipa. Przestała działać tak jak przestały działać błogosławieństwa. Wtedy rodzi się jednak podejrzenie, że równie dobrze tak jak wszyscy są żołnierzami, tak może nimi nie być nikt z przez nas kontrolowanych. Co robić? Zamknąć sprawę i uznać za niebyłą. Uznać, że to pomyłka, wybujała wyobraźnia człowieka, który zbyt wiele przeszedł przez ostatni rok? Coś jednak jeszcze przychodzi mi do głowy. Pytam Abigail w jaki sposób „normalny” Haris wnosił alkohol do pubu.

- Bo to on wnosił prawda?
- Czasem on, czasem któryś z jego chłopaków - Potwierdza ale szybko rozbija moją nikłą ścieżkę wątpliwości. - Haris nie wiedział gdzie jest źródło. Otrzymywał różnymi kanałami informację, gdzie jest ukryty. A wiesz jaki Haris był. Miał co pić, to nie przejmował się tym kto mu robi prezenty. Ważne było to, że nie musi za to płacić i nic od niego za to nie chcą. Chyba podejrzewał kogoś z Rady. Ale on na pewno nie wyjeżdżał z miasta. Nie miałby tyle odwagi. Wiem, że Abigail nie kłamie. Nic już nie wymyślę. Nic nie przychodzi mi do głowy.

To co na początku wydawało się tak proste i oczywiste ugrzęzło jak czołg w bagnie. Moi przyjaciele też wydają się być zrezygnowani.

- Nie ma rady – mówi wreszcie Dominik – Nic nie mamy ale i tak trzeba iść z tym do Piotra i powiedzieć mu o tym. To chyba najrozsądniejsze wyjście.

Wszyscy zgadzamy się. On na pewno coś z tym zrobi. Chcemy umówić się z Piotrem dnia następnego ale drogę zastępuje nam pani, którą nazywają tu „mamuśką”. Mamuśka to kobietka lat około pięćdziesięciu, zwalistej tuszy i z kokiem na głowie jak pałac. A nazywają ją tak, bo opiekuje się Piotrem. Sprząta, gotuje, ścieli łóżko. Pamiętam jak Piotr sprzeciwiał się temu, żeby wykonywała te czynności, że niby on wszystko sam. Ale mamuśka to gatunek uparty i nie można go przegadać. Postanowiła na swoim i już tak zostało.

- Piotr teraz odpoczywa i nikt nie będzie mu przeszkadzał – zagrzmiała jak piorun kulisty. Na pewno nie chodziło jej o danie nam szansy na ewentualną prośbę. Nie było rady. Czekaliśmy trzy tygodnie możemy poczekać jeszcze trochę.

Kilka godzin później, w porze rozwidlenia, wracamy z powrotem do domu Piotra. Po drodze dostrzegamy Harisa, który kręci się przy kaplicy. Zupełnie jakby sprawdzał, czy w razie czego da się ją łatwo rozwalić. Mamuśka kolejny raz grodzi nam drogę:

- Piotra nie ma – informuje stanowczo.
- Nie mówiła mu pani, że chcemy się z nim widzieć? – pytam. – To ważne.
- Mówiłam. Kazał przyjść pod wieczór – odpowiada. Wciąż funkcjonują między ludźmi określenia, które nie są adekwatne do bieżącej sytuacji. Bo „pod wieczór” to znaczy kiedy? Przecież ten tzw. wieczór będzie najdalej „za godzinę”. No proszę, sam nie potrafię znaleźć odpowiedniej formy, która dobrze oddałaby uciekający czas we Fryslin.

Haris w dalszym ciągu kręci się przy kaplicy. Zagląda do beczki ze święconką, obmacuje ściany. Do ośrodka nie wchodzi.

- Wiesz co Dominik? Chodźmy na chwile z nim pogadać. – olśniewa mnie nagle. Mój przyjaciel nie bardzo wie, po co mielibyśmy to robić, ale idzie ze mną. Tamten zauważył, że się zbliżamy. Uśmiecha się jak z obrazka.

- Haris – zagaduję od razu – mógłbyś jeszcze raz pokazać mi swoją seksbombę? – Uśmiech ginie z jego twarzy. Myśli intensywnie. Zorientował się, że chce go sprawdzić. Musi wiedzieć od Rexa, że mogę mieć w stosunku do niego największe podejrzenia ze wszystkich mieszkańców. Twarz mu zielenieje.

- Jaką seksbombę ...? – zaczyna gorączkowo przewracać oczami. Ale uśmiech zaraz wraca na jego twarz. Uspokaja się. – A ... chodzi ci o zdjęcie? – maca rękami po kurtce. Tak chcę, żeby mi pokazał zdjęcie swojej panny. Jak on się domyślił!? – Gdzieś mi się zapodziało – rozkłada ręce w geście niewiniątka. Cwany jest. Przejrzał mnie. Ja zaś czepiam się ostatniej szansy.

- Pokaż mi zdjęcie swojej dziewczyny. To które pokazywałeś mi na posterunku, kiedy was rewidowaliśmy. – specjalny nacisk kładę na słowo posterunek. Chce, żeby wiedział, że na tym właśnie mam zamiar go przyłapać. Odgadł, że chodzi mi o zdjęcie. Ciekawe czy odgadnie gdzie mi je pokazywał. To moja ostatnia nadzieja!

- Evan ... – wysiła się – to nie było na posterunku. Zapomniałeś? Pokazywałem ci je ... – prawie płacze, bo jego mózg z tą zagadką nie może już dać sobie rady – pokazywałem ci je ... w samochodzie na naszej ostatniej wyprawie. Nie pamiętasz?

Chce mi się śmiać. Wyrazem oczu daje mu do zrozumienia, że niestety nieprawidłowo odpowiedział na zadane pytanie, a tym samym główną nagrodę w tym konkursie otrzymuje ktoś inny. Zostawiam go tak. Niech przeklina, myśli co robić i niech myśli teraz jak ma się ratować. Odchodzimy kawałeczek. Klepię Dominika w ramię.

- No bracie - mówię zadowolony – teraz możemy już jak w dym iść do Piotra ... to żołnierz jak malowany.

Jesteśmy pewni siebie. Przekrzykujemy się nawzajem. Zrobiliśmy coś naprawdę dobrego i istotnego. Teraz nadchodzi czas na to, by odsłonić kurtynę i ukarać tych, którzy za nią kryją się odgrywając moralnie podwójne role. Myślę, że nikt z nas nie oczekuje żadnej nagrody. Bardziej cieszymy się z prawidłowo zrozumianej istoty trwania Fryslyn. Z tego, że dzięki naszej pracy, uda się ochronić je przed złym, które bezczelnie zaczyna panoszyć się wokół nas. Pozawalamy sobie nawet na małe żarty i otwierając drzwi do jego domu robimy to cicho i dyskretnie aby sprawdzić czujność mamuśki-strażnika. Nie udaje się ale to dlatego, że któreś z nas, chyba Abigail, chichocze głośno w sieni. Ochrona Piotra wyskakuje natychmiast z nożem wielkim jak maczeta w ręce. Pewnie zaprotestowałyby jak poprzednio ale tym razem drzwi do pokoju Piotra są uchylone i widać jak się kręci wewnątrz. Mamuśka nie ma więc wyjścia i idzie nas zarekomendować. Potem przyniesie nam nawet po szklance herbatki. Wchodzimy, witamy się po kolei. Wszyscy skromnie mieszkamy ale Piotr to wybitny pustelnik. Drewniany stół. Dwa drewniane krzesła z wysokim oparciem, w kącie mały, żeliwny piecyk na węgiel. Taki z fajerkami. Na nim czajnik. Na jedynej, a i to nie za wielkiej półce na ścianie, parę książek. Rozsadza nas gdzie może. Mieścimy się z ledwością. Nie przychodzi mu do głowy, żeby dostawić krzesła z innych pomieszczeń. Dominik i ja siadamy na krzesłach. Reszta na surowej kanapie pod ścianą. Piotr stoi. Dopiero teraz dostrzegam fioletowe doły pod jego oczami. Wydaje się, że jest mniejszy niż zazwyczaj. Jakiś przykurczony, przygarbiony. Wygląda tak jakby w ogóle nie spał od kilku dni. Właściwie to jest ledwie żywy ze zmęczenia. Podziwiam go. Ja w takim stanie na pewno nie miałbym ochoty z nikim się spotykać i rozmawiać. Poszedłbym spać. A on nie dość, że nas pousadza a sam stoi, to jeszcze zaczyna od kurtuazji.

- To miło, że tak duża grupa młodych ludzi przyszła mnie odwiedzić – mówi – Wyglądacie na zgraną paczkę. Trzy pary młodych ludzi - rozmyśla głośno – proszę, proszę, czyżbyście potrzebowali porad sercowych?
- Nie – odzywam się pierwszy jako najlepiej zorientowany w naszej sprawie – Chcemy powiedzieć ci o czymś, o czym powinieneś chyba wiedzieć – Robi trochę zdziwioną minę w stylu: „To ja o czymś nie wiem?”
- No, dobrze – zgadza się – W takim razie zamieniam się w słuch. To musi być bardzo ważne. Pani Laura mówiła mi, że byliście u mnie wcześniej.
- Tak – potwierdzam – ale dobrze się stało, że nie udało nam się dostać do ciebie za pierwszym razem. Teraz mamy więcej informacji.
- A jakie to informacje? – zapytuje. Ja zaś nie mogę nie zauważyć, że w jego oczach brakuje już tego ognia jaki miał kiedyś. Może to przez to zmęczenie. Zaczynam podejrzewać, że Piotr jest w takim stanie dlatego, że wciąż w nocy jeździ na posterunki, by pilnować miasta. Patrę na swoich. Wszyscy widzą to samo co ja. Człowieka potwornie zmęczonego. Nie wiem czy to jest dobra chwila na nasze rewelacje. A jak nie będzie chciał uważnie słuchać? Ale jak nie dziś to kiedy mamy mu o tym powiedzieć? Nie można przecież zwlekać w nieskończoność.
- Śmiało, mówcie – zachęca i rozgląda się między nami, bo nie wie kto będzie zaczynał. Wałę prosto z mostu.
- Piotrze, ludzie diabła nie tylko zbliżają się do miasta oni już tutaj są! Zaczyna krążyć drobiaz małe kółeczka. Nawet na mnie nie spojrzął. No właśnie, tego się obawiałem. Zanim zacząłem, on już myśli o czymś innym. Znowu patrę na swoich. Nie jest dobrze. Czy nic nigdy nie może iść po linii prostej? Tak jakby się chciało, żeby było normalnie?
- Wiemy kto to jest ... – dopowiadam, bo może to go obudzi.
- Kto? – zatrzymuje się wreszcie i gapi się na mnie w taki sposób jakby było mu zupełnie nie na rękę, że za chwilę wymienię imię żołnierza.

- To Haris – ten, którego kiedyś kazałeś wypuścić z więzienia za alkohol. – Widzę jak Dominik rozpaczliwie macha rękami dając mi znaki – To znaczy nie do końca. Prawdziwy Haris nie żyje. W mieście jest jego sobowtór, który podaje się za niego.

- Ale to nie wszystko – natychmiast wtrąca Dominik – Oni, on ma układ, ze zwykłymi mieszkańcami Fryslyn, którzy przeszli na jego stronę. I też wiemy kto to jest! We Fryslyn są zdrajcy!

Piotr znowu zaczyna krążyć. Zakłada ręce z tyłu na plecach. Nie ma na co czekać. Opowiadamy mu wszystko po kolei. Pokazujemy zapiski. Każdy z nas się wtrąca. Z minuty na minutę rozpalamy się coraz bardziej. Nie może nie uwierzyć. Raz tylko zabiera głos. Dziwi się, że święconka nie podziałała. Ale zaraz opowiadamy mu o podstępie ze zdjęciem na jaki złapaliśmy Harisa. I tak dalej i tak dalej

- Sporo się natrudziliście, żeby to wszystko odkryć – mówi wreszcie, bo na jego postanowienia czekamy jak wyschła ziemia na upragniony deszcz. On teraz jest naszym wodzem. Wszystko co powie będzie brzmiało jak rozkaz - ... ale niepotrzebnie – dodaje.

- Wiedziałeś o wszystkim?- pytam. Myślę, że wiedział tylko nie interweniował, bo być może tak jak my prowadził swoje prywatne śledztwo i uznał, że jeszcze nie czas, by temu przeciwdziałać. Czekał na sposobny moment.

- Nikt nie wie wszystkiego do końca – mówi z nostalgią – Natrudziliście się niepotrzebnie, bo to akurat, że są tu żołnierze, że ktoś jest zdrajcą, nie jest istotne. Naprawdę ważne jest co innego.

Zaczyna brakować mi tchu. Na kanapie poruszenie.

- Jak to nieistotne! – krzyczą prawie wszyscy razem. Staram się opanować sytuację.

- Rozumiemy Twoje nauki Piotrze. Wiemy, że nie chodzi o bronę Fryslyn jako miasta, że nie chodzi o nasze ciała tylko o nasze dusze. Ale przecież oni tu właśnie po to przyszli. Po nasze dusze!

- Nie mogą ich wam zabrać jeśli im sami ich nie oddacie.

Zaczyna mnie wkurzać.

- A ci co zginęli w konwojach, to chcieli im je oddać dobrowolnie? – pytam.

- Już ci kiedyś powiedziałem – jemu też udziela się moje zdenerwowanie – Nie wszyscy będą zbawieni – gasi mnie, bo robi z tego osobistą sprawę.

- Ale to nie po ludzku – wtrąca Daphne – Mamy tak po prostu patrzeć jak oni zabijają naszych, kiedy jest szansa, żeby ich uratować? A jeśli następną osobą, która zginie będzie ktoś z nas? Jeśli mnie to jest pisane, to co, mam tak po prostu siedzieć i czekać aż to się stanie?

- Ja na to nie pozwolę! – Tristan staje w jej obronie przyznając jej tym samym rację – Trzeba zlikwidować Harisa, wyrzucić go z miasta. Tylko Ty możesz to zrobić. Rex jest skorumpowany, a bez ciebie Rada nie wyda decyzji, bo nie mamy jasných dowodów ich winy. Zrób to!

Piotr już nie chodzi. Stoi w miejscu sfrustrowany, zmęczony i zniechęcony. Ręce opuszczone wzdłuż ciała. Zupełnie jakby miał wszystkiego dosyć.

- Kto ma uszy niechaj słucha – mówi – Trzeba ufać.

Tylko tyle? Chryste, on chyba zwariował!

- Więc nic nie zrobisz, żeby ratować nasze dusze? – pytam a wściekły jestem totalnie.

Milczy. Wydaje się, że powiedział już wszystko. Ale nie. Jeszcze nie.

- Niedługo ustalę datę chrztu – mówi coś bez związku. Jakiego chrztu? Co on bredzi? – Patrzę na niego zawiedzionym wzrokiem. To koniec jego autorytetu. U nas wszystkich stracił swój kredyt zaufania. Ale ja nie mogę tak po prostu wyjść.

- Piotrze, co się z Tobą dzieje? Gdzie Twój entuzjazm, gdzie werwa i wiara, którą miałeś nie tak dawno - mówię – Po co zbudowałeś Fryslyn skoro teraz pozwalasz, by na Twoich, na naszych oczach zostało zniszczone. Gdybyś tylko chciał mógłbyś temu zapobiec. Ale nie chcesz – wyrzucam mu wszystko to co leży mi na sercu - Nie widzisz, że coraz mniej ludzi

przychodzi na nauki, że coraz mniej ludzi wierzy w Twoje obietnice? Co się z Tobą dzieje? – powtarzam i nie otrzymuję odpowiedzi. Skończył z nami rozmawiać. Z hurkotem odsuwam krzesło. Na nikogo nie patrząc, a tym bardziej na niego, wychodzę trzaskając drzwiami. Idziemy do domów. Bez słowa. Nasze nadzieje potopiły się w deszczu na który czekaliśmy z takim utęsknieniem.

Mieliśmy rację. Piotrowi odbiła szajba. On już nad niczym nie panuje. Pojawienie się alkoholu we Fryslyn to była pestka. Teraz mamy już narkotyki. Miękkie, twarde, jakie chcesz. W rozkazie służbowym mieliśmy podane, by zlikwidować ich występowanie na tak zwanym „czarnym rynku”. Tylko jak to zrobić, kiedy szef policji dba o to, by ten rynek kwitł i rozwijał się coraz lepiej? Wiem, że to się nigdy nie uda. Rex dba o to, by Haris podczas przemytu miał zawsze zielone światło. Podejrzewam ponadto, że srebrzyści z któregoś posterunku na pewno mu pomagają. Pozwalają Harisowi wyjeżdżać z miasta i wracać z towarem bez kontroli. Rex zmienił w ogóle stosunek do niego. Klaruje nam, że tak właściwie to, on nie jest taki groźny. Znacznie groźniejszy jest ... Piotr, który prawdopodobnie wyśle nas wszystkich na słupy. Rex jest zwolennikiem porozumienia z tamtymi. Czuje, że żołnierzy jest więcej, są coraz silniejsi i wcale nie żartują. Za cenę życia, gotów byłby poddać Fryslyn nowej władzy. Chyba wie od Harisa, że tamci chcieliby takiego właśnie rozwiązania. Według Rexa wszystko przez ten głupi upór Piotra, który sam już nie wie, co jest dla nas najlepsze. W paradę sobie nie wchodzimy. Ani ja im, ani oni mnie. Oni, to znaczy Rex z Harisem i tych trzech durni, których ma za pomagierów. Wiem, że na mój widok nie pałają miłością ale też i nie reagują wybitnie nerwowo. Należę do grona tych nielicznych, którzy zdają sobie sprawę z ich działalności. Być może inni też coś podejrzewają ale nie wiedzą do czego tak naprawdę są zdolni. Jeden wysłał przecież ludzi na śmierć, drugi jest żołnierzem. Ci dwaj są na szczycie zdrady ale co im można zrobić skoro Piotr nie chce nas poprzeć? Po upublicznieniu rewelacji ze śledztwa kto stanie w mojej obronie? Kto mi uwierzy, że Haris to nie Haris? Sprawdzą to jedynym dostępnym sposobem. Skropią go święconką, która ... nie zadziała. Oskarżeń pod tytułem Rexa nikt nie będzie słuchał. Wiedzą, że wiem o podwójnej roli jaką grają ale temperują się i krzywdy od nich nie zaznają. Co się odwlecze, to nie uciecze. Jak mniemam zostawią mnie sobie na sądną noc.

W alkohol i narkotyki bez problemu można zaopatrzyć się u Harisa. A właściwie po tym jak Abigail odmówiła podawania wódki, to Fred prowadzi konkurencyjne stoisko. Haris jest nietykalny. Rex ze źle ukrywanym zmartwieniem bezradnie rozkłada ręce: „To Rada musi wydać rozporządzenie, aby go aresztować”. Rada jednak jest tak samo bezradna jak Rex. Brakuje jej zdecydowania. Widzą co z siebie zrobił Piotr, który uprzednio dopuścił, by plaga swobodnie rozeszła się po mieście. Sam przecież uwalniał Harisa z więzienia. Może w takim razie lepiej go nie tykać, bo jak przyjdą tamci, to z czystym sumieniem będą mogli spojrzeć im w oczy: „Jak to – powiedzą – przecież pozwalaliśmy na picie i „wacanie!” Amatorów „działki” nietrudno znaleźć. Niektórzy mieli tu przymusowy odwyk. Teraz wracają do nałogu. Inni biorą tylko po to, by przypodobać się Harisowi, który z wolna staje się miejscowym guru i zajmuje miejsce Piotra w kwestiach przyszłości. Tak jak tamten niczego nie chciał powiedzieć, ten mówi aż za dużo. Rozpuszcza plotki, że Piotr stracił kontakt ze swoim Bogiem i że nie wiadomo co teraz będzie, że jego Bóg jest na niego zły, że nie ma już patentu na ratunek. Lepiej nie trzymać z nim i nie słuchać zbyt uważnie, nie brać sobie do serca, bo Piotr ciągnie wszystkich w przepaść. Nie rozumiem dlaczego sam zainteresowany nie dementuje tych oszczerstw, niczemu nie przeczy. Takie milczenie źle działa na wyobraźnię. Niby strzeże nas w dalszym ciągu ale odsuwa się od nas coraz dalej. Z nikim nie chce rozmawiać. Szamocze się pomiędzy posterunkami srebrzystych dopingując ich do ciągłego czuwania. Ale nawet już srebrzyści narzekają, że jest upierdliwy. Czepia się wszystkiego. Także źle przewieszzonego przez ramię karabinu.

Może niczemu nie zaprzecza, bo to jest jakiś jego dalszy ciąg operacji związanych z wolnym wyborem? Jaki ma jednak w tym cel i dlaczego nas o niczym nie informuje? Niestety wygląda na to, choć niechętnie przyznaję, że rację ma Haris. Piotr wie, a nam nie chce powiedzieć, że na Wyżynach zapadł już na nas wyrok skazujący. Dla Boga z jakiś powodów filozofia Fryslyn przestała się opłacać. Oszukuje nas, zwodzi ale jak długo można oszukiwać? Czuje się, że koniec jest bliski. Z kim byś nie porozmawiał, kogo byś nie spytał nikt, absolutnie nikt nie widzi naszej przyszłości w jaskrawych kolorach. On przestał dawać nam nadzieję, zniknął sens przykazań. Może jest mu wstyd, że kiedyś obiecał nam ratunek, a teraz jego obietnice nie są nic warte? Może za późno odkryliśmy spisek i dlatego Piotr mówi, że już nic nie jest istotne? Jeśli mieliśmy jakiś czas na nawrócenie, który minął, a o którym on nam nie powiedział, to powinien się do tego przyznać. Ukrywanie takiej rzeczy niczego nie da, nie poprawi. Tylko patrzeć jak pierwszy stąd ucieknie. Tak jak był uwielbiany, tak za własnym przyczynkiem staje się coraz bardziej samotny.

Jakoś na tydzień przed datą chrztu, który rozgłosił w końcu z wielką pompą na Fryslyn padł blady strach. W nocy żołnierze diabła powywieszali tych, którzy zginęli w konwojach, na słupach przed miastem. Nie poszedłem zobaczyć. Domyśliłem się jednak jak to może wyglądać. Tristan nie zaoszczędził mi jednak szczegółów. Taki słup ma ze trzy metry wysokości. Jest z nieheblowanego drewna, stoi jednym końcem wkopany w ziemię. Na dwóch trzecich wysokości umocowana jest na nim poprzeczna belka. Martwi ludzie wiszą na nich z rozłożonymi ramionami i z głowami opadającymi na piersi. Podobno to okropny widok. Takich słupów jest kilkanaście. Jeden przy drugim. Skąd Rex wiedział o słupach, kiedy mówił, że Piotr nas na nie wyśle? Dla wszystkich było jasne, że dostaliśmy ostrzeżenie: „Tak będziecie niedługo wyglądać!” Nie było tylko wiadomo, czy taki straszny los mają podzielić ci, którzy przejdą chrzest, czy wszyscy. Swoje trzy grosze na ten temat miał do powiedzenia Haris. Zniechęcał ludzi do brania udziału w chrzcie jak tylko mógł. Straszyl, że to może być jedyny ale za to ostatni gwóźdź do trumny i że podobno Piotr nie chce ginąć sam. Podobno nie ma już sposobu na ratunek. Jeśli jeszcze jest czas to trzeba porozmawiać z żołnierzami. Może dadzą nam spokój w zamian za wydanie im Piotra. Było to pierwsze i nie ostatnie tak bezpośrednie wystąpienie przeciw Piotrowi. Pozostało bez odpowiedzi, co jeszcze bardziej obnażyło słabość naszego anioła stróża. Jak szybko dojdzie do ataku na Fryslyn i w jakiej formie to się odbędzie, jeszcze nie było wiadomo. Pytania jak grzyby po deszczu rosły w umysłach ludzi w niepokojącym tempie. Czy to będzie wielki szturm i walki z żołnierzami, czy też po cichu w nocy, na noże. Czy uda się przeżyć w jakiś sposób, uciec w porę i czy w ogóle ktoś przeżyje?

Poukładane życie w mieście padło na pysk jakbyś z balonu wypuścił powietrze. Ludzie zaczęli zaniedbywać obowiązki i przestali się modlić. Po co dbać o cokolwiek jak i tak niedługo nie będzie miało to absolutnie żadnego znaczenia. Bycie dobrym człowiekiem straciło swój smak. Nie jest już priorytetem. Nie nobilituje, nie uświęca. Mamy teraz postępującą stagnację z tendencją do samozagłady. Koncentracja żołnierzy wokół Fryslyn jest tak wielka jak nigdy dotąd. Konwoje z miasta nie wyjeżdżają. Nikt nie chce ginąć, a antidotum na śmierć nie ma. Zresztą nie jestem pewien, czy w ciężarówkach jest jeszcze paliwo. Czy aby nie zostało już przelane do osobowych samochodów. Co przezorniejsi zaczęli odkładać już żywność i sprawdzać stan techniczny swoich pojazdów. Jeśli nas szybko nie zaatakują, to miasto i tak umrze z braku środków do życia i wewnętrznego rozkładu. To przykre, że ci którzy tworzyli je z takim zapałem teraz nie dbają o to co stworzyli. Ja zamiast patrolować miasto przesiaduje całymi dniami z Abigail. Baczę, czy aby Haris lub jego ludzie nie planują jakiegoś niespodziewanego porwania przed godziną zero.

Znamy się na tyle długo, że przestała być już dla mnie obca. Utrata jej w moim obecnym stanie emocjonalnym byłaby chyba gorsza od powieszenia na słupie.

Konsekwencji z tytułu zaniedbywania obowiązków nie ponoszę żadnych. Rex wydaje polecenia pro forma. Wszystko dzieje się na niby. Niby pracujemy, niby wierzymy, niby mamy nikłe nadzieje, że jednak to najgorsze nie nastąpi. Niby

W przededniu chrztu Piotr ogłosił naukę. Dawno już na żadnej nie byłem. Częściowo dlatego, że moja złość na Piotra przerodziła się w ignorancję jego osoby. Częściowo dlatego, że on sam, trwający na posterunkach nie miał czasu, by takie zorganizować. Na tą też nie miałem specjalnej ochoty się wybrać. Ale Abigail nalegała – Chodźmy, nawet jeśli to i tak ma nic nie zmienić. Może powie coś o jutrzejszej ceremonii? – Dałem się przekonać. Zabraliśmy ze sobą Dominika i Sally. Ludzi przyszło niewielu. To następna rzecz, która powinna mu dać do myślenia. Spóźnił się. Co gorsza facet nie wykląda już z taką werwą jaką miał kiedyś. Zdarza mu się zapominać o czym mówił parę minut temu i trzeba mu przypominać, powtarza się w wielu kwestiach. Kiedyś chciał być wszędzie, wszystkim doradzić, wszystkim pomóc. Teraz niektóre sprawy pozostawia własnemu losowi. Zupełnie jakby upodobił się do nas i zaczął wątpić. Co gorsza, nie jest już tym łagodnym dobroduszny Piotrem z przed roku. Kiedy nie jest dobrze usposobiony mówi stanowczo i nie sugeruje, że pewne rzeczy mogą się nie udać ale mówi o tym wprost. Szczególnie uczeplił się tego umierania i narodzenia na nowo. Nie wiem po co wciąż o tym mówi. I tak każdy wie, że coś nie wypaliło i nie jest tak jak powinno być. Może popełnił jakiś błąd, może to ludzie nie potrafią zrozumieć co jest tak naprawdę ważne, a może to Bóg coś przeoczył? Nie wiem. Żyjemy w przeświadczeniu, że Piotr rzeczywiście stracił kontakt ze swoim Bogiem. Po co jeszcze ludzi straszyć?

Dziś jednak nie zanoszą się na to, że będzie straszyl. Policzył nas wzrokiem. Wszystkich dwudziestu. Siada. Rozkłada notatki. Jeszcze raz nas „liczy”. Żadnych zewnętrznych reakcji. Grymasów, min czy uśmiechów. Chowa swoje kartki z powrotem. Widać zmienił zdanie co do tematu wykładu. Wysuwa krzesło przed biurko. Siada okrakiem.

- Powiem wam o miłości – mówi.

... miłość potrafi znieść upokorzenia, cierpliwa jest
nie chełpi się mądrością, nie napawa pychą
nie zazdrości,
wszystko wybacz, wszystkiemu wierzy
od fałszywego blasku ucieka
niczego nie oczekuje
miłość nie z oczekiwań ale z wiary jest
tylko wiara szczerą miłość poznaje ...

Koniec? A to się nagadał. Teraz czeka aż ktoś z przybyłych zabierze głos, by podjąć dyskusję. Cisza. Wszyscy wszystko rozumieją? Pytań nie ma? Wątpię. Mamy pytania ale one raczej dotyczą tego co się wkrótce z nami stanie, co on myśli o przyszłości, co to jest ten chrzest, który jutro ma się odbyć i co ewentualnie nam to da. Na temat miłości nikt nie otwiera buzi. Stosowniej by tu mówić o śmierci. Jaki zaś jedno z drugim ma związek? Żaden. Ja też się nie odzywam. Nie potrzebna mi nowa kłótnia.

Anioł Piotr dostrzega, że rozminął się z naszymi oczekiwaniami. Przestrzelił nasze nadzieje. Gaśnie jeszcze bardziej. Wstaje z krzesła. Jest smutny. On jest smutny! A my to niby jacy jesteśmy?!

- Przyjdziecie jutro na chrzest? – słyszę ciche, pełne obaw pytanie.

Znowu cisza. Unikamy się wzrokiem. Boże! Niech powie wreszcie, że to nas uratuje albo, że nie ma już żadnych szans na cokolwiek. Niech przestanie grać! Na co on czeka?! Niestety, nic takiego od niego nie usłyszymy. Nie składa, nie deklaruje żadnych obietnic. Co za osioł! Zaraz się porozchodzimy, bo co tu jeszcze jest do dodania i tyle będzie z jego nauki co czasu, który zmarnotrawiliśmy, by przekonać się, że nic nie ma do powiedzenia.

- Tak ... – słysząc nagle w tej ciężko strawnej ciszy.

Wszyscy odwracają głowy, by zobaczyć kto powiedział: „Tak”. Wszyscy patrzą w jedno miejsce Abigail?! Zmysł mnie nie myli, Abigail powiedziała „Tak”! Piotr uśmiecha się delikatnie. Ona do niego tak samo. Nie wiem co powiedzieć. Jestem zaskoczony. Może powiedziała to tylko, żeby go pocieszyć? Kiedy wracamy z powrotem bierze mnie pod rękę. Pierwszy raz jej się to zdarza od kiedy się znamy.

- Nic nie mów, Evan – prosi – wierzę, że on nas nie zostawi – Jest jakoś dziwnie podniecona, dziwnie zmieniona. Zupełnie jakby kamień spadł jej z serca, zupełnie jakby na to jedno „tak” czekała tu od chwili, kiedy tylko go poznała. Język świerzbi mnie niemiłosiernie. Ale czego bym dla niej nie mógł zrobić? Milczę.

Zawiedzione nadzieje

Abigail z Daphne i Sally od jakiegoś czasu szczebioczą w pokoju na piętrze, który zamknięty jest na klucz. W nocy odbywały tam jakąś naradę. Ja, Tristan i Dominik siedzimy na dole. Przy papierosie. Żaden z nas nie ma pojęcia co też tam się święci i skąd te wybuchy śmiechu. Jest tuż przed rozwidleniem. Idziemy zaraz na chrzest do kaplicy, a czujemy się przez nie tak, jakbyśmy wybierali się na imprezę. Może takie zachowanie to jakiś objaw depresji? Ludzie w sytuacjach, które delikatnie mówiąc, nie są dla nich najszcześniejsze, często zamiast płakać zaczynają się śmiać. Tak działa niezależny, niekontrolowany mechanizm obronny. Co one tak długo tam robią? Wreszcie schodzą. Wszystkie trzy są piękne ale Abigail ... o niebios! Dlaczego nie spotkałem jej wcześniej! Dlaczego nie spotkaliśmy się, kiedy było jeszcze normalnie! Ma na sobie długą czarną suknię zgrabnie dopasowaną do ciała. Z rozcięciem z boku sięgającym łydki. Kiedy schodzi po stopniach z gracją damy dworu, którą właśnie wywołano do najważniejszego tańca wieczoru, nie da się nie zauważyć jej fantastycznych nóg. A ja na punkcie kobiecych nóg mam fioła. To tak na marginesie. Rozpuszczone włosy swobodnie opadają na ramiona. Delikatny makijaż, podkreślone czerwienią usta, podkreślony wyraz niebiańskich oczu Jak wyjdziemy na ulicę będziemy wyglądać ździebko nienaturalnie. Prawie jak królowna i robotnik gospodarczy. Zawsze miałem zdolności do trafnych porównań. Ale nie chce mi się teraz o tym myśleć. Za taki widok, w tych czasach przychyła się nie tylko serca. Wstyd mi, że jestem ubrany „normalnie”.

- Dlaczego nic nie powiedziałyście? – mówię z wyrzutem – wyglądamy przy was jak patałachy.
- To miała być niespodzianka – mruga do mnie okiem. Podchodzi, robi „cmok” w mój policzek.
- I jest – potwierdzam – wyglądasz przepięknie.
Na ulicy, poprzez okna, słysząc szum wędrujących w stronę kaplicy ludzi. Mamy mało czasu ale decydujemy się szybko przebrać i dostosować do wymaganego poziomu. Teraz dziewczyny cierpliwie czekają. Z wyborem ubrań u nas krucho ale po chwili prezentujemy się całkiem nieźle. Teraz możemy iść.

Tak jak przypuszczałem wzbudzamy lekkie zdziwienie i niedowierzenie. Ale i mnie udziela się chyba jakiś przed depresyjny stan, bo im więcej osób się nam przygląda, tym bardziej mnie to bawi. Przed kaplicą tłok jak nigdy. Jak za czasów świetności tej budowli, czasów świetności Fryslyn. Ciężko się przebić. Rozpoznaje twarze. Te bardziej znajome i te mniej. W środku wszystkie miejsca zajęte.

Ludzie stoją nawet pod ścianami. Tego się nie spodziewałem. Byłbym mniej zdziwiony gdyby nikt nie przyszedł. A tu taki tłum! Są tu chyba wszyscy oprócz srebrzystych i Harisa, którego nigdzie nie dostrzegam. Stajemy początkowo w progach. Piotra jeszcze nie ma. Idę się rozejrzeć. Przechodzę przez ciżbę gapiów i ciekawskich, którzy dyskutują między sobą na temat ceremonii. Wracam. Komunikuje, że pierwszy rząd jest wolny. Nikt tam nie chce usiąść, bo to najbliżej Piotra. Stamtąd się zacznie udzielanie chrztu. Ludzie chcą najpierw zobaczyć na czym to będzie polegać, czekają na ochotników, króliki doświadczalne, które tam usiądą.

Będą patrzeć co się z nimi będzie działo.

- Idziemy? – pytam - Decyzja jest jednogłówna. Mamy tak pięknie wyróżniające się stroje. Dlaczego wszyscy mieliby ich nie zobaczyć? Ale i w nas jest pewnego rodzaju zachowawczość. Nie siadamy na początku rzędu ale na końcu. W miejscach o numerach, jeśli można by, to tak określić, od siódmego do dwunastego. Sześć najbliższych jest jeszcze wolnych. Pojawia się „mamuśka”. To znak, że wkrótce pojawi się i Piotr. „Mamuśka” zabiera ze stołu uprzednio przygotowaną tam małą misę. Z przezroczystej butelki nalewa do środka wodę. Odstawia z powrotem misę na stół. Kładzie ją z namaszczeniem. Ładnie. Na serwetce, którą ze sobą przyniosła. Siada na krześle za stołem. Czekamy. Jest Piotr! Wchodzi bocznymi drzwiami, żeby nie przepychać się przez tłum. Nie wzrusza go, że tylu ludzi przyszło do kaplicy. Zachowuje się tak jakby to była normalna, jakby nie pamiętał, że przez ostatnie miesiące świeciła prawie pustkami. Jak jeden mąż gwar przycicha. Piotr klęka przed stołem. Wstaje. Bierze naczynie ostrożnie w obydwie dłonie. Unosi nad głowę. Modli się. Woda w naczyniu to chyba święconka. Nadaje jej moc. Wytrzymuje w tej pozycji dość długo. Widzę, że stara się skoncentrować i skupić na modlitwie. Tłum też to dostrzega. Cichnie zupełnie. Oto zaczęło się! Opuszcza ręce ale nie odkłada naczynia z powrotem. Trzyma je przed sobą na wysokości klatki piersiowej. Jakby to była najcenniejsza rzecz jaką kiedykolwiek posiadał.

- Pomódlmy się wspólnie – mówi i zaczyna intonować słowa modlitwy do Ojca. Tej, której nas nauczył, a o której już prawie zapomniałem. Tłum modli się niemrawo i bez przekonania. Jednego Piotra słyszeć lepiej niż nas wszystkich. Z naszej strony bardziej przypomina to, słabo artykułowane: „mru, mru, mru”. On mówi głośno i wyraźnie. W czasie modlitwy ktoś przemyka przede mną i zajmuje miejsce w pierwszym rzędzie obok nas. Oczom nie wierzę! To Rex! Ale numer! Co na to Piotr? Czy zdecyduje się ochrzcić zdrając? Rex to okropnie przebiegła szuja. Z jednej flanki kombinuje z żołnierzami, a z drugiej przychodzi po chrzest do Piotra. Zabezpiecza się jak może, żeby ratować swój tyłek. Ciekawe czy jego kumpel Haris wie co on teraz robi? Bydlę. Ktoś jeszcze zajmuje pozostałe miejsca ale nie widzę kto to taki. Kończymy modlitwę. Jeszcze tylko chwila zastanowienia ze strony Piotra, czy aby niczego z ceremoniału nie pominął i już kieruje swe kroki do pierwszej osoby z początku rzędu. Ludzie wstrzymują oddechy. Kątem oka dostrzegam, że pochyla się nad tym człowiekiem i coś doń mówi. Człowiek kiwa głową, zsuwa się z krzesła i klęka. Teraz dopiero Piotr przystępuje do chrzczenia. Macza palce prawej ręki w miseczce. Skrapia pochyloną głowę. Wkłada na nią dłoń. Z półprzymkniętymi oczami szepcze słowa jakiejś modlitwy. Następna osoba zsuwa się z krzesła Tej już nic nie mówi. Wie sama, że ma uklęknąć. W dalszym ciągu jest cicho jak makiem zasiał. Gawiedź zaciekawiona obserwuje z biciem serc co się dzieje. Następna osoba. Chciałbym zobaczyć jak wygląda tych dwóch pierwszych, którzy są już po zabiegu ale Piotr mi ich przesłania. Nie wypada mi jakoś wychylać się z szeregu. Bez powodu gapię się na „mamuśkę”, która wciąż siedzi przy stole.

Czekam na swój czas. Kiedy Piotr jest przy REXIE, słyszę pierwsze szepty z tyłu, które są jak szeleszczenie papierów w kinie. Przeszkadzają. Jeszcze niemrawe, niepewne ale z wolna rosną w siłę. Coś się dzieje. Nie wiem czy to z powodu chrztu ten szum, czy za moimi plecami ukrywa się jego przyczyna. Może to Haris rozrabia? Piotr minął Sally. Stoi teraz nad Abigail. Rex ochrzczony! I po co Piotr kłamał, że mamy dbać o swój wybór, że mamy starać się być dobrymi ludźmi? Przecież ten człowiek, to dokładne zaprzeczenie jego przykazań. Tymczasem potraktował go bez problemów. Jak znajomego. Jak kochankę, której szybciej wybacza się niż pamięta popełnione zdrady. Szybko idzie. Za chwilę nadejdzie moja kolej. A z tyłu to już nie jest szum. To bunt, oburzenie, złość. Wszystko razem. Słyszę trzask odsuwanych krzeseł, wyzwiska. „Skandal!” – krzyczy ktoś po prawej stronie.

Zaniepokojony nie na żarty unoszę nieco pochyloną głowę. Starałem się choć krótki czas myśleć o Bogu. O tym czy rzeczywiście istnieje, a jeśli tak, to czy jest jeszcze zainteresowany naszą sprawą, czy też może to tylko i wyłącznie inicjatywa jego zagubionego posłańca? Kiedy chrzci Abigail, znacznie unoszę głowę. Poznaje powód tego rwetesu. Piotr nad głowami chrzczonych czyni na koniec znak krzyża. Wszyscy wiedzą już, że nie mówi się, iż nasi wisieli na słupach ale zostali ukrzyżowani. Tak brzmi poprawna nazwa. A więc o to mu chodzi? Sprzedaje nasze dusze w majestacie praw swojego Boga. Naznacza nas do ukrzyżowania w myśl zasady, lepiej niech zginie kilku niż wszyscy. To w taki sposób mamy umrzeć, żeby narodzić się na nowo? Przez ukrzyżowanie? Teraz mam już jasno wyklarowany obraz, dlaczego on nigdy nie chciał mówić o przyszłości.

Chciałbym coś zrobić. Zaprotestować. Wycofać się. Stanąć kilka metrów wstecz. Tam gdzie soi teraz większość. Ale już za późno. Już klęczę. Już trzymam dłoń na mojej głowie. Krople wody spływają po moim czole. To nie pot ani łzy. To święconka. Słyszę: „Ja ciebie chrzczę w imię Ojca” Bezmyślnie wpatruję się w odrapane, rozdeptane buty anioła. On cofa dłoń. Wiem, że teraz mnie „krzyżuje”. Siadam. Spoglądam na Abigail. Miny mamy doprawdy nieszczególne. Przeklinam swoją głupotę, ten głupi stój w który się ubrałem. Tak samo jak Abigail miałem tę nikłą, ostatnią nadzieję, że dziś stanie się cud, że się wszystko odwróci Piotr zatrzymał się na końcu pierwszego rzędu. Nikt do niego nie chce już podejść. Wyzywają go, grożą mu. Plują na niego. Piotr wodzi szklistym wzrokiem po wzburzonym tłumie. Nie protestuje. Zdaje sobie chyba sprawę z tego, że nikt go teraz nie będzie słuchał. Znosi się na lincz. Zostaje trafiony rzuconą skądś z pod ściany częścią połamanego krzesła. Uderzenie otrzymuje w ramię.

Wytrąca mu ono z rąk naczynie, które z brzękiem rozbija się i rozsypuje po podłodze rozlewając cenną wodę. Kiedy ruszą po niego nie kiwnę palcem. Może w tej swojej wszechwiedzy i kłamliwej nieomyślności zrozumie wreszcie co narobił. Do czego nas doprowadził. Chciałbym, żeby choć przez chwilę zrozumiał. Jakiś dryblas wali go pięścią w twarz. Utrzymał się na nogach ale z jego ust cieknie krew. Stara się ją otrzeć rękawem ale tamten odtrąca jego rękę. Znowu robi zamach „To za mojego brata z konwoju” – wypomina mu, nie zdąży jednak zadać ciosu. Nagle krzyk ostry jak ciecie brzytwy rozcina powietrze, wstrzymuje wszystko. Do kaplicy wpada jeden ze srebrzystych. Jest cały zdyszany, przerażony i rozdygotany. Przepycha się przez tłum nie bardzo wiedząc, co oznacza jego zdenerwowanie.

- Piotrze!, Piotrze! – krzyczy na całe gardło – płonie nasz posterunek na północy! Tego chyba nikt nie przewidział. Co teraz robi Piotr? Stoi podparty jedną ręką o krawędź stołu. Drugą ociera zakrwawione usta. Widać, że jest wystraszony tym co zaszło. Wzrok ma rozbiegany, trudny do uchwycenia. Srebrzysty stoi przed nim z wciąż wyciągniętą ręką ku wyjściu. Tłum rozstępuje się. Wybiegają. Nie słychać nic poza odgłosem butów Piotra uderzających w bieżący o posadzkę. Ale i ten odgłos niknie, kiedy przekraczają próg kaplicy.

- Co teraz będzie? – pyta mnie Abigail. Siedzimy na ławce przed domem. W płaszczach. Jest już późno, ciemno i chłodno. Od chrztu nie zdążyliśmy się jeszcze przebrać. Właśnie przed chwilą przynieśli wiadomość, że Piotr nie żyje.

Przy knajpie Haris urządza festyn. Triumfuje. Jego największy przeciwnik przestał istnieć. Nie ma mu kto w tym przeszkodzić. Rada Miasta już nie istnieje. Rozwiązała się bez żadnego dekretu, rozeszła do domów. Rozsypała się tak, jak rozsypało się całe Fryslin. Kawalek po kawaleczku. Nie ma już co zbierać. Nie ma już do czego wracać. Nie ma już społeczności. Teraz są jednostki, podziały. Haris sypie obietnicami jak z rękawa. Nie mówi wprost, że jest żołnierzem, nie przyznaje się ale zapewnia: „Teraz ja was obronię, ja się za wami wstawię! Bądźcie wolni, róbcie co chcecie, natury ludzkiej nie da się oszukać! Musicie sami o sobie stanąć! Miasto należy do was!”

Nie wiem czy ktoś w to wierzy ale wszyscy pragną nowego, charyzmatycznego przywódcy, który będzie im mówił co mają robić. Piją, tańczą, poklepują się po plecach: „Ten Haris, to łebski gość.” – słychać – „Na pewno dogada się z tamtymi”, „Wszyscy nie mogą umrzeć. Pewnie zabiorą tylko tych, co poszli za Piotrem do chrztu”. „Sami się pchali”. „Nikt im nie kazał”. To okropne ale takie właśnie plotki ludzie sami tworzą na potrzebę chwili, by ratować, zagłuszyć zmysł rozpacz, który rozdzwonił się w nich złowrogą niepewnością.

- Nie wiem – mówię wreszcie – Nie wiem co teraz będzie.

Słyszę samotne, krótkie chlipanie a w nim wdzięczną nutę żalu. Wdzięczną, bo to żal prawdziwy. Za wszystkim. A ja taki właśnie żal znam. Dławiący, przejmujący tak pałacy, że niczym go ugasić. Żadnym pięknym wspomnieniem.

- Szkoda, żebyśmy umarli – odzywam się. Nie mam złudzeń co do siebie. Piotr mnie ostrzegał, a z Harisem mam na pieńku. Jeśli w ogóle ktoś przeżyje, to nie będę to ja. Jakoś tak skonstruowany jestem, że nawet zaczyna mi to wisieć. Bardziej martwię się o Abigail. Martwię się o to, co z nią będzie. Tu kryje się mój prawdziwy smutek. Przypominają mi się słowa o miłości, które powiedział Piotr.

... miłość nie z oczekiwań ale z wiary jest ...

Odszukuje jej dłoń w ciemności. Nie chce tak po prostu poddać się. Samobójstwa to zdecydowanie nie mój konik. Nawet te wymuszone. Nie mogę poddać się teraz. Miasto umiera ale we mnie dopiero wszystko się zaczyna. Mój stos atomowy gore!

- Dlaczego się śmiejesz?- pyta i przestaje chlipać. Nie znam lepszego hamulca na kobiece łyzy.
- Co myślisz o miłości? Wiesz o takiej miłości, która mogła by być między Tobą a mną – zagaduję.
- To jeszcze jej nie ma? – lubię ją za te żarty.
- A jest? – sam pytam ale już poważnie. Po chwili zastanowienia wpadam na pomysł – Powiedzmy to razem. Na trzy, cztery. Zgadzasz się?
- W porządku – przystaje. Nabieramy powietrza w płuca. Mówię umówione „Trzy, cztery”, I zamykam usta. Słyszę niebiańskie „Kocham Cię”.
- Evan! – jest zła – oszukałeś mnie. Nic nie powiedziałeś.
- Nie Abigail – zaprzeczam – Nie oszukałem cię. Chciałem, żebyś powiedziała to pierwsza. Ja też Cię kocham.

Pocałunek, który łączy w następnej chwili nasze usta jest przez nas oboje z dawna oczekiwany. Jest długi i piękny.

- Chodź – zabieram ją z ławki – Wracajmy do domu. Mam przecucie, że taka noc już się więcej nie powtórzy.

Kilka minut później zostawiam ją w pokoju. Idę załatwić coś do picia, a o co dziś wcale nie jest trudno dla nikogo.

Wręcz przeciwnie, do dobrego tonu należy się zalać. Dino, bo to u niego dokonuje transakcji, nie ma do mnie żalu za to, że walnąłem go kiedyś w pysk. Jest przecież prawą ręką Harisa. Nie ma się czego bać. To on mnie żałuje.

Pyta czy będę pił, bo przecież nigdy mnie jeszcze nie widział z kielichem. - Tak – odpowiadam bez cienia wątpliwości. Idę pić i kochać się.

Kiedy wchodzę Abigail leży na łóżku. Zamykam drzwi na klucz. Dominika i Sally i tak co prawda nie ma, ale po co mają nam przeszkadzać jak już się zjawią. Może poszli na balet do Harisa? Wątpię, żeby go popierali lub przyłączyli się doń. Raczej stoją z boku i przyglądają się.

- Przyniosłem wódkę, zwykłą, czystą, może być? - pytam sam nie wiem po co, bo już po fackie – Mieli duży wybór ale wziąłem wódkę – mówię - Sok mamy w kredensie.

Abigail jak kotka na słonecznym, blaszanym dachu w ciepłe popołudnie przechyla się na bok podpierając na łokciu.

- Może być - odpowiada – Chce mieć tylko coś co mnie podkręci.
- O to się nie martw – zapewniam ją – mam niesamowitą wyobraźnię. Gra wstępna to mój ulubiony temat miłosny.
- Brzmi nieźle – chichocze – Od czego chcesz zacząć?

Wolną ręką uchwyciła kosmyk rozpuszczonych włosów. Przygryza je teraz zębami w kokieterijnym geście.

- Od czegoś co cię podkręci – przedrzeźniam ją – A potem chcę spróbować wszystkiego. Jesteś na coś takiego gotowa?

- Myślisz o czymś czym mógłbyś mnie zaskoczyć? Chyba nie ma takiej rzeczy. Nie mam już osiemnastu lat.

Podaje jej uprzednio przygotowanego drinka. Odbiera go ode mnie jednocześnie siadając na brzegu łóżka.

- Nie za mocny? – pytam. Robi łyk. Kiwa przecząco głową.
- Jest w sam raz.

Ze swoją szklanką siadam obok. Rozcięcie w jej sukni wcale nie jest teraz na boku. Znajduje się bliżej środka. Jej zgrabna noga odsłonięta jest aż do górnej części łydki. Boże! Co za nogi!

- Mówisz więc, że w tej sztuce nie ma przed Tobą tajemnic? – staram się podjąć przerwany wątek. Podnoszę szklankę do ust. Zanim się napije przesuwam językiem po jej zimnej krawędzi.

- Nie. Grali ją na całym świecie tak samo. Jakie tu mogą być tajemnice? Wszystko zależy od aktorów, którzy biorą w niej udział. To oni sprawiają, że za każdym razem jest inna, że wciąż chce się ją grać, że wciąż ma powodzenie.

Delikatnie kładę dłoń na jej nodze, tuż nad kolaniem. Choć chciałbym, nie mogę jej upilnować w miejscu. Przesuwam ją w górę rozcięcia potem znów do kolana. Odkłada pustą szklankę na bok. Przysuwam się bliżej. Nasze usta stykają się w pożądaniu. Chciwie i łapczywie czerpią z pucharu miłości. Zdejmuję koszulę. Jej pomagam zdjąć sukienkę. Ma wspaniałe ciało, którego doskonałą reklamą są jędrne, rozchylone piersi. Pachnie kobietą. Schodzę ustami po jej szyi właśnie do nich. Ujmuję jej nabrzmiałe sutki. To jak spijanie nektaru z rzadko spotykanych kwiatów. Pieszczę je czule słowem języka, delikatnie muskam zębami. Jej ręce wędrują po moich plecach, po karku, jakby szukały punktu oparcia, którym można by zahamować wzbierające podniecenie. Odchylam ją na łóżko, tak aby mogła podeprzeć się na łokciach. Muszę pamiętać, że to gra. Niech drży i czeka. Niech wzbiera w niej ogień namiętności. Niech przestanie go kontrolować.

- Evan ... – słyszę, krótki, szybki szept wypowiedziany końcem urywanego oddechu. Unosi dłoń jakby chciała mnie powstrzymać ale tego nie da się powstrzymać. Opanowują ją skryte żądze pragnień. Całuję ją czule, namiętnie, delikatnie. Podsycam pożądanie. To jak zaproszenie, jak zgoda na przeżywanie wiecznej, niekończącej się miłości.

Oddycha śpiesznie, błękitnie, z namaszczeniem. Ujawnia się jej temperament. Tak! Niech będzie to czyste, zupełne, wyrafinowane szaleństwo!!!

Wyczerpani, spełnieni, we wspólnych objęciach zasypiamy, co wydawać się może nielogiczne, jak dwa niewiniątka.

Budzi mnie niezrozumiały, niepokojący odgłos. Taki, który ledwo słyszysz ale wiesz, że to nie jest typowy odgłos nocy uśpionego miasta. Nauczony doświadczeniem wiem, że taki odgłos nie wróży nic dobrego. Abigail śpi na boku w drugim końcu łóżka. Po omacku, na bosaka, podchodzę do okna, bo to stamtąd dobiegają mych uszu podejrzone hałasy. Nie mam wątpliwości. Gdzieś się pali. Pryska we mnie czar upojonej nocy. Podnoszę okno w górę. Wyglądam co się dzieje. Natychmiast cofam głowę do środka. Wewnętrzny krzyk ściska mi gardło jak stalowa obręcz. Abigail na wpół podparta rękami już nie śpi.

- Co się dzieje? – pyta zaniepokojona. Ja zaś nie mam odwagi jej powiedzieć. Schodzi z łóżka. Próbuje tak jak ja wyrzucić na ulicę. Powstrzymuję ją.
- Nie patrz – mówię, kręcąc głową.
Nie rozumie.
- Nie patrz – powtarzam – On tam jest

Nie chodzi mi tu bynajmniej o żołnierzy, czy o Harisa. Nad miastem w oddali stoi bestia we własnej osobie. Jak góra, która nagle, znikąd wyrosła, której nikt się nie spodziewał choć mówiły przepowiednie, że kiedyś to się stanie. Kołysze się na boki, tak samo jak w Sierra Tann, jakby trudność sprawiał jej własny ciężar. Skóra potwora w jaką się przyoblekła, jest sinoniebieska, tors muskularny, a twarz tak samo ohydna. Zdaje się węszyć w poszukiwaniu żywych, ciepłych jeszcze dusz. Jest jak kłusownik na łowisku, który przyniósł ze sobą sieć i pewny jest łowów, bo donikąd z tej sadzawki uciec nie można, bo wcześniej spuścił z niej wodę. Pałace się domy od zachodu miasta oświetlają jej twarz. Pośród bruzd wystające wielkie oczy z uwagą wypatrują ruchu, a za tym pierwszych ludzi, którzy mogliby stać się jej ofiarą. Skończył się sielski i anielski czas spokoju. Czas nawrócenia minął. Bestia obudziła się ze snu. Ziejąc gniewem i nienawiścią jak smok piekielny przybyła na ucztę dusz.

Ostatnia noc

Nad miastem jak nagły grzmot w bezchmurny dzień, szkwał w gwiazdziste niebo, przetacza się jej ryk. Domy drżą w posadach. Jestem pewien, że teraz już nie śpi nikt. Oczami wyobraźni widzę wyrwanych ze snu, zdezorientowanych ludzi. Którzy w swych domach jak zwierzęta w klatkach miotają się do okien i drzwi. W poświacie oddalonego ognia dostrzegam twarz Abigail.

- To już koniec, prawda? – mówi do mnie jakby chciała się upewnić. Oczy zachodzą jej mgłą. Chciałbym ją przytulić, pocieszyć ale jakich słów mam użyć, by pokonać tak wielki strach? Tak beznadziejną sytuację. Mam ją pocieszać pustosłowiem, frazesami, które nie mają teraz żadnej miary? Co mam jej powiedzieć? Tak? To koniec? To będzie jak przyzwolenie, jak zgoda na naszą zgubę! Przecież to tak jakbym ją zdradził po naszej pierwszej wspólnej nocy. Nie o to mi chodzi. Moja miłość chce żyć!
- Musimy uciekać – mówię zamiast pocieszeń.
- Uciekać? – powtarza – Dokąd? – siada na łóżku i zaczyna płakać. – Dokąd mamy uciekać? Już po nas – biadoli - Skończyło się... .
- Nic się jeszcze nie skończyło! – krzyczę ostro. Muszę jednak tchnąć w nią jakąś nadzieję.– Nie po to Cię pokochałem, żeby teraz położyć się z Tobą na stosie i czekać aż podłożą ogień. Musimy się ratować! – mówię z naciskiem.

Sam przed sobą zgrywam bohatera, który wrzaskiem próbuje dodać sobie odwagi. Ale taki krzyk jest orzeźwiający. Odbudowuję zdolność działania. Nawet gdyby na pierwszy rzut oka wydawało się ono bezsensowne. Szczerze powiedziawszy jednak nie bardzo wiem dokąd mielibyśmy uciekać.

- Piotr nie żyje – Abigail dalej biadoli ocierając coraz szybciej płynące łzy – Nikt nam nie pomoże Zostaliśmy sami. Oni zaraz tu przyjdą. On nas zobaczy, nie pozwoli uciec... . Rozbieganymi ze strachu rękoma wciągam spodnie na tyłek. Zakładam koszulę.
- Ubieraj się – mówię podając jej ubranie ale nie zwraca na mnie uwagi. Rany, żeby tylko się nie załamała! Wciąż chlipie. W końcu siadam obok. Obejmuję ją ramieniem.
- Abigail, proszę Cię ... ubierz się – przemawiam do niej najczulej jak tylko potrafię. – Musimy stąd uciekać, a im szybciej tym lepiej, zaraz wybuchnie panika. Wszyscy zaczną uciekać, chyba nie chcesz tu zostać? To nie może być tak, żebyśmy mieli umrzeć. Proszę Cię, wstań – powtarzam.
Jeszcze się waha.
- Nigdy na nic nie jest za późno – podsycam w niej mały, gasnący płomyk nadziei – zawsze jest jakieś wyjście. Przecież gdyby nie to wszystko, nigdy byśmy nie trafili na siebie. Może teraz to jest nasza chwila, nasz czas, przez który musimy przejść razem, bo w pojedynkę nie dalibyśmy sobie rady. Widzę, że bez przekonania ale zaczyna się ubierać. Przestała płakać. Wkładam ręce do kieszeni spodni. Gdzie są moje kluczyki od samochodu?! Gorączkowo obmacuje całe ciało, przetrząsam miejsca w pokoju w które mógłbym je schować. Nie ma! Mój samochód gotowy do drogi stoi na podwórzu. Tak jak inni w tajemnicy, która nie była tajemnicą, przygotowałem go na taką ewentualność. Ale co z tego? Nie mam tych cholernych kluczyków. Otwieram drzwi na korytarz. Wołam na Dominika. Cisza. Nie wrócili na noc do domu. Przebiegam na koniec korytarza. Wyglądam przez okno. Ich auto stoi obok mojego. Może już nie żyją? Wracam do pokoju. Abigail stoi ubrana. Muszę poddać ją ciężkiej próbie.
- Abigail – staram się mówić spokojnie i wolno, bez zdenerwowania – moje kluczyki do auta są na posterunku – Zróbmy tak – nie daję jej czasu na to, by znów zaczęła się bać. Grunt to jasny, prosty, pewny plan – Zejdiesz na dół i będziesz tam na mnie czekać. Ja w tym czasie skoczę po nie i przyskamy stąd. Dobrze?
Kiwa głową. Wiem, że myśli teraz, że to kolejne zrządzenie losu na naszą zgubę. Chce już wyjść ale jeszcze odwracam się przez ramię.
- Przyrzeknij – mówię – przyrzeknij, że będziesz czekać - chce mieć pewność, że zrobi dokładnie tak jak powiedziałem.
- Przyrzekam – mówi cicho. Nie podoba mi się, że tak cicho ale nic innego z niej nie wydobędę.

Zbiegam po schodach w dół, po dwa stopnie. Byłe szybciej. Posterunek blisko ale diabli wiedzą co może się zdarzyć. Ulice jeszcze puste. Słysząc już jednak krzyki, nawoływania, trzaski drzwi. Frysłyn szykuje się do ucieczki. Pali się gdzieś w niezamieszkałej części miasta. Akurat z wiatrem. Dymu nie widać ale czuję smród spalenizny. Nie wiem, czy bestia może zauważyć mnie z tej odległości. Na wszelki wypadek przemykam chyłkiem pod ścianami budynków. Dostrzegam, że jest teraz znacznie agresywniejsza niż wtedy, kiedy wyglądałem przez okno. Wie, że łowy za chwilę się zaczną, że spłoszona zwierzyna zacznie opuszczać swoje kryjówki i stanie się łatwym celem. Przeskakuję przez płot na którym o mało co nóg nie łamię, bo zastaje mnie na mim jej powtórnny ryk. Włosy jeżą mi się na głowie. Przypominam sobie jak uciekałem przed nią pod Sierra Tann. Aż dziw bierze, że jest we mnie teraz tyle odwagi. Dopadam wreszcie do drzwi posterunku. Znajomi policjanci przyszli tu szybciej niż ja. Pakują na gwałt za paski pistolety, wciskają amunicje do kieszeni. Tylko Rex ma minę nieco markotną. Nie ma się co dziwić. Chciał zabezpieczyć się z każdej strony i przyjął z rąk Piotra chrzest. Tak jak i ja, został więc przeznaczony do ukrzyżowania. Może Haris nie chce mu tego wybaczyć?

- Widzieliście bestię? - rzucam krótko. Pewnie, że widzieli. Pytam tylko po to, by dowiedzieć się co zamierzają.
- Spieprzamy stąd – odkrzykuje mi Gerard. Tego mogłem się domyślić ale ciekawi mnie dokąd.
- Macie jakiś plan? – dopytuję się. W tym czasie jestem już przy swoim biurku. Zaczynam otwierać szuflady.
- Jaki plan? – dziwi się – Po prostu spieprzamy stąd i już. Przecież nic nie ma poza Fryslin. Trzeba będzie ukrywać się na zewnątrz. Najpierw jednak musimy się stąd wydostać. W kupie pozabija nas jednym kłapnięciem.
- A może jest jeszcze jakieś miasto? – wyraża swoją nadzieję Simon – tylko Piotr nam nie powiedział? Pamiętacie tych co tu przyjechali i nie chcieli z nim zostać? – zapala się – Może mają jakieś swoje miasto?
- Gówno nie miasto – odzywa się Rex - Wszyscy macie gówno w głowie! Nic nie ma. Tamci już dawno nie żyją. Wymyślmy coś, żeby go powstrzymać. – ma na myśli szefa diabłów. Ciekawe jak on chce z nim rozmawiać? Przystawi sobie trzydziestometrową drabinę, żeby bestia mogła go lepiej widzieć i będzie z nią prowadził konwersacje? Chce żebyśmy ją przekonali, coś wymyślili ale drań tak samo zbiera się do drogi jak inni. Chyba sam nie wierzy w to co mówi.
- Ktoś widział moje kluczyki od wozu? – pytam pierwszy raz, bo nie mogę ich znaleźć, a pewny już teraz jestem, że ostatnio widziałem je w biurku. Nie odpowiadają. Mają już dosyć rządów Rexa. A może to chwila napięta jak struna przed zerwaniem tak na nich działa?
- Sam masz gówno w głowie – odcina mu się Pablo. Taki z ciebie szef policji jak ze mnie szewc. Myślisz, że nie wiem jak to sobie załatwiłeś? – „Oho” - myślę. Zaraz zaczną się bić. Ale wtedy na posterunku pojawia się Fred. Co on tu robi? Szepczą coś sobie z Rexem do ucha. Ta komitywa nie jest pospolita. Coś knują. Staram się nie zwracać na nich uwagi ale pamiętam, że muszę być ostrożny.
- Ktoś zabierał moje kluczyki z biurka? – pytam drugi raz. Znowu nikt mi nie odpowiada. Każdy zajęty jest ratowaniem własnego tyłka. Robi mi się gorąco. Muszą gdzieś tu być. Muszą!
- Żołnierze wchodzą do miasta! – krzyczy od drzwi Rex. Informacja działa na chłopaków jak uderzenie bata. Gubiąc po drodze część sprzętów wybiegają z posterunku. Będą uciekać jednym samochodem. To Fred przyniósł mi wiadomość o żołnierzach? Zrobił się z niego społecznik, czy co? Od kiedy? Gdzie te zasrane kluczyki!!! Denerwuje się coraz bardziej, bo przecież Abigail jest tam sama. Czeka na mnie! Wywaliłem z szuflad i półek wszystko co tylko było możliwe. Na podłogę. Na blat. Nie ma! Będziemy musieli zabrać się z kimś albo będę musiał komuś dać w ryja i zabrać mu samochód. Może Rexowi? Dobry pomysł! Przekonuje się do tego pomysłu coraz bardziej, kiedy nagle słyszę:
- Tego szukasz?
Unoszę głowę w górę. Rex i Fred stoją opodal. Ten pierwszy ma dłoń uniesioną w górę na wysokość ramienia. Dwoma palcami trzyma uchwycony breloczek z moimi kluczami. Klucze dyndają swobodnie u jego palców, jak wisienka nad kompotem. Ten drugi pysk ma rozdziawiony w triumfalnym uśmiechu. Domyślam się, że tak jak Dino puścił w niepamięć naszą bójkę tak ten uznał, że nadszedł dobry czas na to, by wyrównać rachunki. To jednak nie społecznik. Ale czego mogłem się spodziewać? Niedobrze. Nie teraz palanty!
- Co to ma znaczyć? – pytam drżącym głosem – Oddaj kluczyki.
- Nic z tego – mówi Rex. Fred wyjmuje spod kurtki pistolet. Widzę, że to nie przelewki. Chcą mnie naprawdę załatwić.
- Dlaczego je zabrałeś? O co ci chodzi? – dociekam. Staram się zbliżyć do niego. Wyrwać mu je. Fred celuje we mnie swoją broń. Daje mi znak, żebym nie podchodził bliżej.
- Jesteś mordercą – oznajmia mi Rex –To ci nie może ujść bez kary.

- Ja mordercą? Co ty bredzisz?! – denerwuję się, bo czas ucieka. Jest go coraz mniej – To ty chciałeś mnie zabić razem z prawdziwym Harisem w Barry Town – natychmiast uprzedzam jego myśl.
- To nie był mój pomysł – przeczy – Ja nigdy nikogo nie chciałem zabić. Jestem jaki jestem ale na pewno nie jestem mordercą. Nigdy nikogo nie chciałem zabić – powtarza. Kiepskie to usprawiedliwienie – Chciałem ratować miasto, bo Piotr zwariował – ujawnia swój rewelacyjny, twórczy wymysł.
- Pieprzenie. Oddaj klucze! – wrzeszczę na niego – Z kim ty się zadajesz? Z żołnierzami? I ty mówisz, że nie jesteś mordercą? A ty – tu zwracam się do Freda – zastanów się co robisz. Myślisz, że tak łatwo jest kogoś zabić?
- Ty mi powiedz – odcina się
- Co ci mam powiedzieć?! – nie wiem o co im chodzi, co to za dziadowska kombinacja. Może działają z polecenia Harisa?
- Nikogo nie zabiłem! – Mam już tego dosyć.
Obydwaj wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.
- A list?- pyta Rex.
- Jaki list? – Boże, do czego oni zmierzają! Czyżby Fred nie szukał tylko zemsty za mordobicie w pubie? Rex wyjmując z kieszeni pomietą kartę zapisanego kancelaryjnego papieru. Rozpościera ją bacznie mi się przyglądając. Chyba oczekuje jakiejś reakcji ale ja nie mam na co reagować, bo nie wiem co to jest. Zaczyna czytać: „Droga Emmo! Byłem akurat w pracowni, kiedy pod nasz dom zajechał samochód. Zakurzony i brudny ... „
- Wystarczy? – pyta – Znalazłem go w twoim biurku. Może nie twój? – pokpiwa sobie.
Ja zaś jeszcze nie rozumiem ale powoli zaczyna do mnie docierać do czego zmierzają. Ten list rzeczywiście trzymałem w biurku. Teraz przeklinam własną głupotę. Trzeba było go wyrzucić.
- Tak się składa, że Fred był kiedyś w Isoleprint na wypadzie – ma na myśli konwój – I tak się składa, że widział co zrobiłeś temu starcowi. Zabiłeś go w taki sposób jak zabijają żołnierze. Stary przyjął cię gościnnie, a ty ukrzyżowałeś go w bestialski sposób – nie spuszczają ze mnie oka – Jesteś w spółce z Harisem?
- Ja?! – zatyka mnie. Przecież to oni są jego pomagierami!
Rex jakby odgadł powód mojego zdziwienia.
- Nasza współpraca z tym draniem już nie istnieje – tłumaczy - już się skończyła. Haris obiecywał ratunek ale wyszło na jaw, że kłamał. Zabiliśmy go za to, ale uciekł do swoich. Na szczęście mamy ciebie morderco! – kontynuuje dalej – Gdyby nie przypadek, gdyby nie moja rozmowa z Fredem, gdybym nie znalazł tego listu – tu macha dowodem w powietrzu – nigdy byśmy nie skojarzyli faktów i nie dowiedzieli się coś ty za jeden. Piotrowi w dupę włożyłeś – wyrzuca mi – a wyrok na siebie trzymałeś w szufladzie? To duży błąd. Rajcuje cię trzymanie pamiątek po swoich ofiarach?
Nareszcie mogę coś powiedzieć.
- Nie rozumiecie ... – będę się starał im to wyjaśnić – To pomyłka!
- A jakże! – podejmuje Fred – Miałem złudzenie optyczne. Ciekawe czy mieli je też inni, którzy byli tam ze mną?
- To pomyłka – powtarzam i płacząc się niemiłosiernie, bo zaraz mówię, że rzeczywiście byłem w Isoleprint ale to było zanim w ogóle dotarłem do Fryslyn. Zanim dowiedziałem się, że Fryslyn w ogóle istnieje – Kiedy tam przyjechałem stary już nie żył – tłumaczę – Ten list znalazłem na stole i stamtąd go zabrałem – mówię prawdę. Tak było.
- A po co go zabrałeś?
- Nie wiem – wzruszam ramionami. Gdybym go nie zabrał nie byłoby sprawy.

Myślę, że dlatego, iż stary choć martwy był pierwszym człowiekiem jakiego widziałem po wielu dniach spędzonych w samotności. Przez ten list czułem jego jeszcze niedawne życie, za którym tak tęskniłem.

W mieście już słyhać strzały, rozpędzające się samochody, nawoływania pełne przerażenia. Hordy żołnierzy wdzierają się między budynki. Rex odwraca głowę od okna. Na szczęście, jakby na przekór hałasom za oknem nic jeszcze nie widać.

- Dobra – mówi – czas go zabić, bo nie zdążmy uciec - Fred przytakuje milcząco. Odbezpiecza pistolet. Mnie robi się słabo. Nie chcę ginąć w taki sposób. W dodatku jako niewinny człowiek. Nie takie miałem plany. Jak ja wytłumaczę to Abigail?

- Idź – Fred ponagla Rexa – odpalaj samochód. Ja to zrobię.

- Zaraz! Stójcie! – krzyczę, a jest to jak uderzenie siekiery w stół – Skoro tam byłeś – mówię do Freda – to powinienś widzieć też obraz, portret mordercy – przypomina mi się – Tamten kazał się sportretować staremu przed śmiercią! Tak jest napisane w liście – chcę, żeby Rex odszukał ten fragment – Prawdziwy morderca jest na obrazie! Rex najwyraźniej wie, że coś takiego jest tam napisane, bo nie sprawdza. Ale on nie widział obrazu.

- Widziałeś ten obraz? – pyta Freda

- No pewnie - odpowiada jego współnik. Ja zaś mam nadzieję, że teraz się wszystko wyjaśni i będziemy mogli wreszcie stąd wyjść.

- To był on – pokazuje na mnie. Gniew nieporównywalny z niczym zalewa mnie jak tornado.

- Ty sku...u! Kłamiesz! – chcę go dopaść i udusić gołymi rękami. Szkoda, że nie mam broni. Byłbym szybszy. Już by nie żył. Fred wali mnie w twarz ręką pistoletu. Zalewam się krwią.

- Kończ. Czeka na zewnątrz – wydaje ostateczny wyrok Rex. Niespokojnie spogląda w kierunku drzwi. Złe jest tuż, tuż.

Zostajemy sami. Mój oprawca nie spuszcza mnie z muszki. Otwiera kratę celi. Czeka tylko na jeden jedyny, malutki ruch nieuwagi z jego strony a dopadnę go. Ale Fred jest uważny jak nigdy. W dodatku trzeźwy.

- Właz – mówi – Wchodzę. Nie mam wyjścia. Zatrzaskuje kratę i przekręca klucz w zamku.

- Przeszła ci ochota na zabijanie? – pytam. Jeszcze mam nadzieję dopaść go przez pręty krat.

- Nie jestem mordercą – mówi zadowolony Fred, powiódł się jego plan wsadzenia mnie za kratki – Rex nie jest, a i ty nie jesteś – przyznaje mi w końcu rację. – Tam na portrecie, była inna osoba.

- Więc dlaczego skłamałeś? – nie mam już szans, żeby go nawet drasnąć. Fred przygryza dolną wargę w zamyśleniu.

- Ostrzegałem cię, żebyś nie przystawiał się do mojej dziewczyny – mówi – Ale nie chciałeś słuchać

Seria z karabinu maszynowego grzechocze po ścianie budynku. Odruchowo kulimy głowy w ramiona. Wstaję. Opuszczam ręce zrezygnowany. Nie przypuszczałem, że chora, wybujała ambicja Freda może mieć kiedykolwiek takie skutki, że tak to się zakończy.

- No – mówi Fred – Na mnie już czas. – Zdobywa się na nikły uśmiezek.- Żegnaj, bo chyba nie będziemy mieli już okazji, żeby spotkać się jeszcze kiedykolwiek. Co mam przekazać Abigail, bo pewnie czeka w domu na twój powrót?

Zacisnąłem z całej siły zęby żeby nie krzycheć. Zdawałem sobie doskonale sprawę, z tego, że Fred wie gdzie mieszkamy. Oczami wyobraźni widziałem jak ją odnajduje i kłamie, że uciekłem bez niej. Że ją zostawiłem!

Przez chwilę jeszcze rozmyśla, co zrobić z kluczami od celi. W końcu odkłada je na wieszak, tak żebym nie mógł sięgnąć. Potem przez moment z szelmowskim uśmiechem celuje we mnie z pistoletu ale strzela w sufit. Ten pojedynczy strzał to informacja dla Rexa czekającego na ulicy. Rex ma myśleć, że właśnie mnie zabił. Tymczasem drań zostawia mnie na deser dla żołnierzy. Wie, że będzie to dla mnie gorsza kara niż miałyby to sam zrobić.

Wybiega za Rexem. Siadam załamany na pryczy. Miałem wyjść tylko na chwilę po kluczyki do samochodu. Tymczasem nie ma mnie już dobre pół godziny. Co z Abigail? Czy żyje jeszcze? Mówiłem jej, że ją kocham, a teraz ona została tam beze mnie, zdana na niełaskę losu. Gdzie jest Dominik i Sally, gdzie jest Tristan i Daphne? Pomyśli, że ją zdradziłem, że uciekłem sam, że nasza wspólna wspaniała noc była moim czystym, zwykłym, wyrafinowanym kłamstwem, wyrafinowanym oszustwem. Abigail!!! Uciekaj! Uciekaj stamtąd!!!

Stoję rękami uczepony krak w pułapce, która jest jak z wolna tonący okręt. Nikt tu nie przyjdzie mnie uratować. Nikt tu nie przyjdzie mnie uwolnić, bo to ostatnie miejsce na tym okręcie w którym można by kogoś szukać. Patrzę na daleko zawieszony klucz. Wydają się być tak daleko, tak niedostępne, tak niemożliwe w swym zdobyciu, że aż wzbiera we mnie żal nad samym sobą. Ja grzesznik, jakie mam prawo, żeby przeżyć bez niczyjej pomocy, bez łaski Boga? Ale ze wzrokiem wbitym w wieszak nie rezygnuję. Jakbym chciał podjąć rękawicę rzuconą mi przez Stwórcę na próbę. Wysuwam pasek ze szlufek spodni. Zdejmuje koszulę. Wiąże jedno z drugim. Robię dziwnej konstrukcji linę. Wysuwam obie ręce przez pręty, które wcinają mi się w twarz aż do kości. Robię zamach. Pierwsze próby są nieudane. Za czwartą czy piątą wreszcie zahaczam spinką paska o górą część wieszaka. Przewraca się z łoskotem. Niesione siłą bezwładności, klucze lecą jeszcze jakiś czas. Suną po podłodze jak kiepsko zaostrzone łyżwy. Zatrzymują się. Przyglądam się im ze zdziwieniem. Leżą na wyciągnięciu ręki. Podnoszę pęk kluczy z podłogi. Przekręcam zamek. Wychodzę z celi. Na wszelki wypadek zabieram z szafy, to czego nie zrobiłem wcześniej, pistolet. Sprawdzam magazynek. Znowu wraca mi pełny oddech. Ostrożnie wyglądam przez drzwi na ulicę. Widzę żołnierzy. Cofam się jednak natychmiast do środka. Bestia! Jest teraz bliżej i bardziej pochylona. Wypatruje ludzi. Zawracam. Tędy nie można iść. Muszę tyłem. Od zaplecza. Zamknięte. Rozbijam okno. Wyskakuje. Teraz byle szybciej ale ostrożnie do domu. Do Abigail!

Nie jest łatwo. Żołnierze kręcą się niebezpiecznie blisko. Mogą zauważyć mnie w przerwach między domami. Te odcinki postanawiam pokonywać czołgając się. Dwa razy muszę jednak przeskoczyć przez płot. Jakoś to się udaje. Nikt mnie nie zauważa. Wpadam wreszcie do domu. Dół pusty, góra pusta. Wołam. Może gdzieś się ukryła? Serce wali we mnie jak młot. Nie ma jej. Nie ma nikogo. Mój naprędce sklecony zmysł organizacyjny urywa się. Zaczynam się szamotać między pomieszczeniami. Co teraz począć? Jak ją odnaleźć? Żołnierze nie spenetrowali jeszcze naszego domu. Musiała gdzieś stąd wyjść, gdzieś pobiec albo zabrał ją ze sobą ten łajdak Fred. Tylko gdzie? Staram się opanować nerwy. Pośpiech to zły doradca. W kuchni znajduję papierosy. Po części robię też zasłonę dymną dla mej duszy, żeby jej nie wykryli za szybko. Muszę się zastanowić co dalej. Mogła zabrać się z naszymi znajomymi, którzy widząc co się święci, dotarli wreszcie do domu ale mogła też po prostu wyjść na ulicę i wpaść w łapy tamtych. Wreszcie mogła pójść mnie szukać. Jeśli poszła w kierunku posterunku, to mogliśmy się rozminąć, bo ja przecież wyszedłem tyłem. Ale to ostatnie nie wydaje mi się możliwe. Nie ryzykowałyby przejścia tuż pod bokiem żołnierzy. Przyczajam się za oknem. Są. Dużo ich. Widzę jak akurat taszczą kogoś za włosy i pastwią się nad min. Wydaje się, że są wszędzie. Dostrzegam ich i z jednego końca ulicy i z drugiego. Są jak wygłodniałe wilki, które cały rok czekały na rozpoczęcie sezonu łowieckiego. Zastanawia mnie na co czeka bestia, wielki łowczy? Jest tu tylko, by nadzorować zabijanie? Inna grupa żołnierzy wybiega z domu po przeciwległej stronie. Tam mieszkała kobieta z naszej zaimprovizowanej przychodni. Ale chyba zdążyła uciec, bo wyszli z niczym. Schodzę na dół. Pośpiech jest złym doradcą ale nie mogę zbyt długo zwlekać. Zaraz będą i u mnie. W domu będę znowu jak w pułapce. Może nie dostaną mnie od razu ale nie pozwolą mi stąd uciec. Może nawet nie będzie im chciało się ze mną walczyć.

Po prostu podpalą budę, a wtedy sam wyjdę. Staję za drzwiami frontowymi. Lekko je uchylam. Oglądam jak sytuacja wygląda z dołu. Już podjąłem decyzję. Mam przecucie, że Abigail wyjechała z miasta. Jeśli jej nie znajdę, zawsze mogę tu wrócić. Pewnie wtedy będzie już za późno ... ale nie na własną śmierć. Mógłbym wyjść ponownie na tyły i wybić szybę w którymś z naszych samochodów. Nie mam jednak pojęcia jak zamknąć obwód bez użycia kluczyków, żeby silnik zaskoczył. Nie chce tracić czasu. Mam inny plan. Sami żołnierze mi go podsunęli. Z pistoletem w ręce wychodzę przed dom. Wyprostowany, nieśpiesznie, idę pewnie przed siebie. Jeszcze nie przestali pastwić się nad tym, którego ciągnęli za włosy. Widać bawi ich to.

Jeden z żołnierzy nieco oddalony od miejsca zamieszania przygląda się swoim kompanom. Nie zauważył mnie. Staję za jego plecami. Patrzą w prawo, czyli w tę stronę gdzie stoi bestia, która wciąż na coś czeka. Widzę innych żołnierzy. To chyba ci, którzy wcześniej wybiegali z domu „doktorowej”. Całkiem niedaleko. Ale zajęci są maltretowaniem kogoś innego. Teraz! Podejmuję decyzję. Ten, który stoi do mnie plecami będzie pierwszą jakąkolwiek zabiją przeze mnie osobą. Huk wystrzału nie jest nawet taki głośny. Ani ci z lewej ani ci z prawej nie zorientowali się kto strzelał. Facet miał to nieszczęście, że stał obok samochodu, który ma uchylone drzwi. Ten samochód wykorzystam do ucieczki. To szybka, czarna żołnierska korweta. Zaglądam do środka. Kluczyki są w stacyjce. Tak jak przypuszczałem nie spodziewali się, że ktoś może im je zabrać. Zatrzasnę drzwi. Legalnie zapuszczam silnik, zapalam światła. W ich świetle widzę jak tamci po skończonej „robocie” ocierają swoje ubrania z krwi po zabitym, który nie ostygnąwszy jeszcze leży martwy na drodze. Podjeżdżam z odkręconą szybą jak turysta, który chce spytać o drogę. Nawet nie mają czasu, żeby się dziwić. W samochodzie przecież jestem dla nich swój. Pobratymiec. Wypalam kilka razy. Padają z jękiem. Ostatni, choć dostał w pierś, próbuje się odczołgać. Celuję jeszcze raz i strzelam. Tym razem skutecznie. Zanim inni orientują się, że ginie nacja zdobywców daje gazu do dechy. Pryska w kierunku odwrotnym do którego stoi bestia. Jeśli nasi uciekali, to tylko tam.

Po około trzech godzinach drogi zostawiam Fryslyn spory kawał za sobą. Trzymam się głównego szlaku. Nie wydaje mi się, by uciekający skręcali gdzieś w bok. Dlaczego? Po pierwsze, boczne drogi są w gorszym stanie niż główny szlak. Po drugie, trzy godziny drogi, to jednak nie jest odległość wystarczająco bezpieczna. To nie jest odległość taka, której można by zaufać. Jadę więc prosto na wschód. Tam gdzie miałem kiedyś marzenie dojechać. W kierunku Morza Tallahassee.

Po pięciu godzinach nieustannej jazdy spodziewam się wreszcie spotkać kogoś z naszych. Będzie im się kończyło paliwo w autach. Gdzieś muszą się zatrzymać, czy będzie to bardziej, czy mniej bezpiecznie. Rzeczywiście! Dostrzegam samochody w miejscowości Morento. To na pewno te samochody, bo na jednym z nich od razu rzuca się w oczy rejestracja z napisem „Fryslyn” zamiast cyfr. Jest tu około dwudziestu ludzi. Prowadzą ożywioną dyskusję w pozostałościach jakiegoś sklepu. Śmierdzi w nim zbutwiałym papierem. Trochę podejrzliwie patrzą na korwetę, którą przyjechałem ale znają mnie przecież. Byłem osobą publiczną. Byłem gliną. Dopytują się co dzieje się w mieście. Czy to absolutna zagłada, czy też może Haris wprowadza rozejm, układ o którym tak zapewniał. Ciekawi są czy można wracać z powrotem. O naiwności! – myślę. Jaki rozejm? Jaki układ? Jaka ugoda? Opowiadam im co widziałem. To koniec – mówię bez cienia przesady. Dodaje też, że jeśli jeszcze nie wiedzą, to Haris był żołnierzem. Ale jakie ma to teraz znaczenie? Sami nie wiedzą, dziwić się czy nie? Rozpytuje o Abigail, bo to mnie najbardziej interesuje. Niektórzy w ogóle jej nie kojarzą, inni kojarzą ale nie widzieli. Po paru minutach już wiem. Tutaj nie ma jej na pewno. Nie ma też Tristana, Daphne, Dominika i Sally. Jestem dociekliwy.

Czepiam się szczegółów. Pytam o czas w mieście. Może wtedy ktoś widział co się z nimi działo? Niestety, mało kto jest zainteresowany udzieleniem mi odpowiedzi. Zbывают mnie. Mają teraz ważniejszą sprawę na głowie. Jako posłaniec przyniosłem złą wiadomość, dlatego nie warto się mną interesować. Gdyby ta wiadomość była dobra wiem, że byłoby inaczej. Smutny zostawiam ich ze swoimi pomysłami na ratunek. Wracam do auta. Nie mogę wykluczyć tego, że być może Abigail jest w innym miejscu. Tylko jak ją odnaleźć? Przecież ona nawet nie wie, że tamci potrafią wywahać duszę na odległość.

W otwartych drzwiach korwety, siedzę na fotelu za kółkiem z jedną nogą wystawioną na zewnątrz. Powoli nastaje na mnie koniec. Nie mam żadnego pomysłu, żadnej myśli pozytywnego zakończenia tej historii. Tracę w zastraszającym tempie nadzieję, że jeszcze ją ujrzę. Nie wiem jak ją odnaleźć. Jest mi przykro, że ją zostawiłem. Jest mi przykro, że gdy będzie umierała, to z przeświadczeniem, że ją zawiodłem, że ją oszukałem Wszystko mi już jedno, co się ze mną stanie... . Czy wiesz jak czuje się człowiek, któremu na niczym nie zależy? Który ma w nosie umierające miasto, cały umierający świat, który ma głęboko w d... idee, zasady, prawa, zyski, korzyści, nakazy i zakazy? Który nie chce się uratować, bo po co, dla kogo? Bo co jest jeszcze dla mnie ważne, co może mieć dla mnie sens? Już podjąłem decyzję. Wrócę tam. Zabije tylu łotrów ilu się da, a potem sam zginę. To mój ostatni papieros. Pamiętam wszystkie jej uśmiechy, słowa, gesty, pocałunki. Pamiętam jak rozpałała moje zmysły tańcząc. Pamiętam jak pięknie potrafiła złościć się, kiedy powiedziała „kocham” jako pierwsza. Pamiętam ją subtelnie przygryzającą kosmyk włosów na łóżku. Słyszę każde jej westchnienie. Czuję powab jej ciała, delikatny aksamit. Pamiętam, pamiętam, pamiętam Gdybym potrafił pewnie rozryczałbym się w tej chwili. Ale nie umiem. Coś ściska mi gardło, dławi ale to nie łzy. To przeogromny smutek. Spoglądam na ludzi w sklepie. Ciemne zarysy postaci. Niby są mi bliscy w niedoli ale nie mam się nawet z kim pożegnać. Nie mam komu powiedzieć „do widzenia”. Jeszcze tylko parę zaciągnięć papierosem

Ktoś do mnie wychodzi zostawiając resztę dyskutujących. Czekam. Umrzeć zawsze zdążę.

- Nie wiem czy to ważne – mówi pan w szarym sweterku – widziałem dwa albo trzy auta, które pojechały dalej – tu pokazuje ręką za moje plecy – Wiem, że kogoś szukasz ale nie widziałem kto był w środku. Przejechali bez zatrzymania. Zaczynam zastanawiać się jaka jest szansa, że w tych samochodach była Abigail. Dlaczego się nie zatrzymali?
- Przyda się? – pyta pan mając na myśli swoje informacje.
- Dzięki – odpowiadam grzecznie. Już mam zamknąć drzwi, kiedy rozmyślam się nagle.
- Chcesz jechać? – pytam. Kiwa przecząco głową.
- Nie – mówi – wystarczy, że choć jeden z nas ma nadzieję jeszcze kogoś odszukać.

Mniej więcej po półtorej godzinie docieram do miejscowości Rivercliff. Rivercliff przecina w poprzek rzeka, a jedyny most na niej jest zerwany. Jakby tego było mało silnik korwety krztusi się i gaśnie. Skończyło się paliwo. To koniec eskapady. Tamci jeśli gdzieś są, to albo wybrali inną drogę albo człowiekowi z Morento coś się zwyczajnie przywidziało. Podchodzę na skraj przepaści. Nie jestem w stanie ocenić jak daleko przede mną jest przeciwległy brzeg ani jak daleko w dół ciągnie się skarpa. Po prostu jest tak ciemno, że dostrzeżenie czegokolwiek graniczy z cudem. Nagle błysk. W dole. Daleko. Serce zatrzepotało. Nie mam odwagi nawet na tysięczną cześć sekundy poruszyć powieką, żeby nie przegapić kolejnego błysku, sygnału życia. Czas się dłuży, napięcie opada, trzepot w piersi ustaje. Kiedy zaczynam już z żalem myśleć że to mogło być złudzenie. Jest! To na pewno był drugi błysk! W tym samym miejscu. Po pół godzinie zsuwania się z boczem po omacku w dół wreszcie odnajduje schody.

A im niżej schodzę tym głośniejszy i wyraźniejszy staje się plusk wody. Po chwili wstępuje na jakiś utwardzony plac. To może być coś w rodzaju nabrzeża. Dostrzegam trzeci długi błysk. Blisko. Już wiem co to jest. To lampka w kokpicie samochodu. Ktoś otwiera drzwi lampka się zapala, zamyka - gaśnie. Odgłos zamykanych drzwi utwierdza mnie w przekonaniu, że się nie mylę. Podchodzę ostrożnie, żeby nie wpaść przypadkiem w jakąś dziurę, bo teren pełen jest nierówności.

Grupa ludzi stoi przy jednym z samochodów. Tym najbardziej ode mnie oddalonym. Dyskutują tak samo jak tamci w Morento ale jest ich mniej. Wołam, zauważyli mnie. Machają rękami, żebym podszedł. Idę rozdygotanym, chwiejnym krokiem. Wolno. Tak, żeby moja nadzieja mogła nabrać rozpędu zanim ponownie zgaśnie. Samochody stoją w rzędzie. Trzy sztuki. Jeden za drugim. W niewielkich odstępach. Mijam pierwszy od końca. Nikogo jeszcze nie rozpoznaję. Serce skacze we mnie zupełnie nie w rytm kroków. Jakbym niósł je obok. Mijam drugi samochód. Nagle piorunująca radość rozdziera mnie we wszystkie strony. Jest jak wybuch wulkanu w samo południe nocy. Abigail skulona, siedzi na ziemi w luce między samochodami. Plecami opiera się o jeden z nich. Twarz ukrywa w dłoniach. Wciska ją między kolana, jakby chciała ukryć w nich cały ból istnienia jaki na nią spadł. Płacze. Strasznie płacze. To najwspanialszy płacz jaki kiedykolwiek słyszałem. Mógłbym tak stać i słuchać go w nieskończoność. Klękam przy niej. Kładę rękę na ramieniu.

- Abigail ... – mówię chwytając ją za ramiona, a ona nie może uwierzyć, nie może pohamować łez. Unosi głowę ale zamiast przestać zaczyna jeszcze głośniej płakać. Przytulam ją.
- Przepraszam – mówię – Już nigdy nie zostawię Cię samej

Po raz pierwszy zdarza mi się chyba być tak szczęśliwym. Odnalazłem ją. Ale mało tego. W tej grupce ludzi jest też czwórka moich przyjaciół. Witamy się z taką radością jakbyśmy nie wiedzieli się sto lat. Na przekór temu wszystkiemu co się wydarzyło i zapewne wydarzy się jeszcze w przyszłości. Na przekór temu co przed nami.

Okazało się, że miałem rację. Nie poparli Harisa i nie brali udziału w jego festynie. Wszyscy spędzili noc w domu Tristana. Jest też Rex. W obopólnym zaskoczeniu mierzymy się wzrokiem. Cóż Jeśli mu wierzyć, facet nie chciał źle. Miał prawo uważać, że Piotr zwariował. Ja też tak przecież myślałem. Na swój sposób chciał ratować miasto poprzez układ z podstępny żołnierzem. A kiedy ten uciekł zaczął prowadzić swoje śledztwo, które skończyło się zamknięciem mnie w celi. Też go trudno o to osądzać. Jak mu się wydawało miał niezbity dowód mojej winy w postaci listu i zeznań Freda. Ja zaś nie miałem żadnego dowodu na swą niewinność oprócz słów. Nie musiał mi wierzyć. Mierzymy się wzrokiem ale nie odzywamy się do siebie. Pewnie zastanawia się dlaczego Fred mnie nie zabił. Nie wie, że tamtemu nie chodziło o starego malarza z Isoleprint ale o to by zemścić się na mnie za to, że przeze mnie Abigail nie odwzajemniła jego uczucia. Ale zaraz... gdzie jest Fred? Nie ma go. Nie pytam co się z nim stało. Dostrzegam też jednego z byłych radnych. Czterech pozostałych też już gdzieś widziałem.

To nie może być prawda!!! – dopada mnie zwariowana myśl. Ale im dłużej na nich patrzę tym coraz bardziej przekonany jestem, że wszystkich tych ludzi widziałem już w jednym miejscu razem. Na chrzcie! W Rivercliff jest nas dwunastu. Dwunastu, którzy zostali ochrzczeni przez Piotra! I nikt ponadto! Ciekawi mnie dlaczego nie zatrzymali się w Morento z tamtą grupą. Wszyscy zdumieni. „W Morento? Tam nikogo nie było” – słyszę. - Ależ byli. Są! – ripostuję – Widzieli was jak przejeżdżaliście. - W dalszym ciągu pozostają zdumieni. „My nikogo nie widzieliśmy.” - Trudno mi uwierzyć w to, żeby jedenaście osób nie zauważyło kawalkady samochodów i dwudziestu ludzi. Ale nie wnika. Dziwne rzeczy się tu dzieją.

- Pali się! – krzyczy nagle Tristan. Odwracam się. Ogień jest duży i gwałtowny.

- To w Morento – oceniam bezbłędnie. Nie muszę zgadywać. Tamci mają kłopoty. Nie mają paliwa w samochodach. Nie mają już dokąd uciec, nie mają gdzie się schować. Mam przeczucie, że to ich ostatnie chwile. Wpatrujemy się dobre dziesięć minut w buchający ogień. Podświadomie ściskam ramieniem Abigail. Wpatruję się w ciemność drogi. Chyba czekam na kogoś, komu jakimś cudem uda się wyrwać stamtąd.
- Słyszycie? – odzywa się nagle Rex. Nadstawiamy uszu. Nic nie słysząc. Czuje jednak pod stopami niezrozumiałe pomruki ziemi. Łup, łup ...
- Idzie tutaj – mówię i jeszcze mocniej ściskam Abigail. Omiotam wzrokiem ciemny jak smoła horyzont nocy. Jeszcze jej nie widzę ale wiem, że tam w ciemności bestia wielkimi krokami kieruje się prosto na nas.
- Szybko. Do środka! - wykrzykuje facet, którego nie znam z imienia. Nikt z nas nie wie, co to pomoże albo raczej wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że nic to nie da. Nie możemy jednak stać sobie tak po prostu i czekać aż przyjdzie i nas pozabija. Wpadamy do najbliższego budynku na nabrzeżu. Jest tu dość spore pomieszczenie. Barykadujemy się w nim. Ziemia trzęsie się coraz bardziej. Diabeł musi być już blisko. Nie słysząc klaksonów ani warkotu samochodów. Idzie bez obstawy żołnierzy. Sam. Wydaje mi się, że już wiem dlaczego bestia we Fryslyn nie brała bezpośredniego udziału w zagładzie miasta. Nie interesowali jej zwykli ludzie. Ona chce dopaść tylko tych, którzy zostali ochrzczeni. Nie wiem czy dziękować w duchu Piotrowi za to, że dzięki jego ceremonii chrztu jeszcze żyję, czy przeklinać go za to, że będę miał zaszczyt być zabitym przez samego szefa diabłów. Mam nadzieję, że nasza śmierć na coś się komuś, kiedyś przyda.

Już jest! Za oknami słysząc jej ciężkie stąpanie, przysadzisty oddech. Budynek drży przy każdym jej kroku. Obchodzi go dookoła. Bezradnie wodzimy oczami po ścianach i suficie starając się zorientować z której jest akurat strony. Czasem zdaje mi się, że widzę jej ohydny tors przez okna. Z hukiem rozwała drugi budynek, który stoi w pobliżu, a który przeszkadza jej w całkowitym osaczeniu nas. Przesuwa samochody. Trzeszczą blachy. Któreś z aut spada w nurt rzeki. Przy każdym uderzeniu podskakujemy jakby to o nas chodziło. Szykuje się do ostatecznego ataku.

Trzymam Abigail w ramionach. Tuli się do mnie chowając ręce wewnątrz mych objęć. Czuje jak pachnie. To ten sam zapach jaki czułem przy pierwszym spotkaniu. Jest taka niewinna.

- Abigail – szepczę jej do ucha – teraz, kiedy mamy już na pewno umrzeć, muszę ci coś powiedzieć.
- Ja też cię kocham Evan – stara się mnie uprzedzić. Choć boi się i tuli do mnie, wyczuwam wciąż jej przeogromną słodycz.
- Tak – przytakuję – Ale ja chce Ci powiedzieć coś czego o mnie jeszcze nie wiesz. Unosi nieznacznie głowę w pytającym geście. Chcę, żeby wiedziała o mnie wszystko.
- Ja, tam... – zaczynam łamanym głosem – w tamtym życiu miałem, byłem ... właścicielem burdelu – wyrzucam wreszcie to, co leży mi na sercu. Być może to nie była najlepsza chwila na takie wyznania ale musiałem jej to powiedzieć, żeby miała świadomość, że mam małe szanse na ocalenie.
- Wiem – szepcze do mnie. Jakiś niezrozumiały sygnał ulgi, mota moje wszystkie brudne wspomnienia związane z tamtym, czyszcząc je i uwalniając z kamieni.
- Wiesz?!
- Czuję jak układa policzek na bok.
- Pamiętasz hotel „Vertigo” w Sierra Tann?
- Pamiętam - jestem jeszcze bardziej zaskoczony.
- To ja miałam się tam z tobą spotkać.

- Ty? Jak to możliwe?! – nie daję za wygraną. Czuję jak Abigail, kradnie mi główną rolę w spektaklu. – Kiedy zaprosiłeś mnie po raz pierwszy do siebie, we Fryslin, na stole leżały zdjęcia. Twoje zdjęcia ze starego życia. Na jednym ze zdjęć ... - chciała dokończyć, ale dalsze dociekania nie są możliwe. Zawirował świat. Okropny ryk jaki bestia wydobywa z siebie zagłusza wszystko. Uderza w nasz dom swoim wielkim cielskim. Wypadają od razu wszystkie szyby z okien. Trzask brzęczącego szkła miesza się z naszym krzykiem. Pękają ściany, sufit, zewsząd sypie się tynk. Po trzecim uderzeniu mamy chwile wytchnienia. Obraz zniszczeń jest fatalny. Następny atak będzie już ostatnim. Podnosimy się z podłogi, strzepując kurz z włosów i ubrań.
- Proponujemy zrobić krzyż – mówi jeden z uratowanych. Widać wcześniej musieli to uzgodnić – Co wy na to?
- Zgadamy się – odpowiadam za nas dwoje.
Krzyż jest koślawy i nieporadny. Zrobiony z połamanego kija od szczotki. Sznurkiem przewiązany w środku. Położyli go na podłodze, bo nikt nie miał lepszego pomysłu, żeby coś z nim zrobić. Stoimy wokół niego spoglądając po sobie. Na odpowiedź bestii nie czekamy długo. Teraz to już nie są uderzenia obliczone na pośrednie skutki. Objawia nam całą swoją wściekłość i moc. Wali raz za razem w ściany. Pęka dach. Nie mam pojęcia, kiedy i jakim sposobem znajduję się ponownie na podłodze. Ostatnią rzeczą jaką pamiętam jest odpadająca od domu jak kartka papieru, ściana

... leżę na wznak, czuję dłoń Abigail zaciśniętą w swojej dłoni, ale nie wiem co się z nią dzieje. Nad sobą widzę piękne, rozgwieżdżone niebo. Boże, skąd tyle gwiazd naraz na nim? Podpieram tułów na łokciach, siadam. Patrzę co z Abigail. Ona też się podnosi. Wszyscy unoszą ciała z podłogi. Jest niesamowicie cicho, spokojnie, przytulnie, niesamowicie jasno. Jaka piękna noc! Spoglądamy po sobie w zupełnym oszołomieniu. „Więc już po wszystkim?” – zdajemy sobie pytać nawzajem. „Więc to tak wygląda śmierć?”. Sprawdzam jak wygląda moje ciało po przejściu w niebyt. Nie różni się niczym od tego, które miałem poprzednio. Wydaje się nieco lżejsze. Kiedy podchodzimy do siebie w dalszym ciągu nikt nic nie mówi. Dopiero teraz zauważamy człowieka, który stoi opodal nas. Ma na sobie długą, białą tunikę otoczona jakąś poświatą, jakimś niezwykłym blaskiem. Bestii nigdzie nie ma. Tak jakby w ogóle nigdy jej tu nie było. Ten człowiek trzyma nasz krzyż. Obraca go w rękach. Tak jak nauczyciel, który ocenia, czy uczeń dobrze odrobił zadanie domowe. Krzyż też otoczony jest poświatą, która przechodzi z jego rąk. Uśmiecha się do nas. Zdaje się mówić, że „To całkiem porządnym krzyż”. Potem odwraca się i odchodzi. Odchodzi trzymając w ręce nasz wyciągnięty krzyż. A tam gdzie go skieruje, wraca pełny blask dnia, wraca całą pełnią kolorów życia. Przysłaniamy oczy przed światłem. Obok nas zjawia się Piotr. Minę ma okropnie rozradowaną. Wygląda na to, że wcale nie stracił kontaktu ze swoim Bogiem i że nie umarł. Wręcz przeciwnie zachowuje się tak, jakby dopiero co otrzymał pochwałę za to, że dobrze wypełnił swoje zadanie na ziemi. Razem z nami patrzy jak Jezus odchodzi. Jest jak Bóg na spacerze pośród pól, który w swym dostojeństwie, a jednocześnie zakochaniu do ludzi głaszcze łany zbóż.

- On cofnął dla was czas ... – mówi uśmiechnięty Piotr, a jego głos jest prawdziwie anielski.
- Macie dziesięć lat Idźcie, idźcie powiedźcie wszystkim, dlaczego warto jest wierzyć

THE END

Waldek Andrzejewski